

The background of the entire page is a white wooden plank texture. Scattered across this background are several peony flower buds and stems with green leaves. Some buds are pink and white, while others are more purple. There are also several individual purple petals scattered around. The text is overlaid on this background.

NATASZA SOCHA

*Jeśli przyjmimy, że życie jest windą,  
to wszystko można sobie bardzo prosto  
wytłumaczyć. Opuściłam piętro z napisem  
małżeństwo i znowu jadę w górę. Właśnie  
wysiadłam na poziomie **romans z młodszym**.*

# *Troje na huśtawce*

NATASZA SOCHA

*Troje na  
huśtawce*



EDIPRESSE  
KSIĄŻKI

*W życiu niewiasty rozróżnić można siedem okresów: niemowlę, dziewczynka, dziewczyna, młoda kobieta, młoda kobieta, młoda kobieta i młoda kobieta.*

GEORGE BERNARD SHAW

Na czubku języka zwiślały słowa. Teraz wszystko zależy od tego, czy otworzę usta i je wypowiem, czy raczej zachowam dla siebie. Połknę. Tak, żeby nikt nie usłyszał. Jest jeszcze inna możliwość – zamienię słowa na inne. Poprzestawiam litery, część wyrzucę, dodam nowe i dzięki temu z języka skapnie mi zupełnie coś innego, niż chciałabym powiedzieć.

Maj, może wtorek, może nie

Nigdy w życiu nie pisałam pamiętników, dzienników ani nawet nie prowadziłam zeszytiku dla przyjaciółek, które wpisywały tam swoje największe sekrety w stylu „czy kochasz go straszliwie, czy jednak z umiarem” lub „czy kiedy na niego patrzysz, twoje trzewia tańczą”. Ale teraz będę pisać. Bez dat, bo dat nie lubię, więc nakreślę tylko ogólnie dzień i miesiąc, aby mieć pojęcie, kiedy to się wszystko zaczęło, jak będzie przebiegać, zaznaczę też, że nie czuję się winna, bo jednak nikogo do niczego nie zmuszałam, a na wypadek mojej śmierci ten zeszyt będzie dowodem na to, że moje intencje były dobre, a ja sama – choć może nie jestem ideałem przyjaciółki – to jednak Kocham cię, Aurelio.

Bardzo chaotyczny wpis – wiem.

Ale to dlatego, że pierwszy. Jak również dlatego, że chaos wepchnął się w moje dość ustabilizowane dotąd życie i zachichotał perfidnie, widząc, jak się miotam. Spróbuję jednak zamknąć go na chwilę w butelce po napoju aloesowym, który ma rzekomo cudowne właściwości zdrowotno-odmładzające (na co liczę) i spokojnie zacznę od początku. Z pominięciem dat, bo ich po prostu nie pamiętam, gdyż nie przywiązywałam wagi do konkretnych dni, bo wszystko zlewało się w jedną całość, a całość rozpadała się na drobne cząstki szczęścia przeplatane wyrzutami sumienia. Na pewno pamiętam jednak pory roku, wyznaczane nie tylko tym, co padało z nieba, ale też kwiatami, które dostawałam. Pierwsze były piwonie.

Nie, jednak muszę zacząć od początku. Wdech, wydech, cofanie się w czasie. Przekartkowuję ostatnie miesiące, przewracam kartki w kalendarzu i zastanawiam się, jak to możliwe, że jeszcze rok temu o tej porze... Niczego się nie spodziewasz, budzisz się w zwykły wtorek, po którym następuje jeszcze zwyklesza środa, a długo wyczekiwany weekend również jest jakiś nudny. Oczywiście w żaden sposób ci to nie przeszkadza, czasem tylko buntujesz się w myślach, że nie jesteś księżniczką i nie wybierasz diamentów do kolii, tylko sery w supermarkecie i dyskretnie je wążasz, bo lubisz te najbardziej śmierdzące. Idziesz do pracy, odbierasz telefony, pijesz kawę, zastanawiając się, kiedy zdążyła ostygnąć, a w ubikacji zsuwasz gumkę rajstop z brzucha na okolice bioder, bo strasznie cię uciska i masz na ciele dziwną czerwoną pręgę. Każdy dzień składa się z bardzo zwyczajnych fragmentów, pospolitych minut i godzin wypełnionych czymś, co nazywasz egzystencją.

Nie, nie mam depresji, nie łykam też żadnych ziołowych tabletek, po których moje endorfiny zaczynają tańczyć, po prostu stwierdzam fakty. Mam na imię Koralia, wiem, że dziwnie, ale dla równowagi jestem dość zwyczajna. Moja przyjaciółka ma na imię Aurelia, więc jeśli powiecie głośno Koralia – Aurelia, to już wiecie, że po prostu musiałyśmy się zaprzyjaźnić. Chociaż dzieli nas sześć lat, przy czym ja jestem młodsza, to jednak wcale nie odczuwamy tej różnicy wieku.

Już nie. Bo w pewnym momencie ona po prostu znika. Kobiety trzydziesto- i czterdziestoletnia wyglądają podobnie, nawet jeśli ta druga ma kilka zmarszczek więcej, a skóra na dłoniach szybciej jej się przesusza. Podobnie jest z czterdziesto- i pięćdziesięciolatką. I tak dalej. W końcu wszystkie zasuszamy się w identyczny sposób i wtedy wkłada się nas między kartki książki, żebyśmy się nie pokruszyły na wieki wieków. Ale to jeszcze nie jest ten czas.

Mam czterdzieści dwa lata, Aurelia czterdzieści osiem, choć jeszcze nieskończone. Urodziła się dokładnie tego dnia, którego zmarł Hugo Henry Riemer (31 marca), amerykański działacz religijny, członek Ciała Kierowniczego Świadków Jehowy. Co prawda on zmarł cztery lata wcześniej, ale Aurelia mówi, że ważny jest dzień. Jestem przekonana, że nikt nigdy nie słyszał o Hugonie Riemerze, ale Aurelia zawsze wypowiadała to z powagą i skupieniem, i każdy wtedy słuchał, potakując, zupełnie jakby miał pojęcie, o kim ona mówi. W całym naszym życiu nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś powiedział: „nigdy o facecie nie słyszałem”, większość po prostu udawała, że absolutnie wie, kim był Hugo, i że jest on równie dobrze znany jak Johnny Depp. Byłam jedyną osobą, która zachichotała przy zwrocie Ciała Kierownicze Świadków Jehowy, i Aurelia od razu zrozumiała, że jestem kimś wyjątkowym. Dużo mamy ze sobą wspólnego. Podobają nam się te same rzeczy, nawet jeśli dla mnie *Beverly Hills 90210* było serialem kultowym i bardzo na czasie, a dla Aurelii główni bohaterowie byli za młodzi i zbyt infantylni. Ona siedziała już w *Melrose Place*.

Ale znowu zaczęłam od środka, a przecież ta opowieść musi mieć swój początek, chronologię jakąś, która pozwoli wszystko dokładnie zrozumieć i może nawet stanąć po mojej stronie. W końcu to ja opisuję tę historię i mogę ją poprowadzić właśnie w taki sposób, żeby zasłużyć na współczucie i wsparcie, a Aurelia dostała trochę niższe noty.

Postaram się jednak być sprawiedliwa. W końcu to rodzaj spowiedzi, choć nie wiem, czy dostanę rozgrzeszenie. Ale jeszcze małe pytanie na początek. Co byście wybrali? Miłość czy przyjaźń?

Jest maj, wtorek jakiś tam, a ja dostałam od niego pierwsze piwonie. Moja babcia zawsze powtarzała, że piwonia to królowa wiosny i że była kwiatem Apollina. Według mitologii greckiej używał ich do leczenia ran wojowników walczących w wojnie trojańskiej. Mnie też piwonia uleczyła. Z marazmu i jakiejś niemocy kobiety czterdziestoletniej, której zaczęło się wydawać, że oddała swoje najlepsze karty i została jej tylko karetka z samych dwójek.

– Piwonia jest niesamowitym kwiatem. Wygląda jak puszysta kula, która rozkwita w pełnym słońcu. Nie lubi tłoku, pewnie dlatego, żeby nie zagłuszyć siebie samej – śmiała się babcia. W swoim ogrodzie miała piwonie niemal we wszystkich kolorach, chociaż ja najbardziej lubiłam takie blad różowe.

– Dla mnie? – spytałam w ten majowy wtorek, kiedy dostałam pierwszy

piwoniowy bukiet, choć było to raczej oczywiste, że dla mnie, skoro ktoś wciskał mi go do ręki, ale kobiety w każdym wieku potrafią zrobić z siebie idiotkę, nawet nieświadomie. Potem wyrzucają to sobie jakiś milion razy przed lustrem albo pod kołdrą, kompletnie niepotrzebnie, bo oprócz nich nikt o tym nie pamięta.

No i przepadłam.

Nie, jeszcze nie.

Przepadłam dużo później, ale te kwiaty, подарowane wtedy spontanicznie i bez żadnego podtekstu, miały w sobie jakąś magię. Jakąś zapowiedź i obietnicę. Nie czułam wprawdzie lewitowania żołądka, mój mózg pracował normalnie, a serce biło miarowo, a jednak coś się zadziało. I nikt na całym świecie nie potrafiłby mi wytłumaczyć, dlaczego właśnie ten dzień i ten moment okazały się przełomowe.

Jednak najpierw marzec, środa. Przeniesiemy się jakiś czas wstecz

To nie jest tak, że kiedy się zakochamy, niebo nagle się otwiera. To jest znacznie więcej. Ale nie sposób tego opisać, nie wpadając w banalny zachód słońca i nie potykając się o jelenia na rykowisku. Każda miłość jest różowa jak piwonie mojej babci, przynajmniej na początku. Z czasem niektóre z nich zakwitają niczym puszyste kule, inne więdną, a jeszcze inne gniją albo na zawsze pozostają pąkami.

Boże, jestem egzaltowana. To dopuszczalne, kiedy jest się nastolatką, ewentualnie do dwudziestego roku życia. Potem człowiek powinien okrzepnąć i zauważać w lakierowanym świecie również rdzę. Generalnie należę do osób, które wiedzą, gdzie zaczyna się granica miłosnego infantylizmu i raczej jej nie przekraczam. Ale być może nigdy nie znalazłam się w takiej sytuacji jak teraz. Mój mąż i ja byliśmy patologicznie nudni, a nasz związek dość przewidywalny. Teraz to widzę. Być może właśnie dlatego zdecydowałam się na brak chronologii w mojej opowieści. Do tej pory grzecznie przerzucałam kartki w kalendarzu, patrząc, jak mijają kolejne tygodnie, miesiące i lata, jak wigilie pojawiają się jedna po drugiej, coraz szybciej i szybciej, zupełnie jakby było ich więcej niż tylko jedna w roku. A potem kolejne urodziny i chociaż jeszcze czułam na podniebieniu smak tortu, to nagle okazywało się, że właśnie nadeszły następne. Kiedy? Jak? Trzydzieści dwa lata, zaraz potem trzydzieści pięć. I czterdziestka, niby przełomowa, ale chyba nie dla mnie. Nic się nie zmieniło, tylko czas ciągle przyspiesza. Kartki zaczynają same odrywać się od kalendarza, a ja nie nadążam z ich sprząaniem. Kto włączył turbodoładowanie?

I dlatego opiszę to wszystko zupełnie inaczej. Po maju nie nadejdzie czerwiec, a po listopadzie grudzień. Im więcej namieszam, tym bardziej uda mi się oszukać czas. Raz będę mieć czterdzieści dwa lata, a zaraz potem osiemnaście. Czasem będę już po rozwodzie, czasem jeszcze przed. Właśnie skończę studia, a potem pojadę na pewne wakacje, od których wszystko się chyba zaczęło. Odnajdziecie mnie jednak w tej opowieści, bo tak naprawdę najważniejsi są w niej ludzie.

Aurelia.

Ja.

No i Tytus.

To może teraz przejdźmy do niego.

Aurelia ma syna. To, co nas ze sobą splotło na dłużej, to nie tylko nasze dziwne imiona kończące się na „lia”, ale również pewien status społeczny, status, w którym kobieta jest samotna, porzucona i potraktowana jak przedmiot. Aurelia rozstała się ze swoim partnerem jeszcze, gdy była w ciąży, a dokładniej mówiąc, rozstano się z nią, bo ojciec dziecka uznał, że to nie jest dobry moment na



zakładanie rodziny. Ich wspólne życie pod jednym dachem trwało pięć miesięcy, trudno określić, czy to długo, czy nie, wszystko zależy od stopnia napięcia związku. A ten nie należał do zbyt udanych, wobec czego Aurelia pokiwała tylko głową i powiedziała „spierdalaj”. Niepotrzebny był ten związek, to narzeczeństwo na siłę i na życzenie obu rodzin. Ale Aurelia i ojciec jej dziecka mieli wtedy po dwadzieścia kilka lat, oboje kończyli studia i wpadka zaskoczyła ich bardziej niż piłkarskie zwycięstwo Algierii nad RFN w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim. Nie chcieli zakładać rodziny, choć Aurelia na samym początku ciąży oznajmiła, że dziecko urodzi. W końcu jednak uległa presji, przyjęła pierścienek zaręczynowy, ubrana w niebieską sukienkę i słomkowy kapelusz, a potem wszystko się posypało. Wprawdzie zamieszkali razem jako para i przyszła rodzina, ale ta struktura stworzona na siłę rozpadła się szybciej niż cząsteczka atomu. Aurelia powiedziała mi później, że chyba było to jakieś zrządzanie losu, że nie wzięła od razu ślubu.

– Wpadłabym po uszy. Cyrki z rozwodem, bo kto by go dał kobiecie w ciąży, cyrki z podziałem majątku i opieką nad dzieckiem. A tak przynajmniej wszystko poszło gładko i bez walki na noże.

Gdy ona decydowała się na bycie samotną matką, ja miałam osiemnaście lat i chociaż już się znałyśmy, to jeszcze nie było mowy o przyjaźni. Stałyśmy raczej w jej przedsionku. Ale to się miało już za chwilę zmienić.

A dokładnie dwa lata później, kiedy zostałam opiekunką jej synka.

Pamiętam, że od samego początku chciałam u niej pracować i kiedy powiedziała mi, że to świetny pomysł, byłam bardziej niż zachwycona. Skakałam z radości i pisałam ze szczęścia. Mały był cudowny, jego matka również, zwłaszcza że na głowie miała tysiące warkoczyków. Podobno zrobiła je zaraz po rozstaniu, żeby odreagować stres i zmienić w sobie to, co najbardziej rzucało się w oczy. A rzucała się nijakość, tak przynajmniej uważała Aurelia. Więc poszła do właściciela sklepu Made in India, w którym tak mocno pachniało kadzidełkami, że zapomniała, po co przyszła. Wyszła jednakże odmieniona, bo właściciel, który miał na imię Karamjit, co oznacza zwycięzcę wszelkich przeszkód, wyczarował na jej głowie odmienność (miał afrykańską żonę, specjalistkę od warkoczyków) oraz wybrał imię dla syna, który jeszcze siedział w brzuchu.

Niestety, imię nie przeszło w urządzie stanu cywilnego.

– Słucham?

– Akshay.

– Nie bardzo rozumiem, czy ojciec jest Hindusem? – spytała urzędniczka, wbijając w Aurelię zdumione spojrzenie.

Nie był. Ale ponieważ w ogóle już go nie było, więc równie dobrze mógł być Hindusem.

– To może Amul?

– A nie można prościej? Na przykład Adam?

Aurelia rozwinęła karteczkę i odczytała:

Adam – nudny i ma małego

Anatol – od urodzenia łysy i w pinglach, szuja

Arkadiusz – myśli, że wszyscy go lubią, a jest na odwrót

Arnold – mięczak i ciota

Benedykt – lamus okropny, pewnie ksiądz

Błażej – dziecinny i nudny, jeździ maluchem

– Mam czytać dalej? – spytała.

Urzędniczka zastygła na moment z rozchyłonymi ustami, a potem odważyła się na sarkazm.

– Czy pani ma jakieś emocjonalne problemy?

Aurelia wypuściła nosem powietrze.

– Nie, po prostu nie podobają mi się polskie imiona. Chcę hinduskie. W przeciwnym razie mój syn nie będzie miał imienia.

Urzędniczka parsknęła dość rasowo, a potem wydekłamała:

– Jeżeli przy sporządzaniu aktu urodzenia rodzice nie dokonali wyboru imienia dziecka, kierownik urzędu stanu cywilnego wpisuje do aktu urodzenia jedno z imion zwykle w kraju używanych, czyniąc o tym stosowną wzmiankę dodatkową.

Aurelia podskoczyła na krześle.

– Pani wybierze imię dla mojego syna?

– Tak, skoro według pani każde polskie imię kojarzy się z ciotą, mięczakiem albo małym członkiem, będę musiała jakoś pomóc.

– A nie może być Mohit? Albo Lahar?

Urzędniczka zignorowała kolejne hinduskie propozycje i zaproponowała Tomasza.

– Nigdy.

– Proszę pani, imiona należą do kultury narodowej, chociaż rzeczywiście czasem pochodzą z różnych stron świata. Znaczna ich część została jednak przyswojona przez język polski w wiekach średnich i późniejszych, co spowodowało, że stały się one wyznacznikiem narodowości ich nosicieli. Proszę dać dziecku normalnie na imię, a nie Kriszna. Pani syn nie powinien w przyszłości cierpieć tylko dlatego, że przeżywa pani chwilową fascynację Indiami. I co na to jego ojciec?

– Nie wiem. – Aurelia wzruszyła ramionami. – Zrzekł się praw, spakował i wyjechał, choć z pewnością nie do Indii.

– To może Tadeusz? Szymon?

– Tytus.

– Jak?

– Jak małpa.

– Wolę myśleć, że jak Tytus Akcjusz, rzymski jurysta i ekwita.

Aurelia wzruszyła ramionami, nie mając pojęcia, co oznacza słowo „ekwita”, a ja dwa lata później wzięłam na ręce małego Tytusa, który był zdecydowanie najpiękniejszym dzieckiem na świecie.

Aurelia ścięła swoje warkoczyki, kiedy Tytus poszedł do szkoły.

Kwiecień, jeszcze bardziej cofamy się w czasie. Jestem nastolatką

Sześć lat różnicy między nastolatkami to rzeczywiście mentalny Mur Chiński. Nie da się go przeskoczyć, obejść, nie można rozmawiać na wszystkie tematy, bo jeśli ktoś ma trzynaście lat, a ta druga osoba dziewiętnaście, problemy i dylematy mają zupełnie inną siłę. Ja stresowałam się wtedy swoją pierwszą miesiączką, a Aurelia była już zakochana. Mieszkałyśmy blisko siebie, zanim moi rodzice przeprowadzili się do połowy bliźniaka z niewielkim ogródkiem. Oczywiście zabrali mnie ze sobą, czym nie byłam zachwycona, bo lubiłam swoje podwórko, obserwowanie Aurelii, bliskość basenu oraz sklepiku ze słodyczami. Świat nastolatki budują ściany przyzwyczajzeń i nawet zabranie ulubionego lizaka mordoklejki może doprowadzić do buntu. Na razie jednak mieszkałam tutaj, na ulicy Woźnej, w starej kamienicy na poddaszu. Aurelia mieszkała dokładnie w kamienicy obok i korzystałyśmy z tego samego podwórka ze starą piaskownicą i trzepakiem. Ja jeszcze na nim wisiałam, ona już dawno z niego zesła, ale i tak widywałyśmy się dość często.

Nosiła cudowne ciuchy od plastyków, które kupowała na jarmarku albo w niewielkiej galerii na Starym Rynku. Wygniecione, kolorowe, powłóczyste, inne niż wszystkie inne, a do tego wysokie buty ze skóry zimą, a latem skórzane sandały. Też inne od innych. A już na pewno od moich. No i wisiorki, bransoletki i kolczyki domowej roboty. Z modeliny, wypiekanej później w piekarniku. Miała jasną cerę, odrobinę zadarty nos, gęste ciemne włosy, które zazwyczaj nosiła rozpuszczone, i czekoladowe oczy. Uwielbiała pomarańczową pomadkę do ust i chyba była jedyną kobietą w naszym mieście, która jej używała. Lubiałam, kiedy się uśmiechała, kiedy pokazywała swoje białe zęby, idealnie proste w górnej części szczęki i mocno pokrzywione w dolnej. Zupełnie jakby nagle zabrakło im miejsca.

– Cześć! – wołałam do niej całą sobą, ale ona była bardziej powściągliwa. Machała mi wprawdzie czasem ręką, ale nie było w tym zaproszenia do przyjaźni. Zresztą nie tego wtedy oczekiwałam. Wystarczyło mi, że mnie widzi, że nie patrzy przeze mnie, nie zauważając, tylko że czasem nawet zawiesi wzrok na dłużej niż nanosekunda. Dla trzynastolatki bardzo ważne jest nie być przezroczystą. Dla kobiety czterdziestoparoletniej również. Ale o tym później.

Obserwowałam Aurelię z jakąś dziwną fascynacją, wynikającą być może z faktu, że nie potrafiłam dogadać się ze swoimi rówieśnikami. Chociaż próbowałam.

Chciałam na przykład zaprzyjaźnić się z Dorotką, bo jej rodzice byli w podobnym wieku do moich i nasze mamy odnalazły coś, co nazwały wspólnym językiem. Automatycznie też próbowały nas ze sobą połączyć, bo czyż nie byłoby to cudowne, gdybyśmy wszyscy razem pojechali pewnego dnia na majówkę? Dorotka była mi jednak obca i to zarówno pod względem emocjonalnym, jak

i kulturowym. Bardzo wcześnie zaczęła histerycznie reagować na zaczepki chłopięce, a im bardziej były one nachalne, tym donośniej piszczała, niestety z zachwytem, że ktoś ją podszczypuje. Kiedy w pobliżu pojawiał się jakiś chłopak, całkowicie porzucała konwersację i ignorowała osobę, z którą jeszcze przed chwilą rozmawiała. Zaczynała też strzelać oczami, trzepotać rzęsami, trzepotać ciałem, a na końcu oblizywała usta, i to tak intensywnie, aż zaczynało z nich kapać. Jej pokój (zaproszenie w niedzielę na obiad z podwieczorkiem, niestety nie mogłam odmówić) był pełną dokumentacją aktualnych męskich ideałów. Limahl, Pet Shop Boys, Thomas Anders oraz kilku nagich, błyszczących chłopców z tak zwanych boysbandów, których jednak nie kojarzyłam. Dorotka pokazała mi wtedy, jak się do nich przytula przed pójściem spać, a ja poczułam zażenowanie na widok jej języka przemykającego po intymnych częściach papierowych ciał. Próbowałam zmienić temat, spytałam, czy widziała film *Greystoke: Legenda Tarzana, władcy małp*, ale to nie było dobre pytanie, bo Dorotka natychmiast zaczęła opisywać nagi tors pół człowieka, pół małpy i znowu się oblizywać. Pod względem erotycznym stałyśmy po dwóch stronach przepaści.

– Całowałaś się już? – pytała na przykład, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie całowałam się, nie miałam nawet obiektu westchnień, ale przecież nie mogłam, ot tak, się do tego przyznać. Na szczęście Dorotka nie oczekiwała moich zwierzeń, to było pytanie retoryczne, zadane tylko po to, by samej móc zanurzyć się w erotycznych opowieściach. Nie wierzyłam jej w ani jedno słowo, choć trzeba przyznać, że zafundowała mi cały arsenał pikantnych szczegółów.

– Pamiętaj, że usta nie mogą być suche, bo wtedy nie współgrają podczas pocałunku – wyjaśniła mi z zaangażowaniem. – Nie wolno też wpychać języka zbyt głęboko, bo można nim zadławić partnera.

Zdecydowanie zrobiło mi się wtedy niedobrze.

Nic dziwnego, że wolałam Aurelię, nawet jeśli nie zamieniła ze mną żadnego słowa. Podświadomie czułam jednak, że mamy ze sobą wiele wspólnego, tylko czekamy na bardziej sprzyjające okoliczności. Nie zrażałam się już tym, że mnie ignorowała, że kiedy zobaczyłyśmy się po raz pierwszy, w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi, a na moje szerokie spektrum zaczepek odpowiadała czasem lekkim skinieniem głowy. Ale była. I wystarczała mi świadomość, że mieszkamy blisko siebie.

Kiedyś jednak wydarzył się cud.

Aurelia siedziała na kamiennych schodkach przed swoją klatką schodową i nawlekała koraliki na sznurek. Jeden upadł jej na ziemię i poturlał się w moją stronę. Podniosłam go jak największy skarb i podałam jej bez słowa, choć strasznie tłukło mi serce.

– O, dzięki – powiedziała i machnęła ręką. – Siadaj.

Tak.

Tak właśnie powiedziała. Po tylu latach obserwowania jej, przypatrywania się i godzinnych rozmowach przeprowadzonych w mojej głowie ona po prostu pozwoliła mi koło siebie usiąść.

Więc zrobiłam to, bardzo ostrożnie, jakbym była motylem, jakby najmniejszy ruch mógł mnie uszkodzić, naderwać skrzydła i zepsuć ten moment ulotny jak babie lato. Aurelia nic nie mówiła, ja również, bo wszystko, co miałabym ewentualnie do powiedzenia, było dziecinne, głupie i niedorzeczne, więc tylko siedziałam obok, czując się nienaturalnie nieswojo i patrzyłam na jej dłonie. Był kwiecień, a może już maj, ciepło, choć po jakimś czasie czuło się chłód w okolicach pośladków. Niektóre okna były otwarte, słychać było szcęknięcie sztućców, przygotowania do obiadu, a ja modliłam się, żeby moja mama nie zawołała mnie na mielone z buraczkami i ziemniakami purée.

Nie żebym ich nie lubiła.

Po prostu to nie był dobry moment na mielone.

Wiatr bawił się naszymi włosami, słońce malowało pierwsze piegi na nosie, biedronka spacerowała po moim ramieniu, a ja patrzyłam na kolorowe paciorki, nawlekane na rzemyk. Zwykła chwila, banalna pewnie z punktu widzenia kogoś innego, niezauważalna dla dorosłych, niewarta zanotowania, bo przecież nic się nie działo. Ale dla mnie była magiczna. Fascynacja starszą koleżanką. Kimś, kto wiedział o świecie znacznie więcej niż ja, kto mógłby mi co nieco zdradzić i pokazać, co kryje się za przekroczeniem piętnastych, szesnastych, siedemnastych urodzin. Na rodziców nie mogłam w tej kwestii liczyć. Niecałe trzydzieści lat później te same koraliki nawlekał dla mnie Tytus, bo niechcący zerwałam wisiołek. I nawet pomyślałam wtedy, że zniszczyłam swój talizman, ale on tak szybko wszystko naprawił, że przecież żaden amulet nie zdążyłby się zorientować, że przez chwilę nie działał.

A jednak.

– Chcesz taki wisiołek? – Naprawdę mnie wtedy o to spytała.

Kiwnęłam głową, przygryzając usta.

Aurelia wybrała kilka czerwonych, kilka niebieskich i kilka żółtych paciorków, a potem nawlekła je na rzemyki, tworząc z nich rodzaj pędzelka doczepionego do grubszego rzemienia. A potem mi go podała. Założyłam go na szyję, jakbym odbierała złoty medal za najważniejsze osiągnięcia w życiu, i wtedy mama przypieczętowała to okrzykiem z okna:

– Koralia, obiad!

– Koralia, serio? – Aurelia spojrzała na mnie z uśmiechem, ale bardziej zaskoczonym niż szyderym. – A ja jestem Aurelia.

Wiedziałam, jak ma na imię, mama mi powiedziała, ale udałam, że jestem przyjemnie zdziwiona tym, jak podobnie brzmią nasze imiona, mimo iż są przecież

zupełnie różne.

– Mogę później? Nie jestem głodna! – zaryzykowałam, chociaż byłam pewna, że niczego nie wskóram.

– Są mielone!

No właśnie. Kotlet przekreślił dalszy splot ewentualnego porozumienia między mną a Aurelią, na dodatek było mi okropnie wstyd. Siedziałam koło dorosłej, świetnej dziewczyny, miałam jej właśnie po raz osiemnasty podziękować za wisiorek, a między nami stanął mielony z majerankiem.

Oraz buraczki.

Marzec zimny, chociaż widziałam już dużo krokusów. Jestem pełnoletnia i studiuje

Przekartkowuję w głowie wspomnienia. Mam teraz dwadzieścia lat i właśnie siadam naprzeciwko dwulatka, który próbuje nakarmić mnie plasteliną. Jestem w trakcie studiów i okropnie się cieszę, że zarabiam swoje pierwsze pieniądze.

– Masz się uczyć. – Z ust matki padają dość oczywiste słowa, które przecież musi powiedzieć, bo jest moją matką.

Ale jakoś dochodzimy do porozumienia i zaczynam pracę u Aurelii. Trzy razy w tygodniu, zaraz po zajęciach. I czasem w weekendy, kiedy ona ma ochotę na kino albo zwykły spacer po mieście bez wózka. I bez oplutej bluzki. Aurelia oczywiście jest też od czasu do czasu zakochana, bo fakt, iż ojciec Tytusa ją zostawił, nie oznacza jeszcze, że wypłukał z niej potrzebę konfrontacji z płcią męską. Konfrontacji na każdym polu, także erotycznym, a ponieważ lubię Aurelię coraz bardziej, zabieram wtedy Tytusa do siebie.

– Serio? – pyta wtedy moja matka, a ja tylko się uśmiecham.

Tytus jest uroczy. Słodki. Kleisty w sposób przyjemny. Śliniący się fascynująco. Pełzająco-kroczący przez moje życie. I wtulający we mnie przed zaśnięciem. Mama nie rozumie tej fascynacji, ot dziecko jak każde inne, poza tym powinnam zajmować się nauką.

– W twoim wieku ważniejsze są studia. Im lepsze oceny będziesz miała, tym większa szansa na pracę.

Uśmiecham się pod nosem. Jeszcze do niedawna uważali z ojcem, że po filozofii w ogóle nie znajdę pracy. Więc chyba oceny nie miały żadnego znaczenia. A Tytus był najpiękniejszym dzieckiem na świecie.

Nawet nie wiecie, jak się cieszyłam, że dostałam tę pracę. Że weszłam w życie Aurelii na dobre. Kiedy się wyprowadzaliśmy z mieszkania na Woźnej, chciałam gryźć i kopać, choć tylko dwa razy głośniej chlipnęłam. W końcu przenieśliśmy się do nowego domu, do bliźniaka, do połowy bliźniaka, ale za to od południowej strony. I ogródek miał być, i babcia obiecała, że zasadzi mi w nim piwonie. Babcia ze strony mamy. Bo ta ze strony taty mieszła z nami na Woźnej i na szczęście nie chciała nigdzie się ruszać. Zresztą to mieszkanie było dla niej idealne – dwa pokoje plus jadalnia, w której do tej pory spałam ja. Było ciasno, ale jakoś mi to nie przeszkadzało. Nie chciałam się wyprowadzać, chociaż wizja własnego pokoju i dużo większej łazienki była oczywiście kusząca.

– Mogę do ciebie czasem zaglądać po szkole? – Wpadłam na świetny pomysł, patrząc z nadzieją na babcie.

– Co się pytasz. Przychodź codziennie.

No i właśnie dzięki temu mój ciąg dalszy z Aurelią mógł się dalej wydarzać. I byłam pod ręką, kiedy trzeba było zaopiekować się Tytusem.



– Serio, ty? – zdziwiła się Aurelia, kiedy zadzwoniłam do niej z bijącym sercem i nadzieją, że się zgodzi. Ogłoszenie wisiało na klatce schodowej, a ja od razu wiedziałam, o czyje dziecko chodzi. To byłoby absolutne spełnienie marzeń, więc zaklinałam w głowie rzeczywistość i powtarzałam jak mantrę: „zgódź się, błagam”. – To w zasadzie wcale nie jest taki głupi pomysł. My się chyba całkiem dobrze znamy, no i dorastałyśmy na jednym podwórku. – Aurelia puściła do mnie oko. – Wejdz.

Uśmiechnęłam się. Pamiętam, jak jeszcze mieszkała tu jej mama i jakaś ciotka, wiecznie niezadowolona z życia. I ojciec, choć dojeżdżający, bo pracował jako kierowca tira. Cięża Aurelii, szybkie rozstanie z ojcem dziecka – to było dla nich zdecydowanie za dużo. Nic dziwnego więc, że mieli pretensje, żale, bo rodzina się rozpadła, bo dziecko nie ma ojca, a Aurelia to zdecydowanie zbyt lekko podchodzi do życia. Wiedziałam o tym wszystkim od babci, bo jak wiadomo, w kamienicach nie ma tajemnic. Część jest przekazywana szeptem sąsiadkowym, część można podsłuchać przez ściany, resztę dośpiewuje listonosz. Dobrze, że rodzice i ciotka Aurelii wyprowadzili się do Krakowa, zabierając ze sobą te wszystkie urazy i uszczypliwe komentarze. A ona dzień później przemałowała drzwi na soczysty zielony kolor, następnie zaś kupiła psa.

– To na znak ostatecznego pożegnania się z dawnym życiem – wyjaśniła mi kiedyś. – Rodzice nigdy nie chcieli słyszeć o żadnym zwierzaku, więc po prostu musiałam go mieć.

Doskonale ją rozumiałam. Pies na szczęście okazał się wyjątkowo dopasowany i nigdy nie było z nim żadnych problemów. Kochał Tytusa miłością straszliwą, a Aurelię traktował z przymrużeniem oka. Mnie lubił.

– Dobra, biorę cię – oznajmiła, a ja wyobraziłam sobie, jak wyciągam ramiona i ją obejmuję. Oczywiście pozostałam przy sferze wizji, nie mogłam się przecież aż tak narzucać ze swoim szczęściem.

Wiecie, że ja wtedy w ogóle po raz pierwszy byłam w jej mieszkaniu? Nasze pogawędki odbywały się albo na klatce schodowej, albo na podwórku, albo wreszcie w kawiarni, w której pracowała Aurelia. Było więc coś niesamowitego w tym, że przekroczyłam próg jej mieszkania i mogłam zobaczyć, jak się w nim urządziła. Wąski korytarz w kolorze fuksji, z mnóstwem zdjęć wiszących na ścianach. Niemal na wszystkich była Aurelia lub Tytus. Lub oboje minus ojciec. Nic dziwnego, w końcu sam poprosił o skasowanie go z listy uczestników. Z korytarza wchodziło się do kuchni połączonej z jadalnią i to chyba była nowość, bo w tamtych czasach nikt nie łączył tych dwóch pomieszczeń.

– Kazałam zburzyć ścianę. – Aurelia zrozumiała moje zawahanie wzrokowe.

Dobrze to wyglądało. Zielona kuchnia z zielonymi szafkami, a do tego błękitna jadalnia, w którą ta zieleń dyskretnie wchodziła. Okrągły stół pomalowany białą farbą i błękitne naczynia, które na nim stały. Niby nic wielkiego, ale dla mnie

ten pomysł, to wykonanie, te kolory nieoczywiste i ta inność mieszkaniowa były tylko dowodem na to, co podejrzewałam od dawna.

Aurelia była po prostu niezwykła. Nie pasowała do tamtych czasów, odstawała od stereotypu ówczesnej matki, lubiła stawać w poprzek i pokazywać język konwenansom. Nie obchodziło jej zdanie innych, liczyło się przede wszystkim to, czego ona chciała. Ale to nie tak, że była wyrachowana. Po prostu na pierwszym miejscu stawiała swoje potrzeby, nie przejmując się drobiazgami. Wtedy te warkoczyki na jej głowie były czymś absolutnie nowym, innym, co wzbudzało zaciekawienie, ale i niechęć. Zupełnie się tym nie przejmowała, a im intensywniej ktoś jej się przypatrywał, tym pewniej się czuła. Bardzo jej tego zazdrościłam. Ja zawsze bałam się innych. Ich opinii, ich zdania na mój temat, nawet ich myśli. Kiedyś próbowałam sobie pomalować usta pomarańczową szminką, ale jeszcze szybciej ją zmyłam. Ten kolor pasował tylko do Aurelii.

Tytus obudził się piętnaście minut po tym, jak przyszłam, i od razu do mnie podszedł. Wzięłam go na ręce, posadziłam na kolanach i stopiłam się niczym wosk w andrzejki.

Sama nie mam dzieci.

Nie wyszło.

Nie wyszło też z mężem, choć może zbyt szybko posłuchałam wtedy Aurelii?

Nie chciało mi się niczego naprawiać, nie chciało mi się wybaczać, poza tym w jakimś sensie byłam dumna z tego, że teraz obie jesteśmy singielkami. To nas jeszcze bardziej do siebie zbliżyło.

– Zaczęłaś swoje małżeństwo tortem i szampanem, czemu nie miałybyś go tak zakończyć? – zapytała mnie tego dnia, w którym zostawił mnie mąż, i przyniosła kilka butelek białego wina oraz tort wielkości tyranozaura.

Przeskakujemy teraz o dobrych parę lat do przodu. Muszę wyjaśnić, jak to było z moim rozwodem

Otóż rozwód jest zawsze porażką, nawet jeśli okazuje się jedynym słusznym wyjściem. I nie chodzi tu o złamaną przysięgę, tylko o świadomość, że człowiek nie potrafi utrzymać czegoś do końca. Że się posypało, pękło, rozpadło na tysiące kawałków, a dwóm osobom nie chce się tego składać na nowo. Bo szczerze mówiąc, ja też nie miałam ochoty. Chyba za bardzo mną wstrząsnęła wiadomość, że jestem fasonem, który wyszedł z mody i który trzeba odwieść do szafy. I ta obcość z dnia na dzień. Nie będziemy już razem pili kawy? Nie popatrzymy przez to samo okno? Nie wyciągniemy w tym samym momencie ręki po pilota?

Chciało mi się wyć, ale nie było mi dane porządnie się wypłakać, za co byłam wdzięczna Aurelii. Bo czy rzeczywiście należy opłakiwać coś, co się skończyło? Wszyscy świętujemy śluby, dlaczego miałyby być inaczej z rozwodami? Pewien etap naszego życia został właśnie zakończony, a zaczyna się kolejny. Może lepszy? Może ciekawszy? Może dopiero teraz przeżyję jakąś przygodę, wsiądę na statek albo nawet kosmiczny prom? Niełatwo jest coś zmienić wokół siebie i być może właśnie dlatego zmiany następują czasem zupełnie nieoczekiwanie. Żeby nami potrząsnąć.

– Daj spokój, było, minęło. Jest takie powiedzenie, że coś, co się skończyło, jest jak przeczytana książka lub zwietrzałe wino. Więc nie rycz za czymś, co zbutwiało – powiedziała wtedy do mnie.

No więc nie płakałam. Raz tylko straciłam przytomność na widok bokserek do spania mojego byłego męża, które zaplątały się w pościeli i które odnalazłam dopiero po roku, schowane w poszewce na poduszkę. Nie wiem, czemu ich widok tak mną wstrząsnął, może na moment podrapały mnie wspomnienia, może kopnęła mnie przeszłość, a ja zamiast wzruszyć ramionami, przyjęłam tego kopniaka w samo podbrzusze, no i koniec końców wylądowałam na podłodze. Ocknęłam się z dużym siniakiem na czole, bo zdawało mi się, że ktoś dzwoni do drzwi. Aurelia przyszła w samą porę. Obejrzała głowę, przyłożyła coś zimnego, wyrzuciła bokserki przez otwarte okno i odpaliła komputer.

– Patrz, to jest Julie Vincent, a to Rebecca Hazan, dwie francuskie aktorki ubrane w wieczorowe czerwone sukienki, które urządziły dość nietypowy piknik na Polach Marsowych, u samych stóp samej wieży Eiffla. Zaprosiły mnóstwo koleżanek, znajomych, rodzinę, zorganizowały szampana, kawior i truskawki. „Mijają właśnie dwa lata od naszych rozwodów. Dzisiaj chcemy uczcić pamięć o tym, co było, i wypić za przyszłość” – oznajmiły zebranym gościom. Proponuję podobne przyjęcie i podobny toast. Na miłość boską, ten skurwiel cię zdradził. Zostawił dla innej, porzucił i chyba mentalnie kopnął. Musisz o nim zapomnieć i włączyć tryb „pogodnej singielki”.

Doskonale pamiętam dzień mentalnego kopniaka. Musimy tylko przenieść się do listopada, o ile dobrze pamiętam, był to piątek, a nawet na pewno, bo pracowałam wtedy krócej i wcześniej wróciłam do domu.

Nie, nie zastałam mojego męża fikającego w łóżku z jakąś driadą czy inną nimfą, nie ujeżdżał też żadnego dzikiego króliczka ani nie zatrzasnął w naszej łazience gołej koleżanki z pracy, wmawiając mi, że to hydraulik. Po prostu siedział na łóżku w sypialni, zanurzał ręce we włosy i patrzył tępo we własne buty.

Sygnał?

Sygnał. Mężczyźni są zadaniowi. Nie siedzą beczynnie, patrząc na coś tak nudnego jak obuwie. Nie zanurzają rozpaczliwie dłoni we włosach i nie kotłują się wewnątrz w własnych rozterkach. A ten się kotłował.

Czytałam kiedyś, że prawie dwa miliony lat temu nastąpiła rewolucja seksualna, a wszystko to przez zmianę diety. Wcześniej, gdy australopiteki żywiły się niemal wyłącznie roślinnością, rozrzuconą na dużych odległościach, panowała „moda” na poligamię. Tam gdzie pokarm, tam kobieta. Kiedy jednak *homo erectus* zasmakował w mięsie i zaczął posługiwać się ostrymi narzędziami, dalekie wyprawy stały się niebezpieczne. Pozostawał więc na miejscu, na ogół z jedną samicą. Wierność stała się cenna, a dążyła do niej głównie kobieta, która koniecznie chciała utrzymać przy sobie partnera, opiekuna rodziny i zdobywcę pokarmu w jednym. Ale potem znowu się wszystko popieprzyło, a mięso może dzisiaj przecież zdobyć każdy. U rzeźnika. Więc po co nam wierność?

– Jak ma na imię? – spytałam zatem, bo jestem z natury inteligentna, a poza tym posiadam siedemdziesiąty dziewiąty zmysł, jeśli chodzi o nietypowe męskie zachowania.

Nie pamiętam tego imienia albo może nie mam ochoty go pamiętać.

Wierność.

Przeżytek.

Pamiętam, że niejaki Kazimierz Imieliński w *Seksuologii społecznej* napisał kiedyś, że człowiek z natury szuka nowych wrażeń, bo poszukiwanie stymuluje jego rozwój. Niestety miał rację. Czytałam o tym na studiach, a ciągle aktualne. Rozwody, zdrady i romanse zawsze już będą częścią naszego życia i żadne egzorcyzmy czy zaklęcie rzeczywistości temu nie zapobiegną. Wierne są tylko krewetki, które mieszkają parami w norkach i nawzajem się pilnują, koniki morskie, żaby i ropuchy. Ale już gruchające gołąbki, klasyczny symbol miłości, to podobno niezłe puszczalskie. Ludzie z kolei wierni są... niewierności, bowiem z genetycznego i biologicznego punktu widzenia monogamistami nie jesteśmy. Mój mąż na pewno nie był krewetką.

Potem przepraszał i chyba nawet próbował zawrócić kijem rzekę, co – jak wiadomo – nikomu jeszcze się nie udało. Powiedział, że jeśli będę nalegać, to on ewentualnie to przemyśli, choć niechętnie. Bo wolałby się wyprowadzić, ale nie

chciałby mieć mnie na sumieniu.

Może myślał, że zawisnę na żyrandolu? Że połknę pół apteki? Zanurkuję na zawsze w wannie?

On był w naszym związku panem dyrektorem, a ja sekretarką i o ile jest to dopuszczalne w firmie, o tyle we własnych czterech ścianach staje się z czasem niewygodne. Zwłaszcza dla sekretarki. Buntowałam się, choć po cichu, aż w końcu zostałam wymieniona właśnie dlatego, że bunt był zbyt cichy. Nikt nie lubi potulnych owieczek, chyba że jest psychopata. Mój mąż nie był. Po prostu robił to, na co mu pozwalałam, i z czasem został moim szefem. Najwyraźniej wcale tego nie oczekiwał.

– Chyba rozumiesz, że ten związek na dłuższą metę nie ma prawa funkcjonować? – spytał mnie, pakując walizkę, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Tak? Nie?

– Duszę się – dodał jeszcze.

Usiadłam na krześle i zapatrzyłam się na stare wypracowanie Tytusa, które leżało na stole, bo jakimś cudem zaplątało się w niepotrzebnych papierach i gazetach.

*Dzisiaj mama zrobiła naleśniki. Zjadłem trzy. Ze śmietaną i cukrem. Kolega przyniósł do szkoły pączki. Zjadłem trzy. A potem jeszcze cukierka. Pod koniec lekcji zwróciłem to, co zjadłem.*

*Tytus*

Ja wieczorem też zwróciłam. Wypluwałam z siebie naszych osiem lat małżeństwa, nasze wszystkie wspólne wakacje, nasze Boże Narodzenia i urodziny. Aurelia głaskała mnie po głowie, a Tytus w tym czasie grzebał w moich kuchennych szafkach.

– Masz czekoladę?

– No wiesz? – spytała groźnie Aurelia. – Pociesz ją raczej, a nie obżeraj się haniebnie.

Pociągnęłam nosem i pobiegłam do toalety.

– I dobrze – skwitowała moja przyjaciółka. – Lepiej rzygać niż wylewać łzy za dupkiem.

Naprawdę mi wtedy pomogła. Przytrzymała, żebym nie upadła, żebym się nie rozkleiła, nie popękała i nie została ze mnie kupka gruzu. I jak ja się teraz jej odwdzięczam?

Była też następnego dnia, kiedy Jan przyszedł po resztę swoich rzeczy. Nie umiałam być sama w tej chorej sytuacji, poza tym miałam cichą nadzieję, że przy niej wszystko odszczeka. Albo że ona go zabije.

– Spierdalaj – powiedziała jednak do mojego zdumionego męża, tak jak przed laty powiedziała do ojca swojego dziecka.

A potem, kiedy wykonał polecenie, chciała mnie natychmiast zabrać do Szwajcarii.

– Ale jak to? Teraz? Po co? – spytałam, pociągając nosem, bo na łzy mi przecież nie pozwoliła.

Wzruszyła ramionami, przygryzła wargę i zmarszczyła czoło.

Czemu Szwajcaria? Bo znalazła tam jakąś wykładowczynię teologii feministycznej w Centrum Kształcenia w Lucernie, która upierała się, aby wszystkie kościoły, a nie tylko ewangelicko-reformatorskie, wprowadziły msze rozwodowe. Li Hangartner, tak chyba miała na imię.

– Takie msze powinny być stałą składową każdego kościoła. Katolicyzm zyskałby o wiele więcej sympatyków, gdyby wyciągał rękę do ludzi, którym zabrakło sił, by dalej się kochać – mówiła Aurelia.

Bo ja miałam ślub kościelny. Na biało i na różowo. Z bukietem białych piwonii. Dobrze, że lubię je nadal i że nie kojarzą mi się z życiową porażką.

– A co jest podczas takiej mszy? – spytałam, choć chyba wcale mnie to nie interesowało.

– Przechodzisz przez cztery stacje – czerwona chusta symbolizuje ranę i ból, czarna – rozpacz, niebieska – wodę życia, a zielona – nadzieję. Możesz też opisać swoje odczucia i emocje na kartce, a nawet pozbyć się obrączki. Można ją wrzucić do jeziora albo zakopać. To daje szansę na emocjonalne oczyszczenie i pożegnanie przeszłości.

Ja chyba nigdy emocjonalnie się nie oczyściłam. I nie obchodziły mnie żadne chusty, nieważne w jakim kolorze.

Dobrze, że był Tytus. Miał wtedy już siedemnaście lat i rozumiał więcej, niż nam się wydawało. Przytulił mnie tylko, nic nie powiedział, nie komentował, nie proponował chust ani wyrzucania obrączki, nie proponował przyjęcia na Polach Marsowych. Ale wiedziałam, że jest i w razie czego poklepie mnie po plecach.

– Ko, ty się nic nie martw. Zajmiemy się tobą, żebyś nie musiała płakać za dużo. Chcesz popłynąć ze mną latem na Mazury?

Nie popłynęłam wtedy, może i dobrze.

Niecałe osiem lat byłam mężatką. Siedem z nich próbowałam zająć w ciążę. Ale jakoś tak bez przekonania, bo przecież miałam Tytusa. Wprawdzie wyrósł już z pieluch i miał wszystkie stałe zęby, ale ciągle wydawało mi się, że jest moim przyszywanym synem. Bardzo długo tak o nim myślałam i bardzo długo patrzyłam w jego stronę mamusiowo.

Aż pewnego dnia zgubiłam te wszystkie matczyne odczucia i spojrzałam na niego za bardzo. Nie umiem dokładnie określić momentu, w którym to się stało. Nie potrafię podać dnia, godziny, nawet miesiąca nie kojarzę. Na to spojrzenie

wolne od matczynej nuty złożyło się bardzo dużo małych i większych zdarzeń, krótkich i dłuższych spotkań, rozmów o wszystkim i o niczym. Przypadkowy dotyk, uśmiech nieco cieplejszy niż zazwyczaj, niezobowiązujące spotkanie, ale czy tak zupełnie niewinne? I wreszcie te kwiaty.

Wślizgnę się teraz w maj. Ten z początku mojej opowieści.

Maj, wtorek i bardzo ciepło

– Dla mnie? – spytałam więc w ten majowy wtorek, pamiętacie?

Czy coś wydarzyło się przedtem? Jakiś gest, słowo, cokolwiek? Nic, na czym mogłabym się zaczepić. Nic, co skłoniłoby mnie do całkowitej zmiany myślenia. Naprawdę nie wiem.

Po prostu siedzieliśmy razem, mocząc nogi w fontannie, patrząc przed siebie i milcząc niezobowiązująco i wcale nie było w tym patosu. Nie było też infantylnej nuty, choć piwonie pachniały zawrotnie i były przecież różowe. Ten kolor nie ma dobrej sławy, nie w historiach o miłości, bo dodaje niepotrzebnego romantyzmu, który przecież i tak w nas był. Ludzie dzielą się na tych, którzy kochają zachody słońca, i tych, którzy wolą, kiedy zacina deszcz.

Kwiaty były podarowane spontanicznie. I oczywiście daleko im było do miłosnego scenariusza, nie stanowiły też tła romansu wszech czasów, to był po prostu miły gest.

– Koło zamku stała starsza kobieta o uśmiechu wielkanocnego zajączka i miała w wiaderku kilka bukietów. Pomyślałam, że jeden ci podaruję. – Uśmiechnął się tylko, a ja najpierw byłam zaskoczona, potem się zarumieniłam, a na koniec pomyślałam, że lubię maj. Oraz wielkanocne zajączki.

Umówiliśmy się, żeby obgadać przyjęcie imieninowe dla Aurelii i zastanowić się, gdzie je zorganizować, żeby nie była wściekła, nie kręciła nosem i była naprawdę zaskoczona. Przyjęć niespodzianek szczerze nie znosiła, zwłaszcza od czasu, kiedy poinformowała kolegę z pracy, co sądzi o pozostałych współpracownikach, nie mając pojęcia, że siedzą schowani w jednym z boksów i słyszą dokładnie każdy epitet.

Aurelia pracowała jako analityk rynku. Ekonomię ukończyła na samych piątkach, mimo iż zaliczyła też ciężę, a potem małego Tytusa w domu. Zawzięła się jednak i udowodniła wszystkim, że analityczny mózg potrafi sobie poradzić z dużo większymi problemami niż wierzgające niemowlę.

– No i udało się – oznajmiła zdumionej rodzinie. – Od dzisiaj jestem specjalistką od funkcjonowania konkretnych rynków, w tym nieruchomości, usług transportowych, turystycznych i reklamowych. A Tytus w żaden sposób mi tego nie popsuł. Rozstanie z jego ojcem również nie.

Jak już wspominałam, została w swoim mieszkaniu na Woźnej, kiedy jej rodzice przeprowadzili się do innego miasta. Po śmierci babci (tej ze strony taty) miałam cichą nadzieję, że dostanę w spadku jej lokum i będziemy znowu mogły mieszkać blisko siebie. Ale rodzice sprzedali mieszkanie i dołożyli się do zakupu większego, w ramach prezentu z okazji mojego ślubu. Aurelia uznała, że marketingowo było to posunięcie do dupy, bo mogłam mieć tylko swoją własność i w razie czego nieruchomość na sprzedaż, a tak utopiłam pieniądze w tak zwanym



majątku wspólnym. Na szczęście podczas rozwodu mój mąż wspaniałomyślnie zrzekł się swojej części i pozwolił mi zostać jedyną właścicielką mieszkania. Ta wspaniałomyślność nie była tak zupełnie spontaniczna i wypływająca z dobroci jego skruszonego serca, po prostu Aurelia zagroziła mu, że wniosę o rozwód z orzeczeniem o winie i zostaną mu tylko gacie i stara wędka, którą nabył jeszcze przed ślubem. Na wszelki wypadek dostałam zatem mieszkanie, za co byłam Aurelii ogromnie wdzięczna. Uśmiechnęła się wtedy swoim analitycznym uśmiechem kobiety sukcesu.

– Daj spokój, należało ci się. Facet powinien jeszcze oddać nerkę, tak na wszelki wypadek.

W firmie konsultingowej, w której pracowała, nie przyjaźniła się z nikim, każdy bowiem stanowił specyficzną konkurencję drugiej osoby. Profilaktycznie lepiej było więc unikać spoufalania się, co nie znaczy, iż nie organizowano przyjęć niespodzianek w kiczowatym amerykańskim stylu.

*Surprise!*

Tak, ten okrzyk był równie obrzydliwy jak zepsuta wątrobianka, przynajmniej dla Aurelii.

– Może napijemy się czegoś? – zaproponował w pewne czwartkowe popołudnie kolega z pracy, którego zadaniem było wywabienie Aurelii do pokoiku parzenia kawy i odciążenie jej uwagi od pozostałych kolegów, którzy mieli się schować pod stołami, a potem wrzasnąć urodzinowo.

Pierwsza część planu przebiegła idealnie, Aurelia miała ochotę na kawę, na kawę z cukrem i mlekiem, a nawet na towarzystwo kolegi, choć nie do końca pamiętała jego imię. Pobawiła się zatem nowym ekspresem, który dostali w prezencie od szefa, zrobiła sobie cappuccino z puszystą pianką i łyżeczką cukru trzcinowego, a potem zaproponowała koledze espresso czarne jak kopalnia węgla, choć to przecież on miał zrobić im coś do picia. Ale Aurelia zawsze jakoś prędzej czy później przejmowała inicjatywę. Wracając do sali pełnej analityków, którzy nagle gdzieś zniknęli, oznajmiła głośno:

– Nareszcie pusto. Nareszcie nie słyszę skrzeczącego głosu Ewuni, która siedzi po lewej ode mnie i która powinna raczej nagrać najnowszą wersję *Ptasiego radia* niż dyskutować o czynnikach makroekonomicznych w analizie rynku. I nie widzę pryszczatej twarzy tego tu – machnęła ręką w stronę biurka koło okna – Tomek? Romek?

– Karol – odpowiedział odrobinę zaczerwieniony kolega, próbując szybko zmienić temat. – Niedługo weekend, coś planujesz?

Aurelia wzruszyła ramionami.

– Nie muszę. Poza tym weekend to przede wszystkim wolność, a dla mnie wolność zaczyna się w momencie, kiedy stąd wychodzę i kiedy nie dopadnie mnie Emilka, której nikt nie ma odwagi powiedzieć, że jej perfumy są bardziej duszące

niż wściekły boa. Wszyscy tylko wietrzą salę, nawet zimą, zamiast podejść i oznajmić: wylej to do kibla. No dobrze, ja też mogłabym to zrobić – przyznała po chwili.

I wtedy kolega klasnął w dłonie, żeby przerwać Aurelii i żeby wreszcie można było wrzasnąć *surprise* i zakończyć te katastrofalne urodziny. Okrzyk był dość kiepski, miny kolegów mało entuzjastyczne, a przyjęcie skończyło się, zanim ktokolwiek zdążył wgrzyźć się w swojego pączka.

– Naprawdę mam duszące perfumy? – spytała pół godziny później Emilka, a Aurelia uznała, że trzeba w końcu powiedzieć prawdę. Zresztą mleko czy raczej zapachowa woda Emilki i tak już się rozlała.

– Masz. Śmierdzą jak zatęchła beczka. Nie, jest gorzej. One kojarzą mi się z olejkiem różanym, który czasem stosuje się w przemyśle piekarniczym. Są krzykliwe, duszące, chwytające za gardło, nachalnie narzucające się nozdrzom i samoprzyczepne, bo na wszystkim, czego dotkną, pozostawiają swój smród. Nie można przed nimi uciec, choć ciało krzyczy dość. I, tego, dziękuję za życzenia – dodała jeszcze, a potem głośno obwieściła, że nie chce żadnych urodzinowych niespodzianek nigdy więcej.

Na szczęście cała reszta też już nie miała na to ochoty. A Aurelia od tego feralnego dnia postanowiła, że będzie obchodzić imieniny.

– Masz jakiś pomysł? – spytałam teraz Tytusa, wpatrując się w różowość piwonii i nawet wciskając w nie nos. Pachniały piękne, były piękne, poczułam majowość w sercu i infantylizm w mózgu. Dawno tak się nie czułam. Zupełnie jakbym nagle się przebudziła i znowu miała dwadzieścia kilka lat. Chyba zanuciłam nawet coś pod nosem.

Trudno. Czasem można.

Pokręcił przecząco głową. Chyba się wtedy trochę zapatrzyłam w te jego kręcone włosy i oczy, tak bardzo podobne do oczu Aurelii. Tyle że ona była gorzką czekoladą, a Tytus raczej mleczną. Za to miał ciemniejszą karnację i asymetryczne brwi. Jedna była znacznie krótsza, zupełnie jakby nie starczyło włosków na całość. Potem opiszę wam go jeszcze dokładniej.

– Mamie niełatwo czymś zaimponować, ale i tak mam ochotę przynajmniej spróbować ją zaskoczyć. Oczywiście bez żadnych świadków i kolegów z pracy, zresztą ona chyba naprawdę ich nie lubi.

– W zeszłym roku wysłaliśmy ją na weekend do spa – przypomniałam. To był udany prezent, poza tym skończył się namiętym seksem z masażystą, przynajmniej tak mi opowiedziała Aurelia.

Trochę jej tego zazdrościłam, bo ja z całą pewnością nigdy nie odważyłabym się wysłać nawet załączka sygnału w stronę obcego mężczyzny, na dodatek masażysty w jakimś kurorcie. Kto wie, ile kobiet masował wcześniej, i to w pakiecie z masażem wewnętrznym. Zresztą w spa byłam może dwa razy w życiu

i za każdym razem natrafiałam na masażystki. Ale ponieważ człowiek jest tym, o czym myśli, najwyraźniej nie było mi dane poznać smaku przypadkowego seksu. Ale Aurelia myślała zupełnie inaczej, nie miała w sobie blokad, była bardziej spontaniczna i lubiła, kiedy działo się coś, czego wcześniej nie planowała. Życie miało wprawiać w osłupienie, miało zaskakiwać i rozdawać bonusy atrakcji. Jej syn był dokładnie taki sam.

– Wiem! – Nagle mnie olśniło. – Lot w tunelu aerodynamicznym.

Tytus spojrzął na mnie, jakby zobaczył gołębia w berecie, ale po chwili gwizdnął z uznaniem.

– To brzmi bardzo w stylu Aurelii. A co tam się dokładnie robi?

– No, chyba lata. – Wzruszyłam ramionami. – Wiem, że w takim tunelu puszczają strumień powietrza z jakąś ogromną prędkością, a ty się po prostu na nim kładziesz i unosisz w powietrzu. Czujesz się jak skoczek spadochronowy, tyle że nie ma obawy przed nieotwarcieniem się czaszy.

– Koralia, jesteś genialna. – Pochylił się w moją stronę i pocałował mnie w policzek.

I teraz pojawia się pytanie. Tytus często całował mnie w policzek, jeden, drugi, oba, czasem w głowę, czasem w rękę. Przytulał, obejmował, klepał po plecach. To dlaczego właśnie teraz poczułam jakieś dziwne ciepło, zupełnie jakby ten pocałunek mógł mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jakiegokolwiek inne niż do tej pory. Bo dostałam piwonie? Bo jest maj, zapowiedź lata, bo czuję zapach wody w fontannie, a w powietrzu unoszą się feromony zakochania?

Następnego dnia mi przeszło i nawet obudziłam się jakaś zażenowana, że w mojej głowie narodziła się myśl absurda. Że pozwoliłam jej wykiełkować, tylko dlatego, że ktoś podarował mi kwiaty.

Wyrwałam pęd, zasypałam myśl innymi myślami i poszłam do pracy oczyszczona.

Zamówienie na cztery kartony długopisów z logo firmy rzeźniczej wypłukało mnie do reszty z wczorajszego ogłupienia i kazało znowu wejść w tryb kobiety czterdziestoletniej, która potulnie wykonuje zadania, może nudne, może powtarzalne, ale przynajmniej bezpieczne.

Wieczorem postanowiłam być szczerą wobec samej siebie i uczciwie odpowiedzieć na pytanie, czy jestem szczęśliwa i dlaczego pomyślałam dzisiaj o Tytusie nieco inaczej niż zwykle. Przygotowałam się do tej rozmowy „w cztery oczy” bardzo profesjonalnie. Zaparzyłam herbatę, którą wymieniłam po namyśle na wino, pomalowałam rzęsy, bo zawsze wtedy jakoś pewniej się czuję, i spojrzałam odważnie w lustro.

Nadmienię jeszcze, że byłam ubrana w piżamkę flanelową, co trochę psuło powagę chwili. Wrzucę tu małą dygresję piżamkową, która skupi się głównie na tym, że nie jestem jedyną kobietą na świecie, która nie nosi muślinowych koszulek

ani koronkowej bielizny do spania. Tak, kocham flanelkę. Mięciutką, milutką, przyjemną i mogą być na niej kotki. Śpię w niej cały rok, bez względu na pogodę za oknem. Lubię też takie puszyste skarpetki one size, z systemem antypoślizgowym, który może czasem uratować życie. Skarpetki noszę głównie jesienią i zimą, chociaż zdarzyło mi się założyć je również latem, kiedy pogoda nie dopasowała się do kalendarza.

Koniec dygresji.

Wino rozwiązało mi nieco język, ale chyba splątało myśli.

– Absolutnie niczego nie poczułam, po prostu te kwiaty, one mi trochę namieszały w głowie i naprawdę nie poczułam niczego więcej, poza tym, że jestem samotna i chyba dawno nie uprawiałam seksu, ale to chyba normalne u kobiet w moim wieku, a jak nie, to znaczy, że mam pecha. Kocham piwonie, zawsze je uwielbiałam, a do tego słońce i nogi w fontannie, nic dziwnego, że straciłam rozum. Absolutnie niczego nie poczułam, po prostu te kwiaty, one mi trochę namieszały w głowie... E... chyba się powtarzam, ale wolno mi, w końcu jestem u siebie.

Rzadko kiedy pijam wino w samotności, ale tym razem naprawdę potrzebowałam procentowego wsparcia. Poszłam do łóżka, kiedy zaczęło mi się wydawać, że kotki z mojej flanelki spacerują po podłodze, miauczą i próbują skoczyć na podwieszoną pod sufitem paprotkę.

Luty, walentynki, ale rok wcześniej

Absolutnie nigdy nie obchodziłam tego święta. Nie dlatego, że go nie lubię, po prostu nigdy nie przywiązywałam wagi do tego rodzaju dni. Nie obchodzę też Dnia Kobiet, Dnia Chłopaka, Dnia Górnika ani Hutnika również. Pamiętam tylko o urodzinach i rocznicy ślubu. To znaczy o tej ostatniej już nie muszę pamiętać, czyli pozostają tylko urodziny.

Kiedy byłam jeszcze nastolatką, ale coraz bardziej pachniałam dojrzałością, walentynki dopiero raczkowały. Pamiętam rok 1992 albo 1993. Żeńska część mojej klasy oddychała tego dnia nieco szybciej, a co niektóre siedemnastoletnie serca grały w piersiach pieśń nadziei. Podświadomie bowiem każda z nas liczyła na jakiś gest sympatii, na walentynkową kartkę, a może nawet kwiatek. Media otworzyły się na nową modę i zaprosiły ją do naszego kraju, szeroko uchylając drzwi. One dostrzegły w tym żyłą złota, my nadzieję na miłość. A gazety tylko nas w tym utwierdzały.

*Piękny bukiet jest zawsze miłym upominkiem. Pod warunkiem jednak, że zadasz sobie trochę trudu. Po pierwsze, dowiedz się, jakie kwiaty lubi twój partner/partnerka. Jeśli uwielbia tulipany – zatroszcz się o ten właśnie rodzaj kwiatka. Nawet jednym tulipanem w ozdobnej doniczce sprawisz drugiej osobie więcej radości niż wiązką pstrokatych gerber, których nie znosi. Po drugie, spróbuj wysłać kwiaty przez posłańca. Po trzecie, zamów bukiet w nietypowym kształcie – serca, kuli czy też inicjałów ukochanej osoby.*

Nic dziwnego, że zrobiliśmy się maślane i oczekiwałyśmy posłańca, serca kwiatowego, a ja bukietu piwonii od chłopaka z równoległej klasy. Co prawda nie mógł wiedzieć, że go potajemnie kocham, ale liczyłam, że jednak się domyśli. Dzień później, czyli piętnastego lutego, wiedziałyśmy już, że oczekiwania i rzeczywistość niewiele mają ze sobą wspólnego. Nasi siedemnastoletni rówieśnicy kompletnie nie odnaleźli się w tym święcie, więc ja również wzruszyłam w końcu ramionami i doszłam do wniosku, że jest głupie. A kolega mało spostrzegawczy.

Ale wróćmy do walentynek sprzed roku. Wpadłam wieczorem do Aurelii, która zaliczyła tego dnia kanałowe leczenie siódemki i potrzebowała wsparcia w postaci użalania się nad jej zmarnowanym Dniem Zakochanych. Nie, ona też nie obchodziła tego święta, ale teraz miała pretekst, żeby ponarzekać, że obchodzić go nie może. Taki paradoks kobiecej niekonsekwencji.

Za to Tytus wybierał się na randkę, ale zanim się wybrał, przyjechał jeszcze do mamy zobaczyć, czy opuchlizna po kanałówce systematycznie się zmniejsza i czy Aurelii wolno już wypić lampkę wina.

A wiecie, że ja mieszkałam dokładnie między nimi? Wyjaśnię to bardziej precyzyjnie, żeby każdy z was dokładnie zrozumiał. Potrzebowałam pół godziny

pieszo zarówno do mieszkania Aurelii, jak i pół godziny do mieszkania Tytusa. Tyle że w drugą stronę. Tytus wynajmował przytulne dwupokojowe lokum od pewnej staruszki, która dzwoniła do niego siedem razy w miesiącu, zmieniając wysokość czynszu, przy czym raz go zawyżała, a raz zaniżała. Koniec końców płacił tyle samo i chociaż Aurelia chciała, żeby nareszcie spisał jakąś konkretną umowę, on tylko machał ręką.

– Daj spokój, to niczego nie zmieni. Poza tym ta kobieta cieszy się, kiedy może ze mną pogadać i zaskoczyć zmianą czynszu. Myślę, że to taka nasza zabawa, choć nikt do końca nie ogarnął jej reguł. Ale za to pomalowałem jej drzwi na zielono, bo mnie o to poprosiła. Podobny kolor do twoich – cieszył się jak dziecko.

– A jak za tydzień zechce fioletowe? – spytała Aurelia.

Tytus się roześmiał.

– To odczekam, aż znowu zapragnie zielonych. Ona zawsze wraca do punktu wyjścia.

Taki właśnie był Tytus. Lubił ludzi. Po prostu.

A teraz szykował się na randkę i brał szybki prysznic. Wybiegł z łazienki owinięty ręcznikiem i z mokrymi włosami, a ja dziwnie się spieszyłam. Zupełnie jakby widok półnagiego mężczyzny był szokujący niczym atak rekina. Zaplątałam się nawet we własne nogi, udając, że potknęłam się o dywan.

– Ja nie mam dywanu – słusznie zauważyła Aurelia, więc zmieniłam dywan na nogę od krzesła. – Aha – powiedziała tylko.

Obserwowałam go potem spod oka, niby od niechcienia i zupełnie ot, tak sobie. Zdecydowanie mógł się podobać, nic dziwnego zatem, że ciągle ktoś się wokół niego kręcił. Ale nigdy żadnej ze swojej przyjaciółek nam nie przedstawiał, a kiedy pytałam Aurelię, czy to coś poważnego, tylko wzruszała ramionami.

– Wątpię. Na wszystkie patrzy podobnie.

Inna sprawa, że spojrzenie Tytusa ogólnie było rozmiękczone. Na każdą kobietę, bez względu na wiek, stopień pomarszczenia skóry, kolor spódnicy czy też nieoczywistość urodową, spoglądał tak, jakby była kimś wyjątkowym. Zawsze się przy tym odrobinę pochylał i zawsze słuchał z zaciekawieniem. I patrzył miękko, aksamitnie, jak materac gąbkowy, jak mech w lesie i poduszka z kaczego puchu. I pewnie dlatego kobiety podchodziły bliżej i bez nieufności, a nawet z nadzieją, że będzie na nie patrzył już tak zawsze. Po rozwodzie uświadomiłam sobie, że większość z nas najbardziej boi się odrzucenia. Odepchnięcia. I pewnie dlatego jesteśmy nieufne wobec nowych znajomości, a na mężczyzn patrzymy ostrożnie. Przy Tytusie te wątpliwości topniały. On nie oceniał wzrokiem, nie wystawiał punktów od jednego do dziesięciu, tylko słuchał, głaskał wzrokiem i zawsze się uśmiechał. Nic dziwnego, że kobiety miękły.

Ale Tytus ciągle jeszcze nie był tak naprawdę zakochany. I nawet teraz,

kiedy za piętnaście minut miał się spotkać z jakąś kolejną koleżanką, nie było w jego ruchach chaosu, nie było wahania, niepewności i tego napięcia, które zawsze towarzyszy spotkaniom z kimś wyjątkowym.

– Jak ma na imię? – spytałam.

– Matylda.

– Ładna jest?

Roześmiał się.

– Bardzo i nawet dobrze nam się ze sobą rozmawia.

I właśnie wtedy po raz pierwszy poczułam maleńkie szarpnięcie z prawej strony serca. Nie odebrałam tego jako zazdrości, w ogóle mi to wtedy nie przyszło do głowy. To był raczej oberżynowy odcień smutku, wymieszany z przeświadczeniem, że mój czas zmysłów i namiętności najwyraźniej dobiegł końca. I że mam jakiś etap za sobą, a wcale tego nie chcę, bo kiedy patrzę na Tytusa, na jego koszulkę z czerwonym napisem i niedokładnie wysuszone włosy, to też chciałabym pójść z nim na randkę.

Powiedziałam „z nim”?

To było uogólnienie. W ogóle na randkę.

Kiedy przegapiłam swoją kobiecość? Kiedy atrakcyjność, wdzięk i zalotność ustąpiły miejsca prozaiczności, monotonii i ómom zwykłości? Byłam jakaś bezznaczeniowa. Nijaka, popielata, z domieszką kilku piegów na nosie. Kiedy skończył się czas filuternego spoglądania w lustro i eksperymentowania z samą sobą? Człowiek nie starzeje się dlatego, że jego metryka pokazuje mu taką, a nie inną datę, ale z powodu własnych ograniczeń. Z obsesji bycia idealnym, akuratnym, dopasowanym do standardów. Za każdym razem, kiedy wchodzę do publicznej toalety, wycieram dokładnie klapę, żeby nikt, kto po mnie wejdzie, nie pomyślał, że to ja na nią nasikałam. Kogo się wstydzę? Kobiety, której już nigdy w życiu nie spotkam? Dziewczyny, która nawet nie zapamiętała mojej twarzy? Ciągłe robimy coś, bo wypada, bo tak trzeba, bo tego się od nas oczekuje. I właśnie w tym dniu, kiedy wytarcie cudzych sików na klapie w miejskim kiblu staje się dla nas ważne, splukujemy swoje dzieciństwo. Koniec ze spontanicznością, bezpośredniością i naturalnością. Właśnie nastąpiła era wewnętrznych barier. Śmiech już nie jest odruchowy, staje się dokładnie przemyślanym grymasem twarzy.

– Ładnie nam wyrósł, nie? – Aurelia trąciła mnie kolanem, budząc z chwilowego odrętwienia.

Ładnie. Ciemne włosy, wysoki, duże dłonie, te dziwne brwi, o których już wspominałam, umięśniony umiarkowanie, ale wystarczy, przyjemne stopy. Można mieć przyjemne stopy? I jeszcze usta miał duże, zazwyczaj mówi się „mięsiste”, ale to okropny wyraz. Lepiej brzmi pełne, wydatne albo po prostu apetyczne.

– I na dodatek ma całkiem dobrze poukładane w głowie. Możemy być dumne.

Wdzięczna jej byłam za to „my”, chociaż przez ułamek sekundy pomyślałam wtedy, że chciałabym nie znać wcześniej Tytusa, tylko spotkać go kiedyś na ulicy i zatopić się w jego oczach.

Trywialność tej myśli otrzeźwiła mnie już chwilę później.

Tego dnia spędziłam walentynki u Aurelii, chociaż miałam ochotę uciec do domu i schować się pod kocem. Zasnąć, przespać, udać, że w ogóle mnie ten dzień nie obchodzi. Bo przecież dotąd tak właśnie było. Więc czemu dzisiaj poczułam się wystawiona poza nawias i przełożona do pojemnika z napisem „krótki termin ważności”?

Spłukałam swój przygnębiający nastrój dużą ilością czerwonego wina, a potem zasnęłam na fotelu Aurelii, podczas gdy ona spała już na kanapie, trzymając się za policzek, trochę jeszcze spuchnięty po kanałowym leczeniu siódemki.



Marzec, możliwe, że to był piątek. Oczywiście znowu cofamy się w czasie, a ja mam dwadzieścia lat

Podobno na przyjaciół wybieramy sobie ludzi, którzy są rozwiązaniem naszych emocjonalnych problemów. Moim podświadomym deficytem była zdecydowanie akceptacja. Złe. Brak akceptacji. Rodzice wiecznie zabiegani, dużo starsi, bo przytrafiłam im się pod sam koniec nadziei, kiedy mama miała już czterdzieści dwa lata, a tata o pięć więcej. Chuchali na mnie i głaskali jak kotka, ale nie rozumieli. Nie akceptowali niektórych wyborów, próbowali przeciągnąć mnie na swoją stronę liny, wytłumaczyć, że wybrałam zły klucz do złych drzwi. Wszystko to robili z miłości, tyle że ciągle jakoś się rozmijaliśmy z oczekiwaniami wobec siebie.

„Nie powinnaś chodzić tak późno spać”. To mama.

„Koncerty nie są bezpieczne, w tłumie łatwo o wypadek”. To tata.

„Obetnij włosy, będzie ci wygodniej”. Mama.

„Ludzie z tatuażami są dziwni”. Tata.

A Aurelia kupiła mnie w całości. Miałam tylko dwadzieścia lat, kiedy na dobre wkroczyłam w jej życie, to był idealny wiek, bo wreszcie nie patrzyła na mnie jak na dużo młodszą gówniarę. Traktowała mnie raczej jak partnera i chociaż wtedy jeszcze nie mogło być mowy o przyjaźni, to przynajmniej było zrozumienie. I widziała mnie. A rodzice patrzyli trochę jak przez szybę, szukając poza mną innych, lepszych rozwiązań.

– Dlaczego wybrałaś właśnie filozofię? – pytała na przykład mama, a tata od razu zaznaczył, że nie znajdę żadnej dobrej pracy.

Aurelia tylko uniosła z zaciekawieniem brwi.

– Fajne. W dzisiejszych czasach wszyscy wolą albo prawo, albo zarządzanie, bo to im daje nadzieję na lepszą przyszłość, choć moim zdaniem to złudne. Robisz to, co z ciebie wypływa, a nie wizualizujesz bohaterów artykułów prasowych. Zresztą to chyba bez sensu zapełniać ziemię sformatowanymi korpolutami. Świat potrzebuje również filozofów, choćby po to, by od czasu do czasu nie myśleć racjonalnie i nie przeliczać wszystkiego na gotówkę. Wystarczy, że ja analizuję rynki finansowe.

Pewnie, że po studiach nie miałam pomysłu, co dalej ze sobą robić. Na uczelni nie chciałam zostać. Ale mogłam na przykład wyjechać do Szkocji i tam uczyć dzieci filozofii. Może nie Kanta czy Heideggera, ale podobno w szkockich szkołach podstawowych wprowadzono filozofię dla najmłodszych i uczono, jak rozmawiać o prawdzie, szczerości, miłości i śmierci.

Oczywiście nie pojechałam do Szkocji. Była Aurelia, Tytus, był mój strach przed skokiem do jeziora, w którym nie widać dna. Mogłam pisać mądre artykuły i książki jeszcze mądrzejsze. Tylko że nikt ich nie chciał. Nie było

zapotrzebowania na rozważania o bycie, o tym, co siedzi w naszych głowach i jak bardzo rządzi naszym życiem przypadek. Ludzie nie szukali tekstów o nieskończoności ani odpowiedzi na słynne pytanie Leibniza „Dlaczego jest mnóstwo rzeczy raczej niż prawie nic?”.

Mogłam tłumaczyć filozoficzne teksty Szekspira. Ale też się nie udało. I dlatego jestem magistrem filozofii, który pracuje jako... sekretarka. Trzy dni w tygodniu. Oficjalnie jestem asystentką prezesa, ale tak naprawdę to w niczym mu nie asystuję. A on też nie jest takim prawdziwym prezesem, tylko mężem koleżanki ze studiów. I to ona załatwiła mi tę pracę, widząc, jak się filozoficznie miotam. W jakimś sensie rozwijamy się wszyscy wspólnie z firmą produkującą akcesoria i gadżety dla innych firm. Prezes ma na imię Wojtek, jego żona Iga i pełni funkcję wiceprezesa, a potem jestem ja, asystentka, i pani Zosia – księgowa. Więcej nas nie ma, a torby, kubki, długopisy, koszulki czy czekoladki z logo robią dla nas zewnętrzne firmy. To nie są gigantyczne zamówienia i nasz prezes nie jeździ złotym porsche, ale przynajmniej jest stabilnie. A ponieważ wiceprezes, czyli Iga, jest dokładnie w moim wieku, nie może mi zarzucić, że jestem stara i muszą mnie wymienić na młodszą dziewczę z jędrną skórą.

To byłby strzał w kolano. Żadna czterdziestolatka tego nie robi.

W zasadzie jest mi tu dobrze, bo niestety jestem mało ambitna. W ogóle na przykład nie wyobrażam sobie, że mogłabym sama prowadzić firmę, walczyć z tą całą biurokracją, śledzić konkurencję i wstrzymywać oddech, kiedy przychodzi kontrola z urzędu skarbowego.

Ja jestem kobietą od spinaczy. Od odbierania telefonów, notowania ważnych informacji, umawiania spotkań i osławionego już parzenia kawy. Czynności powtarzalne i mało niebezpieczne, chociaż kiedyś oblałam się wrzątkiem, ale to było dzień przed rozprawą rozwodową i chyba byłam po prostu trochę bardziej obok siebie niż zazwyczaj. Nalałam więc gorącej kawy do kubka, a potem wylałam ją na siebie, patrząc, jak ciemna ciecz tworzy na moim jasnym swetrze plamę przypominającą pawia. Potem wrzasnęłam i chyba zaczęłam machać w powietrzu rękami, próbując zapewne nieco się ochłodzić.

Aha. I jeszcze się popłakałam, co było trochę kłamstwem emocjonalnym, bo wcale mnie aż tak nie bolało. Wylałam przed rozwodem. Aurelii nie było w pobliżu, nie musiałam się kontrolować. Wylałam, bo przecież byłam poparzona i każdy w firmie to rozumiał. Wojtek i Iga zdjęli ze mnie sweter, a pani Zosia przyłożyła szmatkę z lodem.

Nie bolała skóra, bolała dusza. Bo bez względu na wszystko, nawet na to, że mój mąż nie był mężczyzną idealnym, to jednak był moim. I okropnie zabolowało, że obecnie jada śniadania w innym towarzystwie, co gorsza, wcale nie młodszym i piękniejszym ode mnie. Po prostu innym.

Niedobrze jest znudzić się komuś. Niedobrze żyć w przeświadczeniu, że

nasze włosy, ciało, paznokcie, sposób doprawiania pomidorowej są tak bardzo oklepane, że druga osoba musi się od tego jak najszybciej odciąć. Na dodatek wcale nie krył się z tym, że tak właśnie uważa.

– Chodzi o to, że ja już nie mogę – wyjaśnił może niezbyt szczegółowo, ale od razu zrozumiałam.

Nuda. Nuda. Nuda. Największy morderca każdego związku. Szare kartki codzienności. Nic nie jest zaskakujące, nic nie wytrąca dnia z normalnego rytmu. Ale i tak mógł chociaż skłamać. Że jestem cudowna i wspaniała, a on na mnie nie zasługuje.

Mamy taką znajomą. Mieliśmy. Bo potem się wyprowadziła i nikt z nas już nie zabiegał o kontakt.

Edytka Górecka, mieszkanie numer pięć, naprzeciwko nas. Pięć lat byliśmy sąsiadami i po pięciu latach wiedzieliśmy jedno – Edytka umiała zjednywać sobie ludzi. Gdy ktoś dzwonił do niej o szóstej rano i wyciągał ją z łóżka zaspaną i wściekłą, nigdy nie dowiedział się, że jest idiotą, który budzi ludzi o świcie. Edytka chowała wściekłość do kieszonki w koszulce nocnej i gruchała niczym zakochany gołąb. Mówiła, że „właśnie wstała”, „właśnie robi sobie śniadanko”, „właśnie planowała prysznic”, a „ten uroczy telefon rozjaśnił jej dzień, ćwir, ćwir”. Kiedy kelner pytał Edytkę, czy smakowała jej kawa, nie słyszał prawdziwej odpowiedzi, że podał jej lure, a stół śmierdzi sikami (od niewyschniętej szmaty), tylko dostawał napiwek za profesjonalną obsługę. W pracy Edytka zawsze była uśmiechnięta i kochała wszystkich swoich kolegów, choć nocami śniło jej się, że pożarł ich lew ludojad albo inny potwór z dużą liczbą zębów. Edytka nie miała wrogów. Edytka bała się wrogów, więc na wszelki wypadek ich oswajała i karmiła zawołowanym kłamstwem, które odbierane było jako uprzejmość, życzliwość i ogólna miłość do bliźniego. To był właśnie jej sposób na życie. Wygodne, miłe i bezproblemowe.

I bardzo chciałam, żeby mój mąż choć przez moment był taką Edytką i skłamał tak, żeby mniej bolało. Ale on przywalił mi pięścią w splot słoneczny, choć oczywiście zastosowałam tu wizualną metaforę. Uderzył mnie emocjonalnie, więc miałam chyba prawo płakać dzień przed rozwodem, kiedy wylana kawa uświadomiła mi dobitnie, że od jutra oficjalnie już nie będę miała komu opowiedzieć o swoim poparzeniu.

Choć zawsze była Aurelia.

Następnego dnia był piątek, a ja, ubrana jak dziewczę na egzamin, w jakąś beznadziejną spódnicę olówkową oraz białą bluzkę i szare buty na średnim obcasie, stawiałam się w sądzie. Czuję się brzydka, stara, nijaka, bura i bardzo niepotrzebna nikomu na świecie. Sędzia odczytał, co miał do odczytania, a potem każde z nas poszło w swoją stronę, chociaż ja poszłam sama, a na niego czekała inna trzydziestoparolatka, wcale nie młodsza i wcale nie ładniejsza ode mnie. Po

prostu nowa. Z szerokim uśmiechem na twarzy.

Jeszcze wam opowiem o moim mężu, ale może później. Bo nawet teraz, kiedy wspominam tamte momenty, robi mi się jakoś smutno. Niepotrzebnie. Jeśli przyjmujemy, że życie jest windą, która zatrzymuje się na każdym piętrze, a potem jedzie dalej, to wszystko można sobie bardzo prosto wytłumaczyć. Piętro z napisem „małżeństwo” zostało przeze mnie opuszczone, a ja znowu przesuwam się w górę.

Obecnie wysiadłam na stacji „romans z młodszym”.

Ale pewnie ciekawi was jeszcze, dlaczego pracuję tylko trzy dni w tygodniu. Bo w pozostałe dwa jestem kimś w rodzaju przedszkolanki. W zasadzie to zatrudnia mnie prywatne przedszkole do zajęć plastycznych z maluchami. Początkowo miałam uczyć dzieci filozoficznego myślenia, tak życzyli sobie rodzice prywatnych wychowanków, ale szybko okazało się, że dzieci nie pragną tego w ogóle, co gorsza, nie mają pojęcia, o czym mówię. Więc przeszliśmy na lekcje plastyki i tu znaleźliśmy całkiem trwałą nić porozumienia. A ja miałam dzieci, chociaż cudze. Skoro z własnymi mi nie wyszło, to przynajmniej cieszyłam się siedemnaściorciem bardzo prywatnych przedszkolaków, bo to było elitarne przedszkole, więc niewielkie. I ciągle tu pracuję, choć czasami myślę sobie, że chyba jestem już na to za stara. Ale ja lubię malować, lubię zabawy z plasteliną, lubię ludziki z kasztanów.

– Proszę pani, czy zrobimy języka oraz jego kupę?

Szczerze mówiąc, ciągle jeszcze bawiły mnie te pytania.

Starość jest tylko kombinezonem, o wiele ważniejszy jest fakt, że zabawa z dziećmi cały czas sprawia mi przyjemność. Nie denerwują mnie ich humory, nie drażnią ciągle pytania. A może w ten sposób oszukuję własną metrykę?

Tu i teraz

Siedzę w pustym mieszkaniu przy kuchennym stole. Za dwie godziny muszę wyjść z domu i pójść albo w prawo, albo w lewo. Znowu są walentynki, święto, którego chyba jednak nie lubię. Gdyby przyjrzeć mu się z bliska, jest bardzo niesprawiedliwe i rani uczucia osób, które na dziś, na ten moment nie są zakochane.

Ja jestem, ale to też jeszcze nie znaczy, że muszę całemu światu obwieścić swój stan emocjonalny. Ludzie samotni czują się jeszcze bardziej samotni, a czy ludzie zakochani czują się bardziej zakochani? No właśnie. Niech świętują po cichu, niech się zatopiają w pocałunkach, zanurzają w romantyzmie. Ale niech nie wyciągają ręk z sercami i nie pokazują innym „zobacz, mnie się udało, a tobie?”.

Być może jestem niesprawiedliwa. Być może sytuacja, w której się znalazłam, nakazuje mi być opryskliwą, bo od tej decyzji dzisiaj zależy moje jutro.

Telefon zawibrował na stole.

Tytus.

„Przyjdiesz?”

Aurelia zawibrowała dwie minuty później.

„Czekam na ciebie”.

A ja siedzę w pustym mieszkaniu, popijam lodową kawę z kubka i żałuję, że nie mam gałązki akacji, żeby sobie powróżyć z listków. Powinnam się czymś zająć. Głowa zaprzątnięta myślami innymi niż decyzyjność w kolejnych dwóch godzinach pomogłaby mi przetrwać. Włączam telewizor, skupiam się na psychologu, który porównuje związki do bajek. Jest zagubiona Calineczka, jest Żabi Król. O, a teraz jest chyba o mnie!

– Amor i Psyche. Psyche była tak piękna, że bogini Wenus poczuła się zagrożona. W tej sytuacji postanowiła rozkochać dziewczynę w potworze, ale... Amor okazał się szybszy. Kiedy ujrzał Psyche, stracił dla niej i głowę, i serce. Kochankowie spotykali się potajemnie, nocami, by nie wywołać gniewu Wenus i nie narażać się na jej zemstę. Współczesna Psyche najczęściej zakochuje się w mężczyźnie żonatym. Ich związek oparty jest na kradzionych spotkaniach i ukrywaniu się przed światem. Ona pozostaje dla niego zawsze piękna, on dla niej atrakcyjny. Strach przed ujawnieniem ich zakazanej miłości dodaje związkowi pikanterii. Pytanie tylko, jak długo mogą tak żyć? – Psycholog puścił do mnie oko z telewizora.

Ja nie zakochałam się w mężczyźnie żonatym, tylko młodszym. I również zajęтым. Przez przyjaźń, przez wspomnienia, przez wspólną przeszłość, przez zwykłą przyzwoitość wreszcie.

Aurelia jest moją przyjaciółką.

Aurelia jest moją przyjaciółką...



Mam teraz lat piętnaście, Aurelia dwadzieścia jeden

Od czasu, kiedy podarowała mi wisiołek, nasze spotkania podwórkowe traktowałam jak coś wyjątkowego. Nie muszę chyba dodawać, że to ja je głównie inicjowałam, ale nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Grunt, że mogłam od czasu do czasu spotkać Aurelię, a nawet zamienić z nią parę słów. Wiosną było najprzyjemniej, zwłaszcza tego roku, kiedy postanowiła przerobić nieużywaną piaskownicę na minizielnik. Najpierw odwiedziła wszystkich lokatorów, zebrała odpowiednie podpisy, dogadała się z administratorem, a potem po prostu kupiła ziemię i sadzonki. Wszyscy patrzyli na nią z pobłażaniem wymieszanym z niedowierzaniem, że w ogóle chce jej się coś takiego robić. Piaskownica była duża, ale od lat nikt z niej nie korzystał, więc stała się toaletą bezpiecznych kotów. Cuchnęła tylko podle i każdy starał się ją omijać nie tylko nosem, ale i wzrokiem. Pomysł Aurelii był świetny, tyle że przez nikogo niezrozumiany.

Po co się w to bawić?

Po co robić coś dla innych, i to bez żadnej gwarancji, że się uda?

Aurelii nie obchodziły wszystkie te wątpliwości, pytania, to wzruszanie ramion i unoszenie brwi. Chciała zasadzić na podwórku zioła, więc je zasadziła. Wyobrażała sobie wielki społeczny zielnik, ziołową wspólnotę mieszkańców ulicy Woźnej. I mruzczała pod nosem:

– Zioła lubią podłoże żyzne i przepuszczalne. Najlepsza więc będzie ziemia uniwersalna składająca się z gliniastej, torfu i przekompostowanej kory oraz podłoża torfowe. Wszystko mam, do dzieła.

A drewnianą obudowę posmarowała olejkiem cytrusowym, żeby skutecznie odstraszyć koty.

– Nie lubią zapachu cytryn, prawda? – spytałam ją pewnego dnia, kiedy podlewała sadzonki i uśmiechała się do siebie pod nosem.

Zerknęła w moją stronę z zaciekawieniem, co potraktowałam jako komplement.

– Nawet nie znoszą. Ani cytryn, ani pomarańczy, ani mandarynek. Na razie od trzech dni nie widziałam tu żadnego kota, nie znalazłam też kocich odchodów. – Podniosła w górę kciuk.

Fajnie.

Ona w ogóle była fajna, bo robiła rzeczy inne, nieoczywiste i niezrozumiałe dla dorosłych. A przecież sama była już dorosła. I coraz częściej odwiedzał ją pewien chłopak, który wcale mi się nie podobał, bo podkradał Aurelię po kawałku, odciągał ją ode mnie i naszych rzadkich spotkań. Rozmów od przypadku do przypadku. Od momentów wypatrywania jej przez firankę i zbiegania na dół, kiedy skądś wracała i zaczynała grzebać w swoim zielniku. Ale zanim zaczęłam się na dobre martwić, Miłosz zniknął, na jego miejscu pojawił się inny Miłosz, bo od tego

czasu zaczęłam ich wszystkich nazywać Miłoszami, dodając tylko numery. I nie przejmowałam się już ich obecnością, bo wiedziałam, że ja zostanę, a oni będą się zmieniać.

– Bazylia, tymianek, oregano, mięta, rozmaryn. Myślę, że to dobry zestaw, i każdy będzie mógł schodzić na dół, jeśli nagle uzna, że potrzebuje świeżych ziół.

I tak rzeczywiście było. Tyle że ludziom najwyraźniej nie chciało się schodzić za każdym razem, więc po prostu wyrwali wszystkie sadzonki jednego dnia i piaskownica znowu była pusta, pachnąc dla odmiany olejkim cytrusowym.

– Kurwa – oznajmiła Aurelia. – Chyba się nie zrozumieliśmy.

Zrezygnowała jednak z kolejnych sadzonek, a kiedy zapach cytryn wyparował, powróciły koty, które natychmiast obsrały ziemię po wyrwanych ziołach. Życie na naszym podwórku było proste. Wspólne dobro nie istniało, liczyło się tylko dobro jednostki. Kilkoro sąsiadów wzbogaciło się o krzaczki świeżych ziół, a reszta tylko wzruszała ramionami, że to było do przewidzenia.

– Ale sam pomysł był naprawdę świetny – próbowałam ją jakoś pocieszyć.

Aurelia tymczasem rzuciła ogryzkiem w kota, który wypiął efektownie kuper i wycisnął z niego podłużną kiełbasę, niemająca nic wspólnego z zapachem bazylii, oregano, tymianku czy też mięty.

Przez kolejnych kilka tygodni unikała mnie, choć może tylko ja tak to odebrałam. Po prostu trudno było ją spotkać, zupełnie jakby pojawiała się dokładnie w tych chwilach, w których mnie nie było. Mijałyśmy się więc, aż w końcu zaangażowała się w kolejny projekt – śniadania w pobliskiej kawiarence. Jeszcze wam o tym opowiem.



Kwiecień, sobota wieczorna. Jestem już po rozwodzie. Sama, samotna, ale nie mam depresji.

O Tytusie jeszcze nie myślę

Od czasu rozvodu dni upływały mi dość nudno, muszę przyznać. Dla każdej kobiety najgorsza jest chyba beczynność. Zazwyczaj narzekamy na brak czasu, ale jego nadmiar jest tak naprawdę jeszcze gorszy. Zupełnie jakby pokazywał nam nasze ułomności, wytykał palcem życiowe niepowodzenia. Nie masz komu ugotować obiadu? Nie prasujesz koszul?

Wiem, to głupie, nasze życie nie powinno kręcić się wokół mężczyzny, ale ile z nas tak z ręką na sercu umiałoby przyznać, że jest inaczej? Aurelia potrafiła być sama, ja nie.

I pewnie dlatego zrobiłam coś, co mnie również mocno zaskoczyło.

Umówiłam się na randkę w ciemno. Współorganizatorami byli Wojtek oraz Iga, którzy doszli do wniosku, że czas wylizał już wszystkie moje rany i zadrapania, a ja jestem gotowa na nowy związek. Nie wiem, na podstawie czego doszli do takich wniosków, ale pewnego dnia Iga stanęła przede mną niczym uczeń na apelu pierwszomajowym i oznajmiła tonem stanowczym, ciut dyktatorskim, z zacięciem do melorecytacji:

– Burza, jaką przechodzisz w związku ze swoim rozwodem, ustępuje najczęściej dopiero po kilku latach. Dopiero wtedy dotrze do ciebie informacja, że twój świat jest już zupełnie inaczej poukładany i że sporo się zmieniło. Ale okres rozpacz minął, czas rozpocząć nowe życie.

Próbowałam się wtedy nie roześmiać, co było dość trudne, zwłaszcza że Iga zerkała co chwila na karteczkę ukrytą w dłoni, z czego wywnioskowałam, że ma tam ściągę. Po sześciu minutach pouczającego wywodu wszedł Wojtek, niby zupełnie przypadkiem, a potem również przypadkiem uderzył się w głowę ręką i oznajmił:

– Byłbym zapomniał! Mam świetnego kolegę, który bardzo chciałby cię poznać.

Ciekawe, skąd o mnie wiedział. Ciekawe, dlaczego chce mnie poznać?

– Wiesz, to nic zobowiązującego, ale dlaczego by nie spróbować?

Nie wiem, co mną kierowało i dlaczego dałam się ogłupić, koniec końców zgodziłam się na sobotni wieczór, na restaurację Pod Niebieniem, na randkę w ciemno z kolegą, o którym wiedziałam tylko tyle, że ma na koncie trzy koty, jeden rozwód, jedno dziecko nastoletnie, zbiera miniaturki samochodów i hoduje kaktusy. Nie wiem, co mną kierowało, pewnie fakt, że znudziła mi się samotność, poza tym chciałam sobie udowodnić, że ciągle jestem atrakcyjna, a fakt, że zostawił mnie mąż, był jakimś dziwnym nieporozumieniem. Ludzie porzucani mają o wiele trudniej w życiu, przynajmniej przez kilka pierwszych lat. Czują się

fatalnie ze świadomością, że okazali się gorsi, brzydzy, przeterminowani. I ciągle szukają w sobie winy, choć znacznie łatwiej byłoby ją po prostu rozłożyć po połowie. Ale to nie takie proste. Nie sposób wytłumaczyć samemu sobie, że wszystko jest w porządku, skoro zostaliśmy odstawieni na boczny tor.

Ale wróćmy do randki, bo znowu zaczynam się nad sobą użalać.

Początek nie należał do udanych, bowiem przemowa znajomego Wojtka, bogata we frazesy i komplementy niepoparte niczym, a już na pewno nie osobistym doświadczeniem, skutecznie mnie do niego zniechęciła. A naprawdę byłam pozytywnie nastawiona, a nawet zapalił się we mnie niewielki płomyk nadziei, że może to się uda.

– Jesteś absolutnie zjawiskowa, fascynująco-zagadkowa – powiedział na przykład, a ja wcale nie poczułam się wyróżniona. No bo skąd niby mógł to wiedzieć? – Jesteś promykiem wśród skłębionych deszczowych chmur. – To chyba było najgorsze, ale ponieważ zamówiłam już duszoną jagnięcinę z gruszkami, postanowiłam, że wytrwam przynajmniej do jej skonsumowania. Pachniała zawrotnie, a ja byłam głodna.

Najwyżej potem udam, że zatrulałam się jadem kiełbasianym, i ucieknę niczym Kopciuszek, tyle że bez zostawiania jakiegokolwiek buta.

Randka w ciemno miała na imię Tomasz i była skandalicznie nudna. Między nami nie zaistniało nic, co mogłoby chociaż skłonić mnie do pomyślenia o ciągu dalszym. Nie zapachniało erotyzmem, żadną chemią lub choćby zwykłą sympatią. Zupełnie jakby między nami znajdowała się wysoka ściana z kuloodpornego szkła. Nie można było się na nią wdrapać, nie można było jej w żaden sposób zniszczyć. Moja samotność nie była najwyraźniej tak wygłodniała, jak podejrzewałam, a ja sama ciągle jeszcze potrafiłam odwirować z rozmowy bylejąkość i tandetę. I naprawdę przez cały czas mentalnie się rozmijaliśmy. Ja myślałam o tegorocznych wakacjach i o tym, że pewnie znowu nigdzie nie wyjadę, on mówił o...

– Wyglądają pięknie, ale mają paskudnie długie i ostre kolce. I wtedy przydają się takie gumowo-plastikowe rękawice do czesania konia, kupisz je w każdym sklepie z akcesoriami do jazdy konnej.

Nie miałam pojęcia, w jakim punkcie konwersacji właśnie się znajdujemy i po co mi te rękawice.

– One są bardzo twarde i doskonale chronią przed pokłuciem, a wypustki po wewnętrznej stronie nie uszkodzą kolców.

Przełknęłam kawałek mięciutkiej jagnięciny, unosząc jednocześnie wysoko brwi, co w mowie ciała oznacza, że słucham i że to, co słyszę, jest dość interesujące.

– Dużo zachodu jest też z okrągłymi. Zwijasz wtedy w rulon długi ręcznik, owijasz go ostrożnie wokół kaktusa i wyciągasz.

Kaktusy! No, nareszcie!

Potworna nuda.

Mijaliśmy się tak jeszcze konwersacyjnie i emocjonalnie przez dwadzieścia minut, aż w końcu po jagnięcinie zostało tylko wspomnienie oraz niedopity kieliszek wina. Naprawdę chciałam dobrze i naprawdę się starałam, ale człowiek nie jest w stanie jednocześnie wspinać się na szczyt góry i pływać w morzu. Coś musi wybrać i dlatego ja wybrałam ucieczkę. Wiem, dość dziecinnie.

– Przepraszam na chwilę, zaraz wrócę – powiedziałam, nachylając się w stronę szklanej ściany, a potem wzięłam torebkę i związałam do domu. Chyba pierwszy raz w życiu zachowałam się w sposób kompletnie irracjonalny, co gorsza niegrzeczny. Nie tak mnie wychowywali rodzice.

Nie wiem, ile tam siedział, czy czekał i co powiedział potem Wojtkowi oraz Idze, ale oni na szczęście nie poruszyli ze mną więcej tematu Tomasza. I nigdy też nie umówili mnie na żadną randkę w ciemno. Ale nie martwię się tym, bo nie każdy nadaje się do tego typu wyzwań.

Czasem czuję się jak ktoś, kogo zakopano w piasku na plaży, zostawiwszy tylko głowę. Bawiliśmy się tak w dzieciństwie, tyle że wtedy zawsze ktoś w końcu mnie odkopywał. Teraz byłam podobnie unieruchomiona, a jedyny manewr, który mogłam wykonać, to był ruch głową. I niestety nie miałam nikogo, kto zechciałby podejść do mnie z łopatką. Może ja już nie umiem żyć z drugą osobą? Może nie potrafię się dostosować, nie chcę wchodzić w żadne układy, iść na kompromisy, jeść razem śniadania i rozmawiać wieczorem o tym, jak minął dzień? Może nie chcę jednej wspólnej kołdry?

Nieprawda.

Jestem po prostu okropnie rozgoryczona. I pozamykana na cztery spusty.

Czerwiec nadal, nie pamiętam, jaki to był dzień tygodnia. Nie, pamiętam bardzo dobrze – niedziela

– Cześć, Koralia, pójdziesz ze mną na wystawę „Puzzle i łamigłówek”? – Telefon Tytusa zaskoczył mnie bardziej niż ogień ćmę, no i skutki były mniej bolesne. A raczej na odwrót, ale o tym przekonałam się dopiero po jakimś czasie.

– Czemu ja? Nie cierpię matematyki – wyznałam szczerze i zerknęłam na zegarek.

Ósma trzynaście, a chyba mamy weekend.

– Nie szkodzi. Miałem iść z kumplem, ale babcia wrobiła go w czyszczenie grobu.

– Swojego?

Roześmiał się.

– Nie, no dziadka.

– Ale mamy czerwiec.

– Babcia chce być przygotowana, poza tym twierdzi, że w listopadzie jest za zimno na takie prace. Nie bez znaczenia jest też fakt, że dziadek niedługo ma urodziny. To znaczy miałby, gdyby dożył. Generalnie kumpel jedzie z babcią, a ja mam wolny bilet. Mama kazała mi spadać.

– Co tam będziemy robić?

– Budować most według projektu Leonarda da Vinci, rozwiązywać jakąś chińską łamigłówkę sprzed trzech tysięcy lat, sprawdzimy też, dokąd zmierza liczba pi.

Bez względu na mój stopień niechęci do matematyki i tak wolałam sprawdzić kierunek podążania liczby pi niż słuchać o płaskich, okrągłych i wielkich kaktusach, które należało przesadzać przy użyciu rękawicy końskiej. Wstałam, zaparzyłam kawę, poszłam do łazienki i odruchowo zerknęłam w lustro.

Czy ja wyglądam staro?

Drobne zmarszczki mimiczne wokół oczu, ale niespecjalnie się w oczy rzucające. To chyba dowód na to, że niewiele się w życiu śmiałam. Skóra trochę przesuszona, ale za to mam dość gęste rzęsy. To trochę reperuje moje oko i nie muszę za każdym razem nakładać tuszu. Chociaż kiedy już pomaluję rzęsy, stają się naprawdę długie i trzepoczące. Popatrzmy dalej. Kości policzkowe wystające, uszy drobne, mocno przylegające, nos prosty, raczej mały, górna warga nieco wąska, ale nie na tyle, żeby ją użądlić jakimś preparatem. Poza tym odstrasza mnie widmo bólu oraz ewentualnych powikłań. Szyja raczej gładka, dekolt również jeszcze nienaruszony. Ale widać, że nie jestem pierwiosnkiem, tylko raczej chryzantemą. Stop. Może jednak późniejszą piwonią? Taką amarantową, pełną grubych płatków kwiatów.

Kiedy skończyłam wewnątrznie bredzić, ubrałam się nie pamiętam w co

i poszłam ku puzzlom i łamigłówkom.

Nie było nudno. Nie rozumiałam wprawdzie większości zadań, a przy moście da Vinci pomyliłam się jakieś osiemset razy, ale i tak ta niedziela nabrała zupełnie innych kolorów.

– Wiesz, że facet, który wymyślił te puzzle, brał udział w procesie o papier toaletowy? – Tytus wskazał brodą na puzzle Penrose’a. – Podobno jakaś firma wypuściła na rynek papier toaletowy tłoczony we wzór Penrose’a. Chodziło o takie nieregularne wytłoczenia, które nie nakładały się jedno na drugie, przez co rolka wydawała się grubsza i bardziej miękka. Kiedy facet zobaczył, że jego opatentowany wzór widnieje na papierze toaletowym, oddał sprawę do sądu i wygrał.

Trudno powiedzieć, czy ciekawsze są dywagacje na temat kaktusów, czy wzoru na papierze toaletowym, najważniejsze jest, kto to mówi i czy tembr jego głosu przyjemnie dopasowuje się do twojej trąbki Eustachiusza. Być może nie bez znaczenia był tu również fakt, że ja i Tytus stanowiliśmy charakterystyczne pięciokątne foremne Penrose’a, które jakimś cudem idealnie do siebie pasowały. Czasem tak bywa, że coś, co teoretycznie nie ma ze sobą zbyt wiele wspólnego, okazuje się bardziej harmonijne niż nuta i pięciolinia.

Spędziłam z Tytusem dwie, może trzy godziny, a może jeszcze dłużej. Czas przestał mieć nade mną władzę, a ja delektowałam się każdą chwilą. Zlizywałam poszczególne minuty, połykałam sekundy, otulałam się tymi godzinami, a kiedy przyszedł wieczór i wróciłam do domu, byłam tak zwyczajnie rozluźniona. W pewnym wieku albo może u niektórych ludzi szczęście polega właśnie na rozluźnieniu. Na żołądku, który się nie ściska, na braku wewnętrznego bólu i tego rodzaju napięcia, że z czymś nie zdążyliśmy, że coś zrobiliśmy nie tak, a inne coś nam umknęło.

Moja wewnętrzna autokontrola dała dziś sobie wolne. Czulałam się odprężona, a nawet nonszalancko swobodna. Chciałam już pójść do łóżka i zasnąć, i śnić nie wiadomo o czym, byle było nadal tak lekko.

I to był bardzo erotyczny sen, i tak, pamiętałam twarz głównego bohatera.

Dlatego obudził mnie wstyd.

Mam pięć lat. Aurelia ma klocki Lego

Pamiętam, że w tamtym okresie w domu najczęściej padało słowo „strajk” i wszyscy byli wtedy okropnie przejęci. Przepędzali mnie nawet z kąta w kąt, ale i tak płątałam im się pod nogami, bo kątów w naszym domu nie było zbyt wiele, więc ciągle na kogoś wpadałam. Nikt nie chciał się ze mną bawić, a kiedy przyszło lato, słowo „strajk” już w ogóle zagościło w naszym mieszkaniu, a nawet w całej kamienicy na dobre. Chciałam, żeby ktoś pobawił się ze mną lalkami albo chociaż poukładał klocki, ale nawet babcia, która zazwyczaj chętnie robiła ze mną różne rzeczy, teraz nie miała do tego głowy. Obrażona poszłam na podwórko i usiadłam na trzepaku.

Kimkolwiek był ten „strajk”, szczerze go nienawidziłam.

Trzepak musiałam zwolnić na pół godziny, bo przyszła nasza sąsiadka, której nazwiska nie potrafiłam zapamiętać, i przewiesiła przez niego dywan. A potem łomotała w te brązowe romby, kwadraty i prostokąty rozsypane na czarnej wełnie, a ja z zafascynowaniem patrzyłam na kłęby kurzu, które wzbijały się w niebo, by po chwili opaść na ziemię. Kiedy sąsiadka uniosła po raz kolejny trzepaczkę, zobaczyłam przez jej wiklinowy ażur, jak ktoś wychodzi z klatki naprzeciwno.

Chyba właśnie wtedy ujrzałam Aurelię po raz pierwszy. Od babci dowiedziałam się, że do mieszkania po pani Ludwice, która zmarła ubiegłej jesieni, wprowadzają się wreszcie jacyś nowi ludzie. Najwyraźniej dzieci pani Ludwiki dogadały się w końcu co do spadku, tak przynajmniej powiedziała mama, a ja znowu nic z tego nie rozumiałam. Dziewczynka, która wyszła na podwórko, od razu mi się spodobała. Miała jasną cerę, kręcone półdługie włosy i ciemne spojrzenie, które dawało do zrozumienia, że z byle kim się nie zaprzyjaźnia. Czerwona sukienka była chyba nowa, w każdym razie tak wyglądała, do tego białe podkolanówki i czarne buciki. Nowa lokatorka najwyraźniej jednak nie czuła się zbyt dobrze w tym stroju, bo szybko zdjęła buty i podkolanówki, rozwiązała kokardę z tyłu sukienki i usiadła na kamiennych schodach. Wystawiła twarz do słońca, ale po pięciu minutach rozmyśliła się i z zaciekawieniem rozejrzała wkoło. Sąsiadka przewiesiła sobie dywan przez ramię i poszła do domu, zostałyśmy więc z nową dziewczynką same. Machnęłam do niej ręką, ale mnie zignorowała.

W dłoniach trzymała kolorowe pudełeczko, na którym było napisane LEGO. Nie umiałam wtedy jeszcze czytać, ale ten napis znałam bardzo dobrze. Z Peweksu, do którego weszłam raz w życiu z mamą i w którym znajdowały się takie skarby, że z wrażenia zapomniałam oddychać. Mama musiała mnie klepnąć w plecy, inaczej padłabym trupem, a ostatnią rzeczą, którą zobaczyłam, byłaby lalka Barbie. W sumie piękna śmierć. O tym, że to Barbie, dowiedziałam się dopiero później, wtedy wystarczyło mi spojrzenie jej niebieskich oczu, różowa sukienka, która

połyskiwała przez kartonik, oraz te włosy. Te pszeniczne, długie włosy, które błyszczały jak złota rybka. A na półce niżej stały kolorowe pudełeczka i mama powiedziała mi wtedy, że to są klocki Lego i że może kiedyś mi takie kupi.

W życiu nie widziałam piękniejszych klocków.

W życiu nie widziałam piękniejszej lalki.

I zupełnie nie rozumiałam, dlaczego mama kupiła jakiś idiotyczny proszek do prania za dziwne zielone pieniądze, które dostała od swojej siostry. Popatrzyłam wtedy tęsknym wzrokiem na złotą lalkę i przesałam jej pięcioletnią obietnicę, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Klockom też to obiecałam.

A teraz ta dziewczynka, która potraktowała mnie dość podle, miała w ręku właśnie takie pudełeczko z napisem LEGO oraz z rysunkami indiańskiej rodziny. Przełknęłam ślinę, kiedy zobaczyłam, jak wyciąga kolorowe czworokąty, z których po chwili zbudowała namiot, indiańskiego tatę oraz indiańską mamę z indiańskim dzieckiem na plecach. To dziecko miało czarne włosy, które stanowiły osobny klocek, i to mnie chyba najbardziej zaskoczyło. Patrzyłam z zachwytem, osłupieniem, niedowierzeniem i nadzieją, że może dziewczynka pozwoli mi jednak pobawić się ze sobą.

Ale ona nawet nie spojrzała w moją stronę, a potem nagle wrzuciła wszystko do pudełka, chwyciła czarne buciki i zniknęła w klatce schodowej.

Uff.

To była właśnie Aurelia.

Niestety, sześć lat różnicy było wtedy przepaścią głębszą niż kanion Colca w Peru i nic nie było w stanie tego zmniejszyć. Aurelia nigdy nie zaszczyciła mnie dłuższym spojrzeniem, całkowicie ignorowała moje nędzne zaczepki, a ja w końcu też odpuściłam i tylko ją obserwowałam. Podskórnie czułam jednak, że z czasem uda nam się porozmawiać, muszę tylko odczekać, aż przepaść wiekowa między nami zacznie się powoli zacierać.

W sierpniu słowo „strajk” stało się nie do wytrzymania.

Środa, czerwiec, ślimaki

Uświadomiłam sobie straszną rzecz. Niektórzy ludzie odliczają kolejne dni przez pryzmat swoich życiowych przygód, sukcesów, wydarzeń, które kolorują im miesiące i lata. Ja widziałam upływający czas poprzez liczbę zużytych wkładek higienicznych. Moje opakowanie zawiera dokładnie trzydzieści sztuk. Kiedy się kończą, wiem, że minął miesiąc. I kolejny, a potem jeszcze jeden. To przygnębiające żyć ze świadomością, że wkładka higieniczna odmierza twój czas. Dlatego każdy nowy pomysł, każda odskocznia od mojego codziennego rytmu, zaczynały mnie szczerze cieszyć, zupełnie jakby odsuwały widmo monotonii, w którą sama wpadłam. Kiedyś taka nie byłam. Kiedyś bawiły mnie drobiazgi, uwielbiałam być w wiecznym ruchu, biegałam po świecie z wywieszonym językiem i skakałam z radości, że tyle mnie jeszcze w życiu czeka. Nie wiem, kiedy to zgubiłam.

Kiedy za wycieraczką samochodu znalazłam ulotkę o „czasie tylko dla siebie”, natychmiast zadzwoniłam pod wskazany numer i jeszcze tego samego dnia zapisałam się na jogę, basen i cały zestaw ćwiczeń od stresujących. Chciałam nawet namówić Aurelię, ale ona jogę już przerabiała.

– Bawiłam się w to, kiedy do kina wszedł film z Madonną *Układ prawie idealny*, w którym to właśnie joga pozwalała jej przetrzymać nie najlepsze momenty w życiu, oraz kiedy Gwyneth Paltrow publicznie przyznała, iż jodze zawdzięcza równowagę psychiczną. Do tego czasu wyznawców jogi nazywano zjadaczami musli i nawiedzonymi nosicielami kłapek, ale potem nastąpiła na nią prawdziwa moda. W zasadzie nie było to najgorsze doświadczenie w moim życiu i zdaje się, że nawet seks był po tym lepszy, ale obecnie nie czuję potrzeby wyginania się w pozycji kota – oznajmiła mi, a ja postanowiłam, że jednak zaryzykuję.

Ten seks mnie przekonał, przyznaję, chociaż ważniejszy od jogi jest chyba partner. W ten sposób zapełniłam sobie wtorki oraz czwartki i od razu poczułam się lepiej. Człowiek nie powinien mieć zbyt dużo wolnego czasu, bo wtedy zaczyna intensywnie myśleć. Nie są to jednak myśli konstruktywne, to raczej robienie bilansu życiowych strat i niepowodzeń, a stąd już krótka droga do kolejnej butelki wina i zatopienia się w depresji. Pamiętam jeszcze ze studiów słowa Arystotelesa: „Wszystko, co cenimy i czego się obawiamy, wszystko, co dla nas jest ważne, albo przeminęło na zawsze, albo jeszcze nie nastąpiło. Wszystko, co mamy, jest nieskończenie małym wycinkiem teraźniejszości, która znika w momencie, gdy próbujemy ją uchwycić”.

Tyle filozofia. Ale jeśli miałabym posłuchać Arystotelesa, powinnam natychmiast przestać się martwić, bo przecież ta chwila właśnie minęła i za moment spotka mnie coś zupełnie innego. Mogę na przykład zobaczyć Tytusa na



ulicy i bardzo się ucieszyć na jego widok, bo zawsze, absolutnie zawsze ma dobry humor i umie nim zarazić kogoś, na kogo właśnie patrzy.

– Koralia, czy zaryzykowałabyś zjedzenie ze mną ślimaków? – To właśnie powiedział Tytus spotkany na ulicy. Tak jak wam mówiłam.

Przełknęłam ślinę, nie bez obrzydzenia.

– Bo widziałem na Starym Rynku wózek z parującą zupką. Podeszedłem bliżej i pan mi oznajmił, że to rosół, a w nim ślimaki. Tyle że nie ma żadnych chętnych, bo jest za gorąco na rosół. Tu muszę się z nim zgodzić, ale z drugiej strony, nigdy nie jadłem ślimaków.

Ja też nie. I niech tak pozostanie.

A jednak z nim poszłam, bo i tak nie miałam nic lepszego do roboty. To był bardzo zwykły spacer i naprawdę nie dopatrywałam się w nim niczego szczególnego. Zanotowałam tylko, że sprawia mi on przyjemność i że lubię patrzeć na duże kroki Tytusa, na jego niebieską koszulkę, dzinsy obcięte tuż nad kolanem i na to, jak odgarnia z czoła włosy. Bardzo zwykłe gesty, niepozorne dla kogoś stojącego z boku, nieistotne dla większości. Więc czemu mnie fascynowały?

– Tu kiedyś była budka z bułkami. – Wskazałam palcem na kiosk, w którym dzisiaj sprzedawano kolorowe napoje i równie kolorowe kondomy. – Bułka z pieczarkami, prawdziwy rarytas.

Dobrze, że nie mieli teraz kondomów o smaku grzybowym, chociaż kto wie? Nigdy tego nie sprawdzałam.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Czternaście. – Zawiesiłam się na moment. Jezu, jego nawet nie było wtedy na świecie!

– Ślimaki mogą smakować nieco inaczej, ale dajmy im szansę.

Z trudem przełknęłam jednego i od razu wyobraziłam sobie scenę, w której odrywają mu z grzbietu domek, a jego samego zabierają, by wykapał się w rosole. Tytus najwyraźniej nie miał takich myśli, a powinien, w końcu prawie już był weterynarzem.

Ale on tylko uśmiechnął się do mnie i puścił oko. A potem starł mi resztki rosołu z brody i to był bardzo przyjemny gest, choć doprawdy nie mam pojęcia dlaczego. Starł mi resztki rosołu z brody. I tyle. Co decyduje o tym, że czasem taki gest nie ma żadnego znaczenia, a czasem nadajemy mu jakąś podwójną wartość i podnosimy do potęgi erotycznej? Nie umiem powiedzieć, co nagle zadziało się w mojej głowie i dlaczego zaczęłam odczuwać pewne rzeczy zupełnie inaczej niż do tej pory. Czy to dlatego, że rano zobaczyłam puste do połowy opakowanie wkładek higienicznych? Czy może zawiniła tu samotność, która pomnożona przez liczbę podobnych dni, tygodni i miesięcy zaczęła mieszać w mojej głowie i grzebać w szufladzie z racjonalnym myśleniem.

Patrzyłam na Tytusa z wielkim wewnętrznym uśmiechem, nie współczułam

już ślimakowi, tylko cieszyłam się z tego przypadkowego popołudnia, które ktoś podarował mi zupełnie bez okazji.

Też tak macie?

Pośrodku rynku stała ubrana na czarno kobieta, a obok niej stało krzesło. Kobieta najpierw oderwała mu oparcie, a kiedy ktoś z zebranych osób zauważył, że je zniszczyła, oznajmiła, że teraz ma stołek. Potem jednak oderwała cztery nogi i raz jeszcze spojrzała na zgromadzonych ludzi.

– Teraz zniszczyła pani stołek.

– Nie, teraz mam paletę do malowania – odpowiedziała z uśmiechem. – Wy widzicie degradację, ja tworzenie.

Spodobało mi się to przesłanie, choć wtedy nie brałam go jeszcze do siebie. Ale po kilku miesiącach znowu spotkałam tę kobietę i wtedy jej performance powiedział mi zupełnie coś innego. Być może nie każdy z was dostrzegłby w nim analogię do mojego życia, ale ta kobieta uświadomiła mi coś bardzo ważnego. Decyzje, które podejmę, nie zawsze muszą być błędne. Na pierwszy rzut oka mogą okazać się mylące, złe i nieodpowiednie, ale dopiero czas pokaże, czy jednak nie udało mi się stworzyć palety pełnej kolorowych farb. Strach jest najgorszym doradcą. Strach wymieszany z niepewnością – jeszcze gorszym. Czasem trzeba po prostu zniszczyć krzesło.

Czerwiec, czwartek. Żebyście zrozumieli, jak to się wszystko zaczęło. I żebym ja to rozumiała

Człowiek żyje schematami. I nawet jeśli wydaje mu się, że jest niezwykle oryginalny, inny od wszystkich i bardzo kosmiczny, to jednak postępuje według pewnych określonych wzorów. Kiedy twoje życie przestaje być zwartą konstrukcją i przypomina kupkę gruzu, prędzej czy później zabierasz się za porządki. Jedni potrzebują tygodni, żeby się pozbierać, inni lat, ale i tak wszyscy w końcu chwytają za miotłę.

Po okresie lizania ran porozwodowych, po okresie przyglądania się sobie samej, nudzącej się i unikającej własnego odbicia w lustrze, zaczęłam powoli odklejać się od marazmu. Nie ukrywam, że Tytus bardzo mi w tym pomógł, że te wszystkie jego spontaniczne pomysły, przypadkowe spotkania i niezobowiązujące rozmowy wstrzyknęły mi dodatkowy zapas tlenu do płuc.

Porządki rozpoczęłam od hasła „remont” i nawet przez krótki moment cieszyłam się na myśl, że kiedy pomaluję ściany w swoim mieszkaniu, kiedy wyrzucę niepotrzebne rzeczy i przestawię meble, moje życie znowu będzie harmonijne, bezpieczne i płynące spokojnym strumieniem codziennych dni. Nuda poszuka sobie innej ofiary, a ja powrócę duchowo odmieniona do świata żywych. No i znowu czymś się zajmę, co odmieni mój monotony rytm. Miałam już w życiu dwa nowe cele – joga i remont. Oczywiście te myśli odpłynęły krótko po tym, jak zaczęłam planować.

Nie wiem, jakie kupić farby.

Nie wiem, czy w ogóle chcę coś zmienić.

Nie wiem, czy marzę o nowej lampie, czy wystarczą dwa nowe świeczniki. Wiem tylko, że zawsze marzyłam o różowej łazience.

– Remont? – zdziwiła się Aurelia. – Po co?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo człowiek potrzebuje zmian. Każdy wie, że to doskonały pomysł na życie, zwłaszcza wtedy, kiedy drepczesz w miejscu. Monotonia na dłuższą metę może okazać się bardzo przygnębiająca, wiem coś o tym. Mój mąż uciekł od monotonii właśnie, od marazmu miłosnego, choć być może mówię od rzeczy. Wiele osób czuje, że żyje, dopiero wtedy, gdy wokół nich coś się dzieje. Zmiana fryzury? Czemu nie. Nowe buty? Zawsze. A może zmiana pracy? Zawsze warto sięgnąć po inny rodzaj cukierków niż te, które jadło się do tej pory. Nowe zajęcie to wyzwanie. Próba własnych umiejętności, pokonywanie strachu, specyficzny życiowy sprawdzian. – Chyba zaczęłam deklamować.

Aurelia uniosła ze zdumieniem brwi.

– Czego ty się naczytałaś? Poradników *Jak zjeść szczęście i się nie udławić?*

Machnęłam ręką.

– Buty już sobie kupiłam, nie pomogło, nowej pracy szukać nie będę. Więc może przemaaluję mieszkanie. Zmienię je całkowicie, żeby mi nie przypominało dawnego życia. Zły pomysł?

– Beznadziejny. Upierdolisz się tylko robotą, a po remoncie znowu wróci monotonia. Ona zawsze wraca, no chyba że jesteś psychicznie chora. Wtedy masz kilka żyć równoległych i nigdy nie wiesz, czy jesteś aktualnie bohaterką komedii, czy raczej thrillera. Czy czujesz się jak księżniczka, czy może jak psychopatyczny morderca wiewiórek. Chcesz Tytusa?

Cała Aurelia. Oczywiście, że musiała mieć swoje zdanie, ale potem i tak próbowała pomóc.

– Nie chcę go wykorzystywać.

Kłamstwo.

– Daj spokój, przyda mu się zmiana, jak sama powiedziałaś. Wczoraj masował trzy pieski i podobno wszystkie trzy czują się dziś zupełnie inaczej, oczywiście na plus. Ma chłopak talent, więc niech ci pędzlem wymasuje ściany. Czy to zabrzmiało perwersyjnie?

Zachichotałam, nie wiem, czy uczciwie.

Tytus jest fizjoterapeutą, ale nie takim, jak myślicie. On masuje psy i koty. To wymaga krótkiego wprowadzenia, bo z pewnością niewielu z was słyszało o takim zawodzie. Początkowo Tytus studiował fizjoterapię, ale potem doszedł do wniosku, że to mu nie wystarczy. Zdał więc egzamin na weterynarię i ani ja, ani Aurelia nie miałyśmy pojęcia, jak tego dokonał. Po prostu poszedł i zdał. Fizjoterapię ciągnął jeszcze przez jakiś czas zaocznie, ale potem skupił się wyłącznie na zwierzętach. Połączył jednak swoje umiejętności i wykombinował zajęcia terapeutyczne dla zwierząt. Oczywiście musiał jeszcze przejść dodatkowe szkolenia z zakresu masażu zwierząt małych, ale z tym również świetnie sobie poradził. Jako student ostatniego roku weterynarii załapał się na praktyki w jednej z klinik dla zwierząt. Początkowo wydawało się, że masaże nie będą cieszyć się aż tak wielkim zainteresowaniem, ale już po kilku miesiącach kalendarz Tytusa był wypełniony po brzegi. Obiecano mu więc, że od razu po dyplomie dostanie etat. Pamiętam, jak uczył się ze mną do jednego z egzaminów.

Testy szufladkowe.

– Aby go wykonać, należy chwycić kłykcie kości udowej pomiędzy kciuk i palec środkowy, pozwalając, by palec środkowy spoczywał na rzepce. Dobrze?

Zerknął na mnie, a ja tylko kiwałam potakująco głową. Nie rozumiałam z tych opisów ani słowa, ale Tytus naprawdę mi imponował. Zamiast zostać normalnym weterynarzem postanowił szkolić się na kocięgo i psiego masażystę. Myślał też o specjalizacji końskiej, ale w końcu poprzestał na nieco mniejszej zwierzynie.

– Między kciuk i palec środkowy drugiej ręki chwyta się część bliższą kości

piszczelowej. Palec wskazujący spoczywa na guzowatości piszczeli.

Prawie zasnąłam, ale egzamin zdał. A teraz praktykował w klinice weterynaryjnej i miał całe mnóstwo klientów. Miauczaco-szczekających. Z dyskopatią, spondylozą, zespołem chwiejności, porażeniem wiotkim czy też zwichnięciem stawów. Dogadywał się z nimi bez większych problemów, a oni w podzięcie lizali go z wielkim namaszczeniem. Naprawdę miał ręce pełne roboty.

Co nie znaczy, że nie zgodził się na pomoc przy remoncie.

– Mama mówi, że zwariowałaś, ale mam ci pomóc – zadzwonił jeszcze tego samego wieczoru.

– A masz czas?

– Zawsze.

Akurat. Ludzie w jego wieku nie mają w ogóle wolnego czasu, bo każdą chwilę poświęcają na coś. Nie nudzą się, nie miewają pustych dni, niewypełnionych chociażby wyjściem do pubu. Umawiają się ze znajomymi, siedzą na YouTube albo uprawiają jakiś sport. Tytus biegał, bo to mu zostało od małego, kiedy ganiał z psem. I jeszcze chodził na jakiś taniec, o czym zresztą sama się przekonałam, ale to dopiero za jakiś czas.

– Masz już jakąś wizję remontową?

– Taką ogólną raczej – skłamałam, bo nie miałam żadnej. Bardziej chodziło o zmianę i zamalowanie przeszłości na jakikolwiek kolor. Wierzyłam, że jeśli przemienię ściany z białych na zielone, to jednocześnie zapomnę o swoim małżeńskim pasztecie, o tym niewypale obrączkowym, który zakończył się moim upokorzeniem. Naprawdę wierzyłam w to, że czasem wystarczy niewielka metamorfoza, by spojrzeć na rzeczywistość zupełnie inaczej. Na zasadzie – ja z okresu białych ścian to zupełnie ktoś inny niż ja z okresu zielonych.

Aurelia też obiecała, że mi pomoże, ale przekonałam ją, że na razie nie musi się fatygować. Dziwne. Normalnie byłabym zachwycona, zawsze cieszyło mnie, kiedy chciała coś ze mną zrobić, ale tym razem troje to było za dużo.

Nieparzyście po prostu.

Czerwiec, sobota i potem następna sobota

Zaczęliśmy od zakupów.

– Przede wszystkim ustal zakres prac. Robisz remont powierzchniowy czy bardziej szczegółowy? Wiesz, malowanie, tapetowanie, wymiana nie tylko glazury czy terakoty, ale i rur w ścianach. – Puścił do mnie oko.

Jasne. I dachu może jeszcze.

– Chcę głównie malować i na jednej ścianie dać tapetę w dmuchawce. I chcę nową łazienkę i bardzo proszę, nie śmieć się, ale chcę bladuróżową.

Tytus pokiwał ze zrozumieniem głową.

– A jak kogoś poznasz?

– Nie planuję. Poza tym facet, który będzie się wstydził różowej łazienki, z góry skazany jest na odstrzał.

– Dlaczego?

– Bo męskości nie trzeba udowadniać pogardą dla róży.

Roześmiał się. I bardzo mnie urzekł poplamioną od farby koszulą i znoszonymi dżinsami. Tak, wiem, to infantylne, ale w tamtej chwili nic nie mogłam na to poradzić. Cieszyłam się na remont.

Nie muszę chyba mówić, że mniej więcej po dwóch godzinach odechciało mi się i remontu, i zmian w życiu, i nawet poplamiona farbą koszula straciła na atrakcyjności. Zrozumiałam bowiem, że nie znoszę chaosu, nie cierpię rzeczy niepokładanych i szeleszczącego papieru pod nogami. Nie lubię zapachu farby, a wizja skuwania łazienki napawała mnie takim samym przerażeniem jak widok własnego cienia w dzieciństwie.

– Bałaś się swojego cienia? – zdumiał się Tytus, mieszając w wiaderku.

– Myślałam, że to jakaś mara, która się do mnie doczepiła i od której nie można uciec.

– Coś w tym jest, ale mama nie wytłumaczyła ci, że to tylko twoje odbicie na podłodze albo ścianie? Że to ty, tylko ciemna, bez twarzy, bez ubrań?

Nie pamiętam. Możliwe, że wstydziłam się do tego przyznać.

– Zjesz coś?

Kiwnął głową, a mnie ulżyło, że zrobię sobie przerwę. Może po kolacji nabiorę nowych sił i znowu pokocham plan zmiany otoczenia.

I kiedy to sobie teraz przypominam, to pamiętam, że bardzo dobrze nam się siedziało na podłodze i jadło spaghetti z gotowym sosem, bo nie miałam ochoty bawić się w kulinarną wróżkę, a potem wypiłam drugi kieliszek czerwonego wina i poczułam coś w rodzaju łapania przyjemnej chwili. Tak jakby była ćmą, motylem jakimś, i przysiadła mi na ramieniu. Bałam się poruszyć, żeby jej nie spłoszyć, nie pozwolić, aby uleciała przez otwarte okno. Oczywiście to nic nie znaczyło, świat po winie zawsze wydaje się bardziej miękkiej, łagodniejszą mu kontury, a ludzie tracą

wrogi wyraz twarzy. Człowiek staje się też bardziej podatny na wzruszenia i cieszy go nawet to, że ktoś jest obok i umie posmarować klejem tapetę.

I tylko tyle.

I mogłabym tak jeszcze siedzieć, patrząc przed siebie i być może widząc przyszłość, ale zrobiło się dość późno, a Tytus koniecznie chciał dzisiaj jak najwięcej zrobić. Szkoda. Bo ja najchętniej napiłabym się jeszcze wina, żeby zakolysać się we własnych wizjach, a może nawet jedną z nich urzeczywistnić?

Pamiętam ten pierwszy dzień remontu bardzo dobrze i kolejne zresztą również. I te rozmowy, takie płynne, bez żadnego napięcia, bez stresu, że się czymś skompromituję albo zanudzę kogoś na śmierć. Rozmowy leniwe, przyjemne, aksamitne nawet.

– Jak się masuje psa? – spytałam kiedyś, może to był czwartek, a może już piątek. Na pewno wieczór lub późne popołudnie, bo oboje wróciliśmy z pracy.

– Tak jak człowieka. Delikatnie, z wyczuciem.

– Kładziesz swoich pacjentów na stole?

– Niektórych tak, chociaż większość woli na podłodze, na takim specjalnym dmuchanym materacu. I zanim cokolwiek zacznę, po prostu głaszczę zwierzę, spokojnie, ostrożnie, tak żeby oswoiło się z moim dotykiem. Kiedy czuję, że wszystko między nami jest okej, zwiększam ucisk, żeby przygotować pacjenta do dalszej części zabiegu.

– Zostałeś kiedyś ugryziony?

– Nie, ale podrapany przez kota. Potrzebował więcej czasu niż inni, ale w końcu i tak uległ.

Dzisiaj wcale się temu nie dziwię, wtedy słuchałam z rozdziawioną gębą.

– Czasami rozgrzewam zwierzaki specjalną lampą na podczerwień, one lubią, gdy jest im ciepło. Wpadają wtedy w błogostan i są o wiele bardziej podatne na masaż. No i potem masuję. Tyle.

Tyle. Ciekawe, czy umie wymasować człowieka.

Nie. Wtedy wcale o tym nie pomyślałam. Chyba.

Albo ta rozmowa o niezobowiązującym i przyjacielskim układzie kobiety i mężczyzny. Szczerze mówiąc, bardzo chciałam wiedzieć, co on o tym sądzi. Do tej pory wydawało mi się, że jest to absolutnie możliwe, w końcu wiele znanych mi kobiet nie czekało na rycerza na białym koniu, który je uwolni z wieży (to zrobili już ich mężowie, choć niektórzy potem zwiali) lub porwie na wyprzedaż (od tego miały przyjaciółki). One chciały faceta, przy którym po prostu dobrze by się czuły i który na swój sposób potrafiłby je oczarować. Ale teraz zmieniłam zdanie.

– Między przyjaźnią a miłością jest cieńsza granica, niż nam się wydaje – powiedział wtedy Tytus.

Miał rację. Teoretycznie tylko się przyjaźniliśmy. A zatem wspólne spotkania powinnam traktować jak coś zwyczajnego. Przyjaźń jest przecież

„przyjemna”. Nie zna motyli w brzuchu, skrzydeł u ramion ani uniesień nad ziemią. Przyjaźń jest aseksualna. Nie chodzi się wtedy za rękę, nie głaszcze, nie przytula bez powodu, nie rzuca w czyjeś ramiona. I przede wszystkim nie odczuwa takiej potrzeby. Przyjaźń to silny uścisk ręki, pocałunek w policzek i poklepywanie po plecach. Czy to, co odczuwałam już wtedy do Tytusa, to była przyjaźń?

Znam odpowiedź na to pytanie, ale nie wypowiem jej na głos.

– Czyli jeśli kogoś lubimy, to po jakimś czasie możemy zupełnie niechcący wkroczyć na obszary zarezerwowane dla zakochanych? – spytałam.

Kiwnął głową.

– Chyba trudno dwóm płciom wejść w układ bez zobowiązań, bez erotyki i bez emocji. Przyjaźń to wzajemne przyciąganie się. Pytanie tylko, kiedy te dwa punkty, męski i damski, się ze sobą zetkną.

Dobre pytanie.

Stare przysłowie francuskie mówi, że przyjaźń to tak naprawdę miłość, tyle że bez skrzydeł. Skrzydła wyrastają trochę później i najczęściej na własne życzenie. Chyba zaczynam to rozumieć.

Tydzień później, kiedy mieszkanie było już wymalowane, przyszli do mnie fachowcy od łazienki. Tego nie mogłam wymagać od Tytusa, wymiana armatury przekraczała jego umiejętności. Panowie byli ubodzy w atrakcyjność i odmienni higienicznie. Mieli tłuste włosy i cuchnęli kielbasą. Mówiąc, zasysali dziury w zębach, a jeden ciągle się oblizywał, zupełnie jakby mu ktoś posypał usta cukrem. Nie odzywałam się do nich bez konieczności. Łazienka była gotowa po trzech dniach, a ja szorowałam ją kolejne trzy, bo cały czas wydawało mi się, że armatura zaciąga wędlinę.

W końcu stanęłam przed moim różowym pokojem kąpielowym i szczęśliwa nalałam wody do wanny. Rozpuściłam w niej różowy kwiatek zapachowy i pomyślałam, że to cudownie, iż moja infantylność nie ma żadnych świadków. Kobiety często muszą się maskować. Chować swoją różowość pod szafę, zamykać ją w puszkach i udawać, że są chropowate, stalowe i przydymione. A przecież każda z nas ma w sobie coś z elfa, nawet jeśli wstydzi się do tego przyznać. Romantyczność, tkliwość, delikatność, miłość do różowych mydełek, do pościeli w kwiatki.

Wiem, to wstyd.

A jednak wolę taką trywialność od męskości zalatującej kielbasą.



Początek lat 90. Aurelia jest w ciąży

Kiedy dowiedziałam się od babci, że Aurelia spodziewa się dziecka, zamknęłam się w pokoju i nie chciałam wyjść aż do wieczora. Mama wielokrotnie dzwoniła z pytaniem, kiedy będę w domu, aż babcia w końcu wyjaśniła jej, że dopadła mnie migrena i lepiej będzie, jeśli u niej przenocuję.

– Czym ty się przejmujesz? – spytała mnie, kiedy w końcu przyszedłam do kuchni i z ponurą miną usiadłam przy stole.

Wzruszyłam ramionami.

Sama nie wiedziałam, o co tak naprawdę mi chodzi. Że ktoś zabrał mi przyjaciółkę? Tak naprawdę wcale nią nie była. Tak naprawdę to ja sobie coś wmówiłam. Miałam siedemnaście lat, dopiero zaczynałam się orientować, co znaczy dorosłe życie, a ona odskoczyła ode mnie znacznie dalej niż te sześć lat. Dziecko?

A ja? A co będzie z nami? Dziecko wszystko przekreśli.

– Koralia, w życiu każdego człowieka pojawiają się kolejne zadania, które musi wykonać. Najpierw twoją rolą jest bycie dzieckiem, a potem mamą. Ale to wcale nie znaczy, że świat się kończy. On się po prostu zmienia – próbowała przekonać mnie babcia, ale ja wiedziałam swoje.

I po części miałam rację. Aurelię widywałam teraz bardzo rzadko, ustały też nasze przypadkowe rozmowy. Postanowiłam nawet przez jakiś czas nie odwiedzać babci, nie z nocowaniem, tylko mieszkać grzecznie w bliźniaku z rodzicami i spróbować znaleźć sobie jakieś nowe zadanie, które przekierowałoby moje myśli na inny tor. Pochłaniałam książki, pomagałam mamie w ogrodzie, udawałam, że interesuje mnie gotowanie, uczyłam się jakoś bardziej zaciekle niż dotychczas i trzy miesiące później znowu wróciłam na Woźną.

Nie, Aurelia za mną nie tęskniła. Ale ja byłam jakaś spokojniejsza, że znowu mogę ją widywać, obserwować jej życie, krzywić się na widok faceta, który się obok niej kręci, a nawet próbować rzucić na niego zły urok, do czego wykorzystałam jakąś starą szmacianką lalkę i zaklęcie z książki dla wróżbitów. Nic z tego nie wyszło, chociaż kiedy dowiedziałam się o tym, że Aurelia będzie samotną matką, poczułam się trochę głupio. Być może ta laleczka i wkłuwanie w nią babcinych igieł do szycia jakoś zadziałały. Nie przyznałam się jednak do tego nikomu.

Podglądałam jej życie z rosnącym brzuchem i wyobrażałam sobie, że też jestem w ciąży, że razem będziemy chodziły z wózkami do parku, siadały na ławkach, rozmawiały o życiu i karmiły piersią. Problem w tym, że ciągle nie miałam chłopaka, no i byłam dziewicą. Przez chwilę myślałam nawet o adopcji i zagaiłam babcie, ale ona spojrzała na mnie, jakbym oznajmiła jej, że jestem z innej planety i właśnie na nią wracam.

– Koralia, masz siedemnaście lat. Nie sądzę, żeby jakikolwiek ośrodek adopcyjny chciał ci powierzyć dziecko – powiedziała jednak spokojnym tonem, a potem próbowała zmierzyć mi temperaturę.

No dobrze, może to był i głupi pomysł, po prostu trochę się wtedy pogubiłam. Z jednej strony chciałam być dorosła, z drugiej – sama nie wiedziałam, czego chcę. Typowe dylematy nastolatki, która już za rok miała być pełnoletnia.

A potem przyszedł ten feralny dzień, w którym wreszcie ukończyłam osiemnaście lat i po którym pokochałam Aurelię miłością dozgonną.

Piątek, niech będzie, że lipcowy

Po naszej przyjemnej rozmowie na temat przyjaźni damsko-męskiej przyszedł czas na naciągnięcie mięśni szyi. Nie było to zaplanowane, naprawdę. Ale znowu dorzuciło kamyczek do ogródka, znowu zmaściło taflę jeziora.

Kiedy człowiek nie czuje się wygodnie sam ze sobą, kiedy nie lubi własnych myśli, rozpoczyna poszukiwania. Poszukiwania kogoś podobnego do niego samego – o zbliżonym światopoglądzie, podejściu do życia, temperamencie i poczuciu humoru. Czasem bywa tak, że własne „ja” nie funkcjonuje idealnie, coraz częściej zdarzają mu się awarie. I właśnie wtedy człowiek wchodzi w nowy związek, często iluzyjny, jeszcze częściej zastępczy. Mówi sobie – to tylko przyjaźń, przecież nie szukam miłości. Chcę się tylko przed kimś wyżalić, chcę poczuć się trochę lepiej. Ale do głosu dochodzą emocje, zraniona dusza, wewnętrzna tęsknota nie wiadomo za czym. To nie jest dobre podłoże dla bezinteresownego układu z drugą osobą. Tak naprawdę przyjaźń damsko-męska jest możliwa tylko wtedy, gdy żadna ze stron nie znajduje się na emocjonalnym głodzie, nie szuka za wszelką cenę wsparcia i nie oczekuje pomocy. Ludzie kochani i dowartościowani potrafią oddzielić przyjaźń od miłości, wiedzą, gdzie przebiega granica, i wiedzą też, że nie będą próbowali jej przekroczyć.

A ja zaczęłam przechodzić na drugi brzeg rzeki, chociaż doskonale zdawałam sobie sprawę, że mi nie wolno. I że będę tego żałować.

Pomiędzy końcówką czerwca a początkiem lipca nie wydarzyło się nic szczególnego poza tym, że jakieś osiem razy przejeżdżałam koło kliniki, w której pracował Tytus, ale nigdy nie miałam szczęścia, żeby go spotkać, opuścić okno i zawołać:

– Co za przypadek! Podwieźć cię?

Nie, to się nie zdarza w rzeczywistości, tylko w filmach, które są najwyraźniej skrótem myślowym oczekiwań i pragnień. Swoją drogą, głupie to było. Zupełnie jakbym nie mogła tak po prostu do niego zadzwonić. Oficjalnie tylko się przyjaźniliśmy, ale ja już wtedy czułam, że nie jestem ze sobą tak do końca szczerą. Nie patrzyłam na Tytusa jak na dziecko, którym się kiedyś zajmowałam, nie patrzyłam na niego jak na kogoś z rodziny, jak na syna mojej najlepszej przyjaciółki. On mi się po prostu podobał jako mężczyzna i to było bardzo niewygodne uczucie. Ta dziwna metamorfoza ze zwykłej przyjaźni w zaangażowanie pachnące erotyzmem wydawała mi się początkowo mocno krępująca nawet dla mnie samej, a jednak dobrowolnie otwierałam kolejne drzwi.

Był piątek, byłam w przedszkolu i malowałam z dziećmi, siedząc na podłodze. Przed nami leżał ogromny tekturowy zwój i każde dziecko miało wymyślić dalszy ciąg przygód na morzu, nie podpatrując oczywiście, co robi kolega obok. Piraci, łodzie podwodne, rekiny, tajemnicze wyspy, koniki morskie,

syreny, muszle, a nawet gadające kraby. W ruch poszły pisaki, kredki, farbki akwarelowe, plastelina, brokat i kolorowy papier. Podśpiewywaliśmy sobie pod nosem *Dwaj piraci piegowaci* i...

I nagle Zuzia wskoczyła mi na szyję i poprosiła, żebym została jej konikiem morskim. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ból wytrącił mi odpowiednie słowa, więc tylko zasyczałam i resztką sił zdjęłam z siebie dziewczynkę. Wierzgającą, dodam jeszcze. Wzięłam leki przeciwbólowe, a wieczorem pojechałam do Aurelii.

– Masz niewielkie uszkodzenia włókien mięśniowych, tak zwanych miofibryli. Chodzi o to, że włókna uległy nadmiernemu przesunięciu względem siebie i nie są już spójne. No i doszło do stanu zapalnego – wyjaśnił mi Tytus, który na szczęście wpadł wieczorem do matki i natychmiast obejrzał moją obolałą szyję, bo siedziałam powyginana i nieszczęśliwa jak stado osieroconych krecików. – Zrobię ci najpierw zimny okład i zobaczymy – powiedział, a potem wrócił z czymś lodowatym.

Jęknęłam, ale i tak poczułam, że jest ciut lepiej. Szyja bolała, a mięśnie wydawały się parzyć. Dotyk Tytusa naprawdę mi pomagał.

– Wpadnij do mnie jutro do gabinetu. Chyba że opuchlizna nie zejdzie, wtedy od razu biegnij do lekarza, może zleci zrobienie zdjęcia. A jeśli wszystko będzie dobrze, to ci to po prostu rozmasuję.

– Ale ja nie jestem psem.

Roześmiał się.

– Umiem wymasować również człowieka, pod warunkiem że nie będziesz gryźć i wierzgać.

No i wymasował. I pachniało między nami olejkiem majerankowym, a ja prawie zasnęłam, kiedy głaskał moją szyję i kark, i rozluźniał te wszystkie napięte mięśnie. Co prawda oprawa tego spotkania nie była zbyt romantyczna, przede mną wisiał wielki plakat informujący o boreliozie wśród psów oraz leżały broszurki o miopatii powysiłkowej, ale i tak czułam się dobrze. Tytus uciskał, masował, gładził, wcierał i ugniatał, a ja zamknęłam oczy i miałam zanieczyszczone myśli. Nie były one ani przyjacielskie, ani braterskie, tylko zupełnie inne.

– Często boli cię szyja?

Kiwnęłam głową. Nie bolała mnie wcale, ale to chyba było trudne do udowodnienia.

– To przyjdź jutro koło szesnastej, przygotuję zestaw ćwiczeń. Rozmasujemy to raz jeszcze, a potem pokażę ci, co masz robić, żeby wzmocnić mięśnie szyi i obręcz barkową.

Kiedy wychodziłam, recepcjonistka w przychodni spojrzała na mnie odrobinę podejrzliwie. Była ładna i młoda, co zauważyłam zupełnie mimochodem. Była też zgrabna i wysoka, miała zielone oczy i odrobinę wystające jedyki. Kobieta potrafi błyskawicznie ocenić drugą kobietę.

– A pani przyszła... z kim? – spytała w końcu.

– Z nikim.

– Ale to jest przychodnia weterynaryjna.

No tak. Przydałoby się jakieś zwierzę.

– Ja tylko na konsultację. Mam w domu pytona, ale nie chciałam go bez potrzeby przywozić.

– Tytus nie masuje pytonów.

Tytus? Nie powinna powiedzieć „doktor Wierzbicki”? „Pan doktor”? Cokolwiek? Jej zieleń oczu już mniej mi się podobała, a wystające jedyńki stały się niebezpieczne.

Pomachałam jej ręką na do widzenia, ale nie było w tym sympatii.

Następnego dnia przygotowałam się do tej wizyty wyjątkowo starannie, chociaż zupełnie nie mam pojęcia dlaczego. To nadal był Tytus, syn mojej przyjaciółki, z którym przecież bawiłam się w piaskownicy. Nie mam pojęcia, dlaczego cieszyłam się na to następne spotkanie i dlaczego założyłam czekoladowy stanik. A zanim go założyłam, dlaczego w ogóle poszłam go kupić. Powinnam raczej postarać się o pytona.

Nigdy wcześniej nie zaglądałam do sklepów z bielizną. Staniki i majtki kupowałam zazwyczaj w sieciówkach i zazwyczaj nie były one idealnie dopasowane.

Najnowsze badania dowodzą, że nieodpowiednio dobrany lub zbyt długo noszony biustonosz upośledza funkcję naczyń limfatycznych w obrębie piersi, co może być przyczyną zwiększonego ryzyka zachorowania na raka piersi.

Nie, ta notka w jakimś babskim piśmie nie była przyczyną tej wizyty.

– Szuka pani czegoś konkretnego? – Dziewczyna miała jakieś dwadzieścia kilka lat i piersi skandalicznie kształtne. Ale może była to zasługa odpowiednio dobranego stanika.

Nie wiem, czego szukam. Nie wiem, dlaczego tu przyszłam.

Skinęłam więc głową, a potem pokręciłam przecząco.

To był dość niejasny przekaz, więc dziewczę pogubiło się trochę, ale tylko na moment. W końcu była profesjonalistką.

– Większość pań zdecydowanie nie wie, jak dobrać odpowiedni biustonosz. Najczęściej kupuje więc o dwa rozmiary za małe miseczki, a obwód jest nawet do dziesięciu centymetrów za luźny. Tymczasem nieodpowiednie staniki są niewygodne, a co więcej, mogą prowadzić do poważnych zaburzeń lub utrudniać krążenie krwi. Fiszbyny wbijające się w pachy i stały ucisk na piersi zwiększają ryzyko tworzenia się w nich torbieli. Ponadto zbyt ciasny stanik zniekształca biust i powoduje ucisk na nerwy międzyżebrowe lub nerwy przebiegające w tkance piersiowej.

Zatkało mnie.

Była naprawdę niezła, a ja od razu wyczułam torbiele w obu piersiach i pod nimi również.

– Proszę się nie martwić, znajdę dla pani stanik idealny. – Dziewczyna się uśmiechnęła i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, w jej rękach pojawiło się jakieś dwadzieścia najróżniejszych biustonoszy. Większość była cielista i niestety przypominała namioty.

– Nie – zaprotestowałam. – Chciałabym, żeby też był ładny.

– Ma pani jakieś preferencje kolorystyczne?

Mam?

Czerwony zbyt wulgarny, czarny zbyt oczywisty. Białe to chyba nawet nie wypada. Różowe? Nie, nawet moja infantylność ma swoje granice.

– Może zaczniemy od kroju. – Dziewczę nie czytało mi w myślach i zależało mu najwyraźniej bardziej na moim zdrowiu.

Poddałam się. Niech mówi.

– Materiał powinien pracować, ale nie może być zbyt rozciągliwy, ponieważ wtedy obwód nie jest stabilny i nie podtrzymuje prawidłowo biustu. Aby dobrać odpowiedni stanik, należy zwrócić uwagę na to, czy obwód biustonosza jest ściśle i prostopadły do kręgosłupa. Czy miseczka obejmuje całą pierś. Czy fiszbin nie wbijają się w ciało pod pachą. Czy biustonosz w środkowej części, między piersiami, ściśle przylega do mostka. Czy biust nie „wylewa się” nad górną lub boczną krawędź miseczki. Czy ramiączka biustonosza nie wrzynają się w ciało.

To było o jakiś milion informacji za dużo, a ja poczułam, jak moje piersi podśmiechują się ze mnie i podskakują zabawnie w źle dobranym staniku z sieciówki.

Dwie godziny później wyszłam ze sklepu spocona i wykończona. Ale w różowym pudełeczku niosłam czekoladowe cacko, z delikatną koronką i idealnie dobranymi miseczkami, zapięciem, fiszbinami i obwodem. Mój biust wyglądał w tym czymś królewsko. Wyglądał dojrzałe i apetycznie. Wyglądał tak dobrze, że również Tytus odrobinę się na niego zapatrzył.

Ale może tylko mi się wydawało.

– Pyton nadal źle się czuje? – Recepcjonistka była nie tylko młoda i ładna, ale również złośliwa.

Postanowiłam pokonać ją dojrzałością.

Uśmiechnęłam się zatem tajemniczo, a potem dostałam ataku kaszlu. Nie, to nie było zaplanowane. Po prostu ze zdenerwowania źle przełknęłam ślinę.

Po południu poszłam na jogę. Wyprężyłam grzbiet, zamknęłam oczy.

– Dzięki jodze, moje drogie, poprawi się wasza sprawność ruchowa oraz ogólna kondycja. Staniecie się bardziej wrażliwe na dotyk, nauczycie się kontrolować oddech, a co za tym idzie, długość stosunku – przekonywał prowadzący zajęcia.

Tutaj większość z nas spłonęła się zupełnie bez sensu, bo przecież już dawno nie byłyśmy dziewicami. Ale najwyraźniej temat był ciągle dziewiczy. Albo znowu.

– Odreagujecie napięcia i stres, które są częstą przyczyną braku ochoty na seks – mówił nasz mistrz, a ja pomyślałam, że w moim przypadku problemem jest raczej brak partnera. – Poprawi się ukrwienie waszego ciała, a wy staniecie się bardziej wysportowane i elastyczne, dzięki czemu będziecie miały możliwość wypróbowania nowych pozycji.

Po czym wygiął się jak wąż, kot i pantera w jednym, a my wszystkie westchnęłyśmy jak na zawołanie.

Oczywiście wyobraziłam sobie siebie i Tytusa, ale potem jeszcze szybciej przepędziłam te myśli, bo jednak co innego razem spędzać czas, a co innego poprawiać ukrwienie własnych ciał. Nie mogłam tego zrobić Aurelii, nie powinnam tego robić sobie samej. Etap, na którym obecnie się znajdowaliśmy, był idealny i właśnie dlatego nie mógł trwać wiecznie.

Ostatni dzień lipca, zapachniało kuminem

Pamiętajcie, że nic się jeszcze tak naprawdę nie wydarzyło, to były tylko myśli, jakieś strzępki rozrzucone w mojej głowie, ale tak naprawdę wcale nie zastanawiałam się, dokąd mnie to wszystko zaprowadzi. To ciągle był Tytus, którego wychowywałam, i nic ponad to. Każdemu z nas zdarza się przecież pomyśleć o czymś absurdalnym, a potem wstydzić się tego w samotności. Ile razy, patrząc na kogoś z pracy, nawet nieznanego pasażera, który jechał z nami tramwajem, zastanawialiście się, czy...

No właśnie. Czasem nawet rozebraliście tego kogoś wzrokiem do naga, ale przecież to była tylko myśl, ulotna, chwilowa, która narodziła się z jakiejś abstrakcji. Więc nawet jeśli ja pomyślałam tak właśnie o Tytusie, to było to niezobowiązujące i naprawdę peszyła mnie świadomość, że nie potrafię nad tym zapanować. I tych zakupów stanikowych też się trochę wstydziłam.

A potem pojawiła się możliwość wspólnego wyjazdu, po którym chyba mogłabym powiedzieć „start” i już tak prowadzić opowieść, żeby wszystko było jasne, a o sobie i Tytusie mówić „my”. Być może coś zatańczyło wtedy w powietrzu, przypadki i zbiegi okoliczności splotły się ze sobą, tworząc załączek czegoś, co w końcu stało się faktem.

Aurelia oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie zaczęła kombinować ze swoim prezentem imiennym. Ucieszył ją lot w tunelu aerodynamicznym, owszem, nawet bardzo. Uznała, że stanęliśmy na wysokości zadania, że jesteśmy oryginalni i udało nam się ją zaskoczyć.

Ale ona też coś ma.

– Kupiłam dla nas wycieczkę – oznajmiła z dumą i pomachała nam przed nosem jakimś przewodnikiem.

Spojrzelśmy z Tytusem zdumieni, przy czym mojemu zdumieniu natychmiast zaczął towarzyszyć niepokój, a Tytus najwyraźniej był zwyczajnie ucieszony.

– Dla nas? – spytał tylko i wziął z rąk matki książkę.

Maroko.

Aurelia co kilka lat przechodziła fascynację nowym krajem i nową kulturą. Zaczęło się, jak pamiętacie, od Indii i choć nic nie wyszło z hinduskim imieniem jej syna, przynajmniej w urzędzie stanu cywilnego, to jednak sentyment pozostał. Potem przyszedł czas na Włochy i Toskanię, bo tę miłość noszą w sobie wszyscy, podobnie jak zapach prowansalskiej lawendy. Owcze sery, wino, wycieczka do Volterra i Montepulciano, po której chciała rzucić Polskę i zamieszkać na Półwyspie Apenińskim, ale zanim się spakowała, przyszedł czas na Portugalię. Nie bez znaczenia był tu fakt poznania dentysty z portugalskim pochodzeniem, którego ciemny brąz oczu łagodził wszelkie bóle borowania. Połączył ich nie tylko jej



mostek, ale i coś więcej, pojawił się nawet załazek strachu, że może znowu być w ciąży.

– Wszystko, tylko nie to – wyszeptała, patrząc bez mrugania na test ciążowy, a ja patrzyłam razem z nią i też się modliłam, żeby ten lęk skończył się tylko na jednej kresce. – Uff – odetchnęła z ulgą, a ja nalałam nam wina.

Portugalski romans zakończył się kilka miesięcy później, kiedy Aurelia nie miała nic więcej do borowania, natomiast pojawiło się całkiem sporo innych pacjentek, które nagle postanowiły leczyć swoje uzębienie. Moja przyjaciółka jakoś bez żalu ustąpiła im miejsca.

Teraz najwyraźniej przyszedł czas na Afrykę.

– Mamo, ale... – zaczął Tytus.

– Nie martw się, dzwoniłam już do twojego szefa i spytałam, kiedy da ci pełne dwa tygodnie. Mam dwa terminy do wyboru, z tobą Koralia pójdzie zdecydowanie łatwiej. Nie sądzę, żeby nie dali urlopu komuś, kto ma zaległe ponad dwa miesiące wolnego. – Puściła do mnie oko.

To ja też jadę?

– Pomyślałam, że zrobię coś dla siebie przed pięćdziesiątką. I pomyślałam jeszcze, że chcę to zrobić z wami, bo wszystkich innych mam w sumie w dupie. – Wzruszyła ramionami.

Urocze. Romantyczne nawet i schlebiające. Tylko że ja nie jestem pewna, czy chcę gdziekolwiek jechać. Bo nawet jeśli jeszcze nie wydarzyło się nic takiego, z czego powinnam się była tłumaczyć, to jednak moje relacje z Tytusem stały się inne. Nie potrafiłam tego wyjaśnić, poza tym nie miałam pojęcia, jak on do tego podchodzi, ale czułam, że między nami nie jest już tak jak dawniej. Że tamta przyjacielsko-opiekuńcza współzależność przeszła maleńką metamorfozę i dołączył do niej pierwiastek zmysłowości. Przynajmniej z mojej strony. Po prostu patrzyłam na niego inaczej i chciałam, żeby on też dostrzegł we mnie kogoś zupełnie innego niż tylko swoją drugą mamę.

Oczywiście powiedziałam Aurelii, że okropnie się cieszę i nie mogę się doczekać wyjazdu. Jednocześnie pomyślałam, że może uda mi się jakoś z tego wykręcić, do września zostało jeszcze trochę czasu, może naprawdę zachoruję albo dostanę spadek nie wiem po kim i będę musiała zająć się formalnościami. Pamiętajmy, że dwa miesiące to dwa opakowania wkładek higienicznych. Bardzo dużo. Na pewno coś się jeszcze wydarzy.

W domu bardzo dokładnie przejrzałam swoją garderobę pod kątem ewentualnych upałów. Nieważne, czy polskich, czy marokańskich, chodziło o ogólną orientację we własnej szafie. Po remoncie część rzeczy wyrzuciłam, podświadomie usuwając te, które kojarzyły mi się z wiekiem dojrzałym. Na przykład spodnie w kant. Nie wiem, jakim cudem znalazły się w mojej szafie i dlaczego w ogóle je kupiłam. W zasadzie nie wiem, po co ktoś produkuje tak

dziwną odzież. Spodnie, a pośrodku zaprasowana linia. I chodząc, musisz uważać, żeby się nie przesuwiała i nie pogniotła. Linia teoretycznie nadaje twoim nogom prosty kształt, ale to tylko złudzenie. Bo kiedy zbyt szybko idziesz, ona tańczy na twoich udach, kolanach i goleniach, stwarzając złudzenie krzywizny.

Chyba potrzebuję dwóch nowych sukienek, mogą być półdługie, ale odrobinę przezroczyste. Oczywiście nie nachalnie, po prostu kiedy stanę pod słońce, będzie można dostrzec kontury mojego ciała.

Boże, bredzę.

Strój kąpielowy... Wycięty czy raczej zabudowany?

Weszłam na wagę. Pięćdziesiąt osiem przy wzroście metr sześćdziesiąt siedem. Sprawdziłam szybko przeliczniki wagi i teoretycznie wszystko jest w porządku. Jestem dość szczupła, jedyny problem stanowi ogólna sflaczałość mojej skóry, która zapewne jest wynikiem braku sportu. Joga, na którą się zapisałam, jeszcze nie zaczęła przynosić oczekiwanych skutków, choć czuję już, że jestem nieco lepiej rozciągnięta. A to też nie jest bez znaczenia. Pośladki również odrobinę się uniosły. Biust mam na szczęście mały i naprawdę wiem, co mówię – w późniejszym wieku mały biust jest błogosławieństwem. Nie podlega tak drastycznie prawom grawitacji jak duże piersi, które na dodatek często mają za sobą karmienie kolejnych pokoleń. Swoją drogą, strasznie długo nikt ich nie dotykał. Potrząsnęłam głową, próbując pozbyć się tych absurdalnych myśli.

Co jeszcze? Może krótkie spodenki? Dżinsowe, z przetarciami?

Naprawdę nie chcę jechać. Po prostu trzeba od czasu do czasu przewietrzyć własną garderobę.

Pareo?

Dawno temu, ale wszystko pamiętam. Zwłaszcza to o kanarku

Kiedy mieszkałyśmy z Aurelią na Woźnej, na swój sposób byłyśmy sobie potrzebne, bo stanowiłyśmy dwuczęściowy system naczyń połączonych. Przynajmniej ja to tak odbierałam. Ona wreszcie miała kogoś, kto wpatrywał się w nią jak urzeczony, kto słuchał jej jak zaczarowany i nigdy nie przerywał, ja nie mogłam nacieszyć się faktem, że mam starszą koleżankę, która mnie nie wyśmiewa i nie opęda się ode mnie jak od natrętnej muchy. Najczęściej było tak, że ona mówiła, a ja słuchałam. Zdrowy układ. Przynajmniej się nie ośmieszałam. Lubiłam te nasze spotkania, nawet jeśli były przypadkowe. Nie zapraszałyśmy się nawzajem do swoich mieszkań, nie umawiałyśmy na konkretny dzień czy godzinę, wszystko bazowało na pewnej spontaniczności i chęci Aurelii, żebym jej towarzyszyła. Czasem też umawiałam się z koleżankami z klasy, choć głównie po to, by wspólnie się pouczyć. Jakoś z żadną nie potrafiłam się zaprzyjaźnić, choć przecież łączyło nas to samo dojrzewanie, ci sami nauczyciele i piersi, które zaczynały nam się zaokrąglać pod bluzkami. A jednak nie chciałam o tym z nimi rozmawiać.

Czas z Aurelią spędzałam głównie na podwórku, pod trzepakiem, przy piaskownicy przerobionej na zielnik (to akurat nie trwało zbyt długo), a potem – i to było dla mnie największą atrakcją – w kawiarni blisko domu, w której Aurelia dorabiała jako kelnerka. Była to jedna z pierwszych kawiarni w naszym mieście, która serwowała gościom śniadania. Pomysł dość chybiony, śniadania ludzie jadalі najczęściej w domach, ale dzięki temu Aurelia miała sporo czasu dla mnie, zwłaszcza we wtorki i czwartki, kiedy szłam do szkoły dopiero na trzecią lekcję, a ona miała zajęcia po południu. Ale właścicielka uparła się, żeby otwierać już o siódmej trzydzieści, bo nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się pierwszy klient spragniony ciepłej jajecznicy. Przesiadywałam zatem w Krokusie, pustym w godzinach porannych i słuchałam opowieści Aurelii o trudach życia, o konfliktach pokoleniowych oraz absurdalnym zakazie posiadania psa.

– Moja rodzina tkwi w jakichś dziwnych strukturach umysłowych. Pies kojarzy się rodzicom wyłącznie z budą i wsią. Tam ich zdaniem jest potrzebny, natomiast pies w mieszkaniu wydaje im się kaprysem.

Nie chciałam się spierać, ale z tego, co mi mówiła babcia, mieszkanie Aurelii również nie należało do zbyt dużych, choć chyba było o jeden pokój większe niż nasze. Co w dalszym ciągu nie dawałoby psu odpowiedniej przestrzeni. Spacer również nie należałby do idealnych, w pobliżu naszej kamienicy znajdował się wyłącznie jeden skwer, a były to czasy, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o woreczkach na psie odchody. Skwer zatem zawierał zdecydowanie więcej kup niż zieleni i gdyby odwiedzał go też pies Aurelii, trawnik stałby się jednym wielkim gównem. Nigdy nie wypowiedziałam tego na głos, tylko kręciłam ze zrozumieniem głową i wzdychałam nad brakiem wyobraźni jej rodziców.

Pamiętam, że przerabialiśmy wtedy na biologii różne gatunki ptaków hodowlanych i byłam dość dobrze zorientowana w ich pielęgnacji i potrzebach. Odważyłam się zatem zabrać głos, który troszkę mi się łamał z emocji, poza tym nie byłam pewna, czy Aurelia zechce mnie wysłuchać.

– Kanarek jest mało kłopotliwym domownikiem. Jego pielęgnacja jest łatwa, a żywienie proste. Ponadto rzadko choruje. Nie zapominajmy jednak o tym, że kanarki żyją dość długo, rekord to dwadzieścia lat. – Zerknęłam ostrożnie na swoją starszą koleżankę.

Patrzyła na mnie odrobinę osłupiała, ale na razie mi nie przerywała.

Recytowałam więc dalej. Dokładnie tak jak na referacie, który ostatnio przygotowałam.

– Kanarki nie umieją się wspinać, natomiast bardzo lubią skakać i oczywiście latać. Potrzebują do tego trochę przestrzeni. Dlatego im klatka dla kanarka większa, tym lepsza. Najmniejsza powinna mieć sześćdziesiąt centymetrów szerokości, pięćdziesiąt wysokości i czterdzieści głębokości. Żerdki mogą być umocowane wzdłuż lub w poprzek klatki. Szerokość między prętami musi uniemożliwiać ptakowi wysuwanie główki na zewnątrz.

Zamilkłam, bo Aurelia dziwnie zamachała w powietrzu rękami.

– Tak? – spytałam uprzejmie.

– Ja nie chcę kanarka, chcę psa.

– Wiem. – Pokiwałam głową. – Tak tylko mówię, na wypadek, gdybyś jednak zmieniła zdanie.

– Mogłabym ewentualnie zmienić zdanie na kota, chociaż to też absurdalne, nie lubię kotów, zwłaszcza po tym, jak mi zasrały zielnik, ale na pewno nie na ptaka. Zupełnie nie wiem, jak przeszłaś od psa do kanarka.

Zarumieniłam się. Co mnie podkusiło, żeby w ogóle otwierać buzię!

Na szczęście Aurelia wybaczyła mi to kanarkowe otwarcie i płynnie przeszła do tematów damsko-męskich, które, nie ukrywam, lubiłam najbardziej. Wreszcie ktoś mówił do mnie otwartym tekstem, a ja mogłam słuchać z wypiekami na twarzy o całowaniu, dotykaniu, a nawet – penetrowaniu. Zaciskałam wtedy mocno dłonie i uda, bo czułam, że to okropnie przyjemny temat. Choć zakazany.

A Aurelia mówiła na przykład tak:

– Najbardziej podniecają mnie pocałunki w usta. Początkowo są delikatne i wyrafinowane, ale z czasem stają się coraz bardziej gwałtowne i namiętne. Zawsze podsycają pożądanie. Całowanie należy zacząć od subtelnych pieszczot ustami. Muśnięcia warg powinny być krótkie i delikatne. Następnie przychodzi pora na ssanie i lekkie przygryzanie ust, dotykanie podniebienia i drażnienie języka...

Czyż ona nie była cudowna? I w jej ustach te opowieści brzmiały zupełnie inaczej, niż kiedy mówiła o tym Dorotka. Wtedy czułam się zniesmaczona, teraz

śluchałam z otwartą buzią, zapatrzona i zauroczona.

Kiedy w końcu wyprowadziliśmy się do naszego nowego bliźniaka, zupełnie nie umiałam cieszyć się z własnego pokoju. Poza tym wszystko wydawało mi się tam jakieś obce. Sąsiedzi, trawniki, nawet ptaki na drzewach. Dom pachniał drewnem, lakierem, świeżą farbą, folią i nawet kwiaty w doniczkach wydawały mi się jakieś sztuczne. Rodzice oczywiście byli zachwyceni. Po małym mieszkaniu na Woźnej prawie sto metrów kwadratowych bliźniaka wydawało im się ogromną przestrzenią, tym bardziej że wreszcie każdy dostał swój pokój. Sypialnię mieli wprawdzie wspólną, ale dodatkowo mama znalazła dla siebie niewielkie pomieszczenie, która zaadaptowała na biblioteczkę. No a ja zamieszkałam w zupełnie samodzielnym pokoju, który był ładny i miał wielkie okno, ale brakowało mi widoku na podwórko i trzepak. Dość szybko wpadłam jednak na pomysł, żeby pomieszkiwać u babci, zwłaszcza w poniedziałki i środy, bo wtedy mogłam następnego dnia rano pójść do Krokusa i pogadać z Aurelią. Mama początkowo nie była tym pomysłem zachwycona, ale szybko przekonałam ją, że jestem potrzebna również babci, która jest coraz starsza i ma kłopoty ze wzrokiem, słuchem, coraz częściej się potyka i chyba zaczyna mieć problemy z pamięcią. Mama wysłała wtedy babcię do lekarza, który niczego takiego nie stwierdził, ale na szczęście i tak mogłam u niej nocować.

– Masz klienta? – zdziwiłam się pewnego dnia, widząc, jak przy jednym stoliku pod oknem siedzi mężczyzna i czyta gazetę. Przed nim stał już kubek z herbatą, a Aurelia zawzięcie smarowała kanapki, układając je na seledynowym talerzyku.

– Zamówił jajecznicę i dwie kromki chleba z pomidorem. Niby proste, ale trochę mnie zaskoczył – przyznała, krojąc równo pomidora i wycinając z niego gniazda nasienne.

Do jajecznicy dodała świeżego szczypiorku oraz łyżkę masła i zaniósła to wszystko na tacy. Musiało smakować, bo facet coraz częściej zaczął pojawiać się w Krokusie, aż w końcu został kolejnym Miłoszem. Nie przejmowałam się już tym jednak tak bardzo jak kiedyś, bo wiedziałam, że prędzej czy później zniknie, a wraz z nim zapach świeżej jajecznicy.

I tu się myliłam.

Bo ten Miłosz okazał się Januszem, a potem zrobił Aurelii dziecko. Strasznie się wtedy na niego obraziłam, bo wypchnął mnie z życia starszej koleżanki i zajął moje miejsce. Byli razem wprawdzie krótko, i to z przerwami, bo Miłosz vel Janusz miał rodzinę w Niemczech, więc często do niej wyjeżdżał, dorabiając na własne mieszkanie. Kiedyś jego powrót zakończył się jednak małą niespodzianką, którą potwierdził ginekolog. Aurelia rzuciła wtedy pracę w kawiarni i skupiła się na studiach, bo doszła do wniosku, że nie chce być matką niewykształconą, a ja nie miałam już po co odwiedzać tak często babci. Podwórko było puste, trzepak

również. Mijałam ją czasem w przelocie i nawet machała mi jak zwykle ręką, a ja odliczałam nasze spotkania od małego brzucha do brzucha ogromnego, który w końcu wydzielił z siebie Tytusa. Wtedy przestała również machać.

– Zawsze tak jest – powiedziała mi wtedy babcia. – Świat młodej mamy zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Nie ma odwiedzin bez zapowiedzi, nie ma spontaniczności i godzinnych rozmów. Jest nowy rytm życia. Pieluszki, karmienie, tulenie, śpiewanie, a wszystko połączone z jednym wielkim zmęczeniem i niewyspaniem. Jest świat kupek, ulewania i pierwszych ząbków. Przyjaciółka zostaje ulokowana na ostatnim miejscu nowej piramidy priorytetów.

No właśnie. A ja przecież nawet nie byłam przyjaciółką.

Od babci dowiedziałam się jeszcze, że Miłosz vel Janusz zniknął, a Aurelia postanowiła sama wychować dziecko. Byłam z niej naprawdę dumna. I zazdrościłam takiej odwagi. Nie przejmowała się tym, co powiedzą sąsiedzi, nie zawracała sobie głowy jękami rodziny. A na koniec jeszcze zaplotła włosy w warkoczyki i odziana w powłóczyste sukienki zabierała Tytusa na spacer, czytając mu od małego *Przygody Tomka Sawyera*. Chciałam już wtedy jakoś zaoferować swoją pomoc, ale Aurelia najwyraźniej pragnęła udowodnić całemu światu, że świetnie sobie ze wszystkim poradzi. I że samotne matki potrafią być o wiele bardziej skuteczne niż patologiczna rodzina z mężem dupkiem.

I tak minęły kolejne dwa lata.

Marzec, poniedziałek. Niecałe dwa lata temu

Ponieważ to mój pamiętnik, będę tu wrzucać najróżniejsze przemyślenia, żebyście dobrze mnie poznali i żebyście zrozumieli, że nie jestem ani wyrachowana, ani zdesperowana. Owszem, miewam dni pełne mgły i takie, które nawet mnie samej się podobają, miewam okresy lepsze i gorsze, ale to jeszcze nie znaczy, że wszystko szczegółowo planuję. Czasem czekam na to, co się wydarzy. Ja się też wydarzam w tych dniach, a one wydarzają się we mnie. Większość jest dość pospolita, trywialna i bardziej przeciętna niż dzień z życia przedszkolaka. Ale chyba wszyscy tak mają.

Pamiętam okres, kiedy zbliżałam się do czterdziestki. Dryfowałam w jej kierunku z poczuciem życiowej klęski i chociaż naprawdę nie chciałam tak o sobie myśleć, to nie bardzo wiedziałam, co położyć na szali sukcesów.

Czytałam złe artykuły, które tylko utwierdzały mnie w przekonaniu, że optymizm kończy się po dwudziestym piątym roku życia.

Jedna z gazet przeprowadziła na przykład badania dotyczące wieku. Pytanie brzmiało – „czym według nas jest starość?”. Pytanie dodatkowe – „co wypada, a czego nie w pewnym wieku, założmy po sześćdziesiątce”. Miałam jeszcze czas, nadal go mam, ale może warto już wiedzieć?

Odpowiedzi pokazały, że jesteśmy cudownie tolerancyjni, bowiem prawie wszyscy uważali, że starym ludziom wypada cieszyć się życiem, tańczyć, jeździć na rowerze, modnie się ubierać, mieć program w telewizji, a nawet się zakochać. Gorzej jest z nagością. Gazeta informowała: 62 procent badanych uważa, że sześćdziesięcioletni facet może wystąpić na plaży w slipkach, ale tylko 39 procent daje starszej kobiecie prawo do pokazania się w bikini. Polacy nie widzą niczego wstydliwego w facecie z brzuchem, jaki miał wilk po zjedzeniu babci, ale sądzą, że rubensowskie kształty u pań należy zakryć przed męskim (i kobiecym) spojrzeniem. I jeszcze jedno. Starszy mąż jest tolerowany przez dwie trzecie Polaków, starsza żona z kolei – przez dwie trzecie odrzucana.

Czy właśnie dlatego zostałam odrzucona? Ale przecież moja następczyni mogła mieć najwyżej dwa lata mniej.

Pogubiłam się. Raz się obwinałam, innym razem uważałam za ofiarę. Chciałam nawet spalić swoje ślubne zdjęcia, ale nie bardzo wiedziałam, jak się za to zabrać. Wrzucić do wanny? Do zlewozmywaka? Po namyśle schowałam album na dno szafy i przykryłam starym kocem. Najbardziej brakowało mi rozmów z babcią, a właściwie z obiema babciami. Tą z Woźnej i tą od piwonii. One jakoś wszystko potrafiły sensownie wytłumaczyć. Niedobrze, że umarły.

Na szczęście miałam przyjaciółkę.

Aurelia była tak naprawdę chodzącą encyklopedią męskich zachowań. Nie wiem, skąd to wszystko wiedziała, ale najwyraźniej jej analityczny umysł potrafił

rozgryźć facetów lepiej niż niejeden psycholog.

– Czemu nie mówią, że nas kochają? – spytałam kiedyś po szóstym kieliszku wina. Zawsze włączał mi się wtedy tryb rozmemlanej czterdziestki, która próbuje poskładać kawałki samej siebie i zobaczyć, czy da się coś jeszcze z tego obrazka wycisnąć.

Wzruszyła ramionami. Pewnie już była zmęczona tymi pytaniami, ale zawsze próbowała mi wszystko wyjaśnić. Nawet jeśli był to sto czterdziesty siódmy raz.

– Wszystkiemu winne jest wychowanie. Nie od dzisiaj wiadomo, że w okazywaniu uczuć o niebo lepsze są dziewczynki: większość z nich w dzieciństwie przytula swoje lalki, głaszcze je po głowach i śpiewa kołysanki. Chłopcom chyba nigdy nie zdarzyło się czule przemawiać do samochodzika. No, chyba że w dorosłym życiu. Ponadto prawdopodobieństwo miłosnego wyznania zależy od stopnia... strachu przed partnerką. Im większe uczucie i mniejsza obawa przed skompromitowaniem się, tym szybciej wystękają miłosne zaklęcie. Czasem warto więc poudawać idiotkę, oczywiście jeśli koniecznie chcesz usłyszeć, że ktoś cię kocha.

Kiwałam tylko głową, że wszystko rozumiem, ale wcale nie byłam mądrzejsza. Nie pamiętam, ile razy mój mąż poinformował mnie o swojej miłości. Na pewno wtedy, kiedy się oświadczył, a potem jakoś dwa razy po ślubie.

A jak jest dziś?



Znowu tu i teraz

Dzisiaj jest tak, że Tytus „kocha” mnie znacznie częściej i chociaż wiem, że to tylko słowa, to i tak jest mi z tym dobrze. Łąduje wtedy miękko w poczuciu przyjemnego błogostanu, staję się lekka jak piórko i cieszy mnie dosłownie wszystko, nawet fakt, że w tym roku synoptycy nie przewidują zagrożeń powodziowych na Opolszczyźnie. I coraz mniej przeszkadzają mi różnice, których chyba nigdy nie uda nam się zniwelować.

– Zakładamy się, kto najdłużej wytrzyma bez roześmiania się? – pyta mnie na przykład Tytus.

Ponieważ nie do końca zrozumiałam, o co chodzi, robię minę niejednoznaczna.

– Patrz – wyciąga iPada – pokażę ci śmieszne filmiki na YouTube, a ty będziesz musiała zrobić wszystko, żeby nie umrzeć ze śmiechu, okej?

Nie muszę wam chyba mówić, że nie było to trudne? Facet, który wskoczył na stół i wpadł przez dziurę w blacie, drugi facet, który nie trafił w basen, tylko obok, kobieta z zaplątanym w jej włosy chomikiem. On się śmiał, a ja śmiałam się z siebie samej, że muszę się śmiać, chociaż nie wiem z czego.

Ale przynajmniej humor mi się zawsze poprawiał.

Wzdycham. Te wspomnienia są całkiem przyjemne i rzeczywiście ratują mnie przed paranoją. Do wyjścia została niecała godzina. Jestem ubrana, wystarczy założyć buty i kurtkę. Wstaję od stołu, żeby zrobić sobie świeżej kawy. Serce i tak łomocze we mnie jak oszalałe, trudno, najwyżej padnę trupem i zostanę ofiarą tego nieszczęsnego romansu. Może wtedy Aurelia mi wybaczy? Może pochyli się nad moim truchłem i szepnie, że zrozumiała i że będzie za mną tęsknić?

Czy Tytus kupi piwonie na mój pogrzeb? W lutym będzie trochę ciężko je zdobyć, ale w prawdziwych romansach nie ma rzeczy niemożliwych. Przyłapuję się na tym, że zaczynam pochlipywać z powodu własnej śmierci. To mnie otrzeźwia. Nalewam więc świeżej kawy, wsypuję dwie łyżeczki cukru, żeby osłodzić sobie gorycz życia (wiem, to arcybanalne) i wracam do stołu. Powspominam jeszcze trochę, dobrze?

Lipiec, poniedziałek

Nie wiem, czy te ćwiczenia, które zalecił mi Tytus, rzeczywiście były konieczne, ale oboje najwyraźniej uznaliśmy, że moja szyja i kark wymagają dłuższej rehabilitacji. Chodziło przecież o zwiększenie elastyczności i zakresu ruchu w stawach, o poprawę ciśnienia krwi, o lepszą postawę. No i ogólnie – o polepszenie mojego samopoczucia. Ale musieliśmy zmienić salę ćwiczeń, bo nie mogłam w nieskończoność mówić o nieistniejącym pytonie albo przychodzić z jakimś bezdomnym psem lub kotem. Poza tym Tytus miał swoich stałych pacjentów i godziny przyjęć.

I to on zaproponował, że będzie do mnie wpadał po pracy dwa razy w tygodniu i wszystko dokładnie rozmasowywał, a potem ja sama mam jeszcze poćwiczyć intensywne rozciąganie. Przy okazji, stojąc przed wielkim lustrem, zauważyłam, że oprócz szyi i karku powinnam jeszcze bardziej zadbać o swoje uda i brzuch, bo chociaż mam już skończoną czterdziestkę, to przecież nie oznacza, że muszę być sflaczała. Więcej jogi, więcej basenu i będzie dobrze. Mam całkiem ładne ramiona i dłonie też mi się podobają. Skóra może odrobinę przesuszona, ale łatwo można temu zaradzić. Balsam o zapachu mango? Czy raczej tuberoza? Podobno jej działanie można porównać do zmysłowego zniewolenia. Chyba znowu mnie poniosło...

Zerkam na swoje piersi. Muszę się wam przyznać, że do brązowego stanika dołączył ciemnobordowy, a potem także granatowy i koronkowe majtki do kompletu.

Nie, Tytus nie oglądał moich majtek, po prostu uznałam, że chcę mieć koronkowe, nie wiem, co mną kierowało.

Wiem.

Oszukuję samą siebie i was również.

I jego też oszukałam, mówiąc kilka dni temu, że znowu boli mnie kark, mam problemy z kręceniem szyją, a powinnam umyć głowę.

W zasadzie mycie głowy nie jest czynnością erotyczną, choć tak naprawdę wszystko zależy od naszej wyobraźni i nastawienia. Wtedy nawet zakładanie skarpetek może wywołać rumieniec zawstydzienia. Tytus natychmiast zaproponował, że umyje mi włosy, a potem tak delikatnie masował mi skórę głowy, że prawie odpłynęłam na nieznaną wodę. Lub raczej zapomniane. Nawet nie przypuszczałam, że głowa jest tak doskonale unerwiona, a jej dotykanie i głaskanie może wywoływać dreszcze.

Przynajmniej tak było u mnie. Co prawda Tytus mógł sobie wyobrażać, że masuje łeb kota, miałam jednak cichą nadzieję, że jemu to też sprawia przyjemność. Kot może podrapać, ja tylko mruczałam.

– Mmmm – zabelkotałam nawet mało precyzyjnie, ale natychmiast się

opanovałam. – Szczypie w oczy – wyjaśniłam szybko i przetarłam ręcznikiem powieki.

Nie muszę chyba dodawać, że miałam na sobie podkoszulkę bez stanika?

Jestem potwornie głupia.

A dzisiaj dla odmiany umówiliśmy się na spontaniczną kawę, ale nie u mnie w domu, tylko w prawdziwej kawiarni, a ja dorzuciłam do tego również spontaniczne przygotowanie się, które trwało co najmniej trzy godziny. Głupoty ciąg dalszy. Ogoiliłam nogi, zrobiłam pedicure, umyłam włosy i przymierzyłam dwieście identycznych zestawów spódnica plus bluzka. Na moje jesienne zestawy zielono-brązowe nawet nie spojrzałam, za bardzo przypominały mi Grażynkę. Opowiem wam o Grażynce trochę później, bo to piękna historia ku przestrodze. Właściwie to przykra, nie piękna, ale przynajmniej czegoś mnie nauczyła. Swoją drogą już dawno powinnam te ciuchy wyrzucić, choćby przy okazji remontu. Ale najwyraźniej wszystko potrzebuje swojego czasu. W końcu wybrałam dżinsy przedszkolne, jedyną koszulkę, która nie była poplamiona z przodu (z tyłu miała odcisnięte dziecięce farbkowe łapki), a na nią narzuciłam popielatą marynarkę. Pomalowałam się delikatnie, żeby tylko zatuszować niedoskonałości cery, jak to się fachowo nazywa, a jednocześnie nie zamazać rysów twarzy nadmiarem fluidu. Im człowiek starszy, tym więcej pułapek na niego czyha, również tych kosmetycznych.

Zerknęłam do gazety na obowiązujące trendy.

Tropikalne lato.

Zieleń dżungli, błękit laguny, czerwień papai, a do tego delikatny, rozmyty róż i morela. Wizażyści zgodnie twierdzą, iż te odcienie wywołają w tobie posmak wakacji, nawet jeśli właśnie siedzisz w pracy i do urlopu masz jeszcze sporo czasu.

Nie siedzę właśnie w pracy, nie wzięłam w tym roku wolnego, no właśnie – dlaczego?

Czyżbym nie zasługiwała na wakacje z czerwienią papai, rozmytym różem i morelą? Próbowałam zagłuszyć swoje myśli, że po prostu nie mam z kim wyjechać na wakacje, a jestem ostatnią osobą, która wybrałaby się gdziekolwiek w pojedynkę. Chwila, przecież czeka na mnie Maroko. Mam zaplanowany urlop!

Czytam dalej.

Zimny metal.

Metaliczne pastele, srebrzysty i złoty brokat, czarna kredka do oczu. Morag Ross, stylistka Max Factora, twierdzi, że takie odcienie idealnie pasują do silnych bizneswoman. Kolory należy jednak nakładać delikatnie, z umiarem, by nie uzyskać efektu teatralnej maski.

Nie jestem silną bizneswoman, jestem panią od spinaczy oraz dwa razy w tygodniu prawie przedszkolanką. Efekt maski to najgorsze, co może przydarzyć się kobiecie, zwłaszcza takiej, która wybiera się na spontaniczną kawę z synem

przyjaciółki.

Z Tytusem.

Purystyczna niewinność.

Transparentne pudry, transparentne błyszczki, pudrowe, rozmyte róże, brązy i brzoskwinie. Z takim zestawem uzyskasz efekt porcelanowej cery, świeżej i delikatnej. Wizażyści przekonują, iż całość ożywi odrobina rozświetlającego pudru, nałożona na czoło, policzki i podbródek.

Bingo. Będę purystycznie niewinna, z ciemnobordowym stanikiem ukrytym pod zieloną koszulką. Nie miałam wprawdzie rozświetlającego pudru, więc użyłam zwykłego, nie miałam brzoskwiniowych cieni do powiek, więc użyłam beżowych, a jeśli chodzi o błyszczki, to po prostu oblizalam usta. Jestem kobietą ubogą kosmetycznie i właśnie to sobie uświadomiłam. Czy ja nie lubię się malować? Czy ja nie lubię wyglądać ładnie? Może niewierność mojego męża wynikała po prostu z faktu, że stałam się kobietą nie tyle niezadbaną, co urodowo przezroczyłą?

Znowu stanęłam przed lustrem. Ostatnio robię to coraz częściej.

Mam okrągłą twarz i jasne włosy, obcięte do ramion. Mam grzywkę. Nie wiem, czy ona mnie postarza, czy odmładza, mam ją od zawsze. Od zawsze też mam taką długość włosów. To znaczy od zamążpójścia. Pamiętam, jak na studiach eksperymentowałam z włosami, raz zapuszczałam, innym razem obcinałam na krótko, a raz ogoliłam się na łyso i chyba nawet planowałam tatuaż. Na szczęście był za drogi, a dodatkowo ojciec zagroził zawalem serca. Uznałam, że nie będę go narażać. Ale od kilkunastu lat w zasadzie w ogóle się nie zmieniam. No, z wyjątkiem pewnego eksperymentu, ale o tym później. Brwi należałoby wyskubać, co natychmiast robię, bo chociaż liczę na przydymione światło w kawiarni, to jednak świadomość, że mam zarośnięte brwi, nie pozwoli mi się wyluzować. Usta mam ładne. Nie są wprawdzie duże, ale dorodne? Gęste? Wypukłe? Ogólnie wyglądam dość zwyczajnie i doprawdy nie mam pojęcia, na co ja liczę dzisiejszego wieczoru. Zresztą, to Tytus.

T Y T U S.

Moje prawie dziecko, które nagradzałam wylewnymi pocałunkami, kiedy nauczyło się korzystać z nocnika. Czy można w ogóle inaczej myśleć o nim, skoro zna się kolor jego dziecięcej kupy? Z drugiej strony dziecięce kupy wyglądają przecież podobnie. Może odrzucę te myśli i zamknę je w szufladzie z napisem „to było dawno”?

Próbuję nieco nastroszyć grzywkę, ale to nie jest dobry pomysł, bo wyglądam jak kobieta z gniazdem. Więc znowu ją wygładzam i zastanawiam się nad luźnym warkoczykiem. Infantylnie. Nie lubię określenia „w pewnym wieku”, ale doprawdy w pewnym wieku infantylizm bardziej szkodzi niż wrzody na żołądku.

Kawiarnia rzeczywiście była przydymiona, a to jest ten rodzaj oświetlenia,

które kobiety lubią najbardziej. Przyszłam dyskretnie spóźniona, odrobinę pachnąca wiatrem i z makijażem „purystyczna niewinność”, ale możliwe, że mówię od rzeczy. Tytus uśmiechnął się do mnie i wstał, co przypisuję sobie, bo zawsze go uczyłam, że należy unieść dupsko, kiedy witamy się, zwłaszcza z kobietą lub kimś starszym. W moim przypadku to dwa w jednym. Jestem starszą kobietą i chyba trochę się pogubiłam.

– Jak szyja?

– Lepiej. – Pokręciłam głową i nerwowo chwyciłam za kartę.

Co jest? Skąd ta nerwowość?

– Kawa?

Jeszcze mi serce stanie.

– Herbata z pomarańczą i miętą. – Wskazałam palcem na pierwsze lepsze zdjęcie i odczytałam podpis „Zapach Marrakeszu”. Niech będzie. W końcu mamy tam niedługo jechać.

Czy to aby na pewno dobry pomysł?

– Coś słodkiego?

Dobre pytanie. Czy kobieta obżerająca się szarlotką jest zalotna, czy jest po prostu kobietą obżerającą się szarlotką? Czy jest apetyczna, czy raczej patrzy się na nią z pewną pobłażliwością? Czy je, bo lubi słodkie, czy zajada smutek i ogólną apatię?

Trudno. Mam ochotę na szarlotkę, a nad brzuchem popracuję jutro rano. Poza tym będę miała czymś zajęte ręce, a w razie krępującego milczenia napcham sobie ciasta do ust. Mogę też potem przeprosić, że chyba mi zaszkodziło i dać nogę. Z drugiej strony, co znaczy zaszkodziło? Że mam wzdęcia? Wątroba się odezwała? Zgaga? A może dopadło mnie rozwolnienie?

Za dużo tych myśli. Za dużo pytań, a przecież to jest mój Tytus, więc może powinnam przestać zachowywać się jak idiotka i normalnie z nim rozmawiać, tak jak to robiłam do tej pory. W końcu rzeczywiście się wyluzowuję i jestem sobą. Nie ma nic przyjemniejszego niż normalna rozmowa, bez żadnej napinki, bez uważania na to, jak się wygląda i czy czasem nie odkleiła nam się rzęsa.

Jem szarlotkę i popijam „Zapach Marrakeszu”, miętowe preludium do naszego wyjazdu. Pytam o pracę, o gabinet, o to, jak mu idzie, czy ma dużo pacjentów. Nie bardzo wiem, dlaczego nagle spodobały mi się jego oczy. Są takie jak zawsze. Brązowe. Ale nie do końca, bo od środka rozchodzą się bursztynowe refleksy, co daje niesamowity efekt, kiedy światło pada pod pewnym kątem.

Bredzę.

I włosy też są brązowe, gdybyście pytali. Półdługie, proste, nie, w zasadzie lekko pofalowane i on odgarnia je takim swobodnym ruchem. Absurdalna gonitwa myśli. Czy z jakiegoś powodu moglibyśmy wyjechać razem na wakacje? Bez Aurelii? Czy z tego samego powodu moglibyśmy wyjść razem do kina, a potem na

kolację?

Marzenia mi się nieco rozhuściły. I chyba zdrowy rozsądek również. Aż się w końcu zaśmiałam pod nosem.

– To jak, pójdziesz ze mną?

Niestety nie wiem, o co zapytał. Bo huśtam się w obłokach jak uszczypnięta zauroczeniem nastolatka albo jak wdowa po wiarusie, której się na stare lata trafił romans z listonoszem.

Boże, znowu bredzę, dobrze, że w myślach.

– Jasne, czemu nie – odpowiadam.

Nie mam pojęcia jednak, na co się zgodziłam!

Lipiec, jest pochmurno i ciemno. Ale ta ciemność jest piękna

Mówi się, że logika zaprowadzi nas z punktu A do punktu B, a wyobraźnia zaprowadzi nas tam, dokąd chcemy. Ja jeszcze nie wiem, dokąd dokładnie chciałabym pójść, ale gdybym miała kierować się wyłącznie logiką, to z punktu A do B nie ma zbyt długiej drogi, a potem jest tylko ściana. Przynajmniej dla mnie. Pewnych rzeczy nie należy bowiem ruszać i na siłę zmieniać krzesła w paletę. Punktem A był Tytus, punktem B jego matka. Gdybym była na tyle rozsądna, żeby przejść tą drogą, wiedziałabym, że na punkcie B wszystko się skończy. Ale ja chciałam przeskoczyć ścianę i dlatego uległam urokom wyobraźni.

A gdyby to się jednak udało? A gdybym zaryzykowała i spróbowała ugryźć szczęście od zupełnie innej strony? A jeśli szczęście niekoniecznie musi być słodkie?

Moje spotkania z Tytusem przestały być tylko przypadkowe. Coraz częściej po prostu się umawialiśmy i za każdym razem cieszyły mnie te randki, nawet jeśli nie powinnam tego tak nazywać. Oczywiście, że miałam momenty zwątpienia, kiedy do mojego mózgu próbowała się przewiercić uporczywa myśl, że coś tylko sobie ubzdurałam, że sama wymyślam scenariusze, które nie mają żadnego pokrycia w rzeczywistości. Tytus mnie lubił i lubił spędzać ze mną czas, ale czy jego myśli szły na pewno tym samym torem co moje? A może on jednak widział w naszym układzie przyjaźni, a ja uległam jakiemuś złudzeniu?

Kobieta bardzo szybko zakłada na siebie ślubną suknię, jeszcze zanim jej partner w ogóle zagnieździ się w słowie „związek”. Taka już jej natura, że wybiega wzrokiem do przodu, zamiast spojrzeć bardziej racjonalnie na sygnały, które wysyła jej otoczenie. Tytus nigdy mnie nie drasnął dłuższym spojrzeniem, nie proponował, że wpadnie wieczorem z butelką wina, nie próbował dotykać w sposób inny niż chwycenie za rękę. A jednak traktowałam go jak faceta, choć oczywiście cały czas próbowałam zachować zdrowy dystans. Przynajmniej oficjalnie.

Bo moja wyobraźnia malowała takie obrazy, których nie powstydziliby się sam Jean Fragonard, francuski malarz erotyczny. Sprawdźcie go. Był naprawdę sprośny.

– Koralia, a co powiesz na kolację w zupełnych ciemnościach?

To mogłoby podchodzić pod erotykę, gdyby taka kolacja miała się odbyć u mnie w domu, ale Tytus miał po prostu zaproszenie do restauracji Dark, które dostał w podziękowaniu za uratowanie życia kotu z dysplazją stawu łokciowego. Nie muszę wam chyba mówić, że w takich miejscach nikt nie stawia na logikę, a fantazja całkowicie wymyka się spod kontroli. W ciemnościach puszczają hamulce, wystarczy przypomnieć sobie opowiadanie Borisa Viana o gęstej, śmietanowej mgle, która pozwoliła wszystkim mieszkańcom robić wreszcie to, na

co mieli ochotę. Bo i tak nikt niczego nie widział.

W restauracji Dark nie było mgły, ale panowała podobna nieprzejrzystość. Nie można tu było używać telefonów komórkowych ani zegarków fluorescencyjnych, ani w ogóle niczego, co dawało jakiekolwiek źródło światła. Dodatkowym plusem był fakt, że moja stylizacja nie miała w takich warunkach żadnego znaczenia, więc założyłam po prostu zwykłe dżinsy i T-shirt. I dość szybko przekonałam się, jak bardzo jestem polisensoryczna. Do tej pory myślałam, że jem oczami, choć z drugiej strony nigdy nie przywiązałam zbyt dużej wagi do sztuki kulinarnej. Może dlatego, że jedliśmy z Janem nudnie, podobnie jak nudnie żyliśmy. Ale teraz było inaczej. Zmysł wzroku przestał się liczyć, nie mogłam ocenić potrawy na podstawie jej wyglądu, nie mogłam zobaczyć, z czego się składa i jak komponuje się na talerzu. Tak naprawdę liczył się tylko zmysł smaku i węchu, wyostrzony nagle jak u psa. I jeszcze ta świadomość, że gdzieś na wyciągnięcie ręki jest Tytus, że mogłabym teraz podejść i jakoś się w niego zaplątać, gdyby nie strach, że pomyłę go z kimś innym i wpakuję język do gardła kelnerowi albo jakiejś obcej kobiecie. Poskromiłam więc swoją ochotę na ludzkie mięso i poprzestałam na tym, co na talerzu.

Chyba na talerzu. Menu miało być niespodzianką, poprosiłam tylko, żeby to nie była gęś, kiedyś wam wytłumaczę dlaczego. Czerń była tutaj idealna. Mroczna, ale aksamitna, nie drażniła, nie straszyla, dawała poczucie zatopienia się w czymś perfekcyjnie miękkim, prawie czekoladowym. Dotknęłam po omacku talerzyka, chwyciłam coś w palce i spróbowałam przystawki. Kremowe, maślane, z lekką nutą pistacji. Idealnie podpieczone, ale jednocześnie miękkie. Przegrzebki?

– Koralia, jesteś tu? – słyszę głos Tytusa.

Mam ogromną ochotę go pocałować, ale oczywiście tego nie robię. Poza tym i tak go nie widzę.

– Mhm – mruczę więc tylko.

– Spróbuj mojego dania, nie mam pojęcia co to, ale smakuje genialnie.

Otwieram usta i czuję coś kruchego, delikatnego, a jednocześnie z pikantnym akcentem.

Jestem zachwycona. Feeria smaków, dziwnych konsystencji, faktur i temperatur. I palce Tytusa, które muszę oblizać. A on oblizuje moje. Zamykam oczy, choć zupełnie niepotrzebnie. Jestem jak w transie, unoszę się w powietrzu i zachwycam własną polisensorycznością. Każdy receptor mojego ciała zostaje w jakiś sposób poruszony. Nie tylko poprzez jedzenie, zapachy i smak, ale przede wszystkim poprzez obecność Tytusa, którego mogę dotknąć choć na chwilę i nie ma w tym niczego niestosownego, w końcu wolno nam się karmić nawzajem.

Podobno zjadłam pierożki z ciasta filo z wołowiną orientálną z imbirem na sałatce z rzepy, pestek granatu i słonecznika, tatar z łososia z jabłkami i suszonymi pomidorami, kawior, grzanki z pistacjami, palone siano z pora, polędwiczki cielece



z garam masala, pęczak gotowany z pudrem z suszonych grzybów oraz tagliatelle z marchwi w glazurze z pomarańczy i imbiru.

Naprawdę?

Ale i tak wszystko smakowało Tytusem.

Mam osiemnaście lat. Aurelia ma dwadzieścia cztery. I ratuje mi życie

Nigdy do tego więcej nie wracałyśmy, chociaż ja próbowałam, ale Aurelia powiedziała mi, że pewnych wspomnień nie warto pielęgnować. Wydarzyły się dzięki złemu zbiegowi okoliczności, zaistniały, choć nie powinny, dlatego trzeba o nich jak najszybciej zapomnieć.

– Wyrwać z mózgu, zupełnie jak sąsiedzi moje zioła – wyjaśniła mi dokładnie i od tego czasu temat między nami umarł.

Choć ja oczywiście wszystko dokładnie pamiętałam.

Osiemnastki nie obchodziłam jakoś szczególnie hucznie, tym bardziej że moje myśli były zaprzątnięte zbliżającą się maturą. Ale wypięłam lampkę szampana z rodzicami, a z koleżankami umówiłam się na sobotę. Wieczorem zaś obiecałam, że wpadnę do babci na Woźną, na moje ulubione ciasto z bezową pianką i ukrytymi pod nią malinami. Babcia piekła je od zawsze i chociaż pewne rzeczy w życiu ulegają przedawnieniu lub po prostu tracą smak, ciasto to zawsze było kwintesencją wartości ponadczasowej. I przegrało nawet z piwem zaproponowanym przez kolegę z klasy.

– Nie możesz? – zdziwił się, a na imię miał zdaje się Wiktor. Ładne imię i oczy też miał ładne, ale koniec końców nic z tego nie wyszło, bo ktoś inny był szybszy. I tuż po balu maturalnym sprzątnął mi te oczy sprzed nosa. Byłam nawet zawiedziona i zła na samą siebie, zwłaszcza że wybierałam się na studia i bardzo chciałam, żeby ktoś mi w tym mentalnie towarzyszył. Z Wiktorem wejście w dorosłość zdecydowanie byłoby łatwiejsze, ale niestety odmówiłam wtedy wspólnego piwa i nasza przyszłość nie była już nasza.

Pokręciłam przecząco głową. Piwo kontra ciasto z malinami? Nie mogłam się do tego głośno przyznać, więc tylko zrobiłam minę „jestem już z kimś umówiona”.

Nie muszę mówić, że z babcią.

Domofon jak zwykle był zepsuty, mieszkańcy powoli mieli dość wzywania specjalistów, którzy naprawiali go średnio trzy razy w miesiącu, ciągle z podobnym skutkiem. Działał dziesięć dni. Światło też od czasu do czasu nawalało, ale to akurat była wina przepalonej żarówki. Lub wykręconej przez jakiegoś złodzieja.

Nie pamiętam, kiedy ten facet chwycił mnie za gardło, kiedy do siebie przyciągnął i spojrzał mi prosto w oczy. Chyba po raz pierwszy zobaczyłam wtedy z bliska nienawiść. Była jak ognista kula, jak płomień, który zaczynał dotykać mnie swoim językiem. Nie pamiętam, czy krzyczałam, czy próbowałam się wyrwać, pamiętam tylko strach, który zaczął się we mnie rozlewać, docierając nawet do palców u stóp. Nienawiść patrzyła na mnie coraz bardziej intensywnie, a ja w pewnym momencie ugryzłam ją w rękę. Facet krzyknął, choć niezbyt głośno, i poluzował uchwyt, więc mogłam zaczerpnąć powietrza. Dostałam dodatkowych

kilka sekund, w czasie których próbowałam ocenić własne szanse, ale ta chwila szybko minęła. I znowu poczułam jego rękę na gardle i zachciało mi się potwornie płakać, że to już, że zginę we własne osiemnaste urodziny, że nie zdążyłam nawet wejść do babci na górę, a ona tam czeka z ciastem. Było mi żal, że nie posłuchałam Wiktora, że nie wybrałam piwa z nim, że nie ma go teraz tutaj przy mnie, żeby tą butelką przywalić mojemu napastnikowi.

Aurelia pojawiła się nagle. Kopnęła faceta z całej siły w zgięcie kolana, więc natychmiast się zachwiał i stracił równowagę. Pociągnęła mnie wtedy za sobą na górę i chociaż gardło piekło, a nogi miałam jak z waty, to jednak pokonałam tych kilkadziesiąt stopni w ułamku sekundy. Nie pamiętam, co wtedy powiedziałam do babci, nie pamiętam, kiedy przyjechała policja, nie opisałam tego faceta zbyt dobrze, bo w głowie miałam tylko ciemne, złe oczy i skumulowaną w nich nienawiść. Nie znaleźli go ani tego wieczoru, ani pewnie w kolejne też nie, chociaż nie wiem, bo Aurelia kazała mi o wszystkim jak najszybciej zapomnieć. Chciałam jej podziękować, chciałam zrobić coś tylko dla niej, przecież uratowała mi życie.

– Ja nie wiem, co powiedzieć, ale gdyby nie ty...

– Spoko, każdy by tak zareagował. Ale teraz spadam, muszę lecieć do małego.

– Uratowałaś mi życie... Nie wiem, jak ci dziękować. – Z trudem hamowałam łzy wzruszenia, wdzięczności i ciągłe jeszcze strachu.

Ale ona tylko wzruszyła ramionami i znowu nasz układ wrócił do poprzedniego schematu przypadkowych spotkań, czasem krótkich rozmów, byle nie o facecie na klatce, i do machania sobie ręką, kiedy mijałyśmy się w przelocie. Zupełnie jakby to był tylko epizod, nic nieznaczące wydarzenie, którego przypadkowo była świadkiem. I być może właśnie dlatego dość szybko doszłam do siebie po tym incydencie. Nie musiałam o nim mówić, nie musiałam wspominać tego strachu i znowu zaczynać się bać. Aurelia postawiła na reset i to było bardzo dobre posunięcie. Babcia też starała się więcej do tego nie wracać. Pamiętam za to, że domofon naprawili wtedy następnego dnia i od tego czasu już się nie psuł. Zupełnie jakby potrzebował mocniejszych wrażeń, żeby zrozumieć, jak bardzo jest potrzebny.

Ale pamiętam coś jeszcze. Kiedy siedziałam u babci na kanapie, owinięta kocem, z kieliszkiem wódki w ręce („Dziecko, to wszystko jest teraz nieważne, pij, poza tym jesteś pełnoletnia”), obiecałam sobie, że zawsze będę wierna Aurelii i że zawsze będzie mogła liczyć na moją pomoc. I że nigdy, przenigdy jej nie zawiodę.

Oczywiście ta obietnica ma się nijak do tego, co wyprawiam właśnie teraz. Gdybym chciała być uczciwa, lojalna i wiarygodna przed sobą samą, natychmiast wykreśliłabym ze swoich myśli Tytusa i nie bawiła się w wizje, których nie wolno mi było urzeczywistnić. Dlaczego więc tego nie robię? Dlaczego, zdając sobie sprawę z własnej niemoralności, brnę w nią dalej, wzruszając ramionami na własne

przysiężenia?

Przyjaźń buduje się latami, ale to nie znaczy, że można ją odmierzać liczbą minionych dni. Że wystarczą daty. Przyjaźń jest mieszanką wspólnych przeżyć i wspólnych kłótni. Pomaganiem sobie nawzajem i stawaniem murem w sytuacjach, kiedy inni plują. Pogłaskaniem i pogrożeniem. Akceptacją, wspieraniem, dochowywaniem tajemnic, szczerością, wybaczeniem, szanowaniem cudzego zdania. I między nami to wszystko było, nawet jeśli to ja wybaczalam więcej. Nawet jeśli to ona częściej się obrażała.

– Babciu, Aurelia uratowała mi życie, wiesz? – powiedziałam wtedy na kanapie, po raz pierwszy smakując wódki, wymieszanej ze łzami. Uspokoiliam się już, odzyskałam miarowe tętno, gardło przestało szczypać. Jeszcze mi trochę ciekły łzy, ale i one zaczynały powoli obsychać. A ja doszłam do wniosku, że ktoś specjalnie postawił Aurelię na mojej drodze. I że to jeszcze nie koniec. – Będę ją już zawsze kochać – obiecałam uroczyście.

Babcia pokiwała wtedy głową i przytuliła mnie mocno.

– Ja też, moje dziecko. Aurelia jest naszym dobrym duchem.

I właśnie temu duchowi postanowiłam teraz wbić nóż w plecy.

Piątek, końcówka sierpnia

Czasami zdarzają się takie tygodnie, kiedy wszystkie dzieci chorują dokładnie na to samo. Najczęściej jest to grypa żołądkowa i jeśli jedno ją złapie, wiemy, że za chwilę będzie fala.

Kiedy w pewien piątkowy upalny dzień pojawiłam się w przedszkolu, spotkałam zaledwie trójkę dzieci, które absolutnie nie chciały tu zostać.

– Po Magdę i Stasia przyjadą rodzice, gorzej z Pawełkiem. Mama może dojechać najwcześniej za trzy godziny – wyjaśniła mi pani Ania, odrobinę zielonkawa na twarzy.

– Źle się czujesz?

Kiwnęła głową.

Zagryzłam wargi i spojrzałam na chłopca.

Pawełek był dość zbuntowany i oznajmił, że sam na pewno nie zostanie w przedszkolu i że mamy to sobie „wybić z głowy”. Zadzwoiłam więc do jego mamy i zaproponowałam, że wezmę go do siebie.

– A to nie będzie kłopot?

Nie wiem. Ale w swoim mieszkaniu jakoś Pawełka ogarnę, poza tym to przecież urocze dziecko. W ogóle większość dzieci jest urocza, gdy w pobliżu nie ma rodziców. Oczywiście nie mówię tego samym rodzicom, to taka moja prywatna życiowa obserwacja.

Telefon zawibrował przyjemnie, wydając z siebie klekot bociana. To ja go tak ustawiłam, żeby od razu wiedzieć, że dzwoni do mnie Tytus.

– Mam Pawełka pod opieką – powiedziałam od razu, choć jeszcze nie zdążył o nic zapytać.

– A ile ma lat?

– Cztery.

Roześmiał się.

– Myślałem, że to jakiś twój przyjaciel.

Zaczerwieniłam się, zupełnie nie wiedząc dlaczego.

– Mam dzisiaj wolne, o czym zupełnie zapomniałem. Myślałem, że może wpadnę, zobaczę, jak szyja, ale...

– Wpadnij. Zawsze będzie mi raźniej, zwłaszcza że Pawełek ma minę zbuntowaną.

Spontaniczność jest zdecydowanie cechą ludzi młodych. Też taka byłam. A teraz wszystko muszę sto razy przemyśleć, rozważyć za i przeciw, spróbować ocenić plusy i minusy. Tymczasem Tytus był u mnie pół godziny później i od razu zapytał, czy może zbudować szałas.

Taki z krzesel i koca.

Patrząc na niego, nie żałowałam wcale, że jestem starsza, że dzieląca nas

różnica wieku jest zbyt duża. Żałowałam siebie, że tak szybko wyrosłam z dzieciństwa. Że porzuciłam swobodne myśli, zabawy z niczego, paplanie bez celu, wyjadanie suchego vibovitu. Że swobodnie i bez zastanowienia weszłam w świat dorosłych, starannie zamykając za sobą drzwi do pokoju beztroski.

Tak, człowiek dorosły powinien być odpowiedzialny, powinien myśleć racjonalnie. Ale to nie znaczy, że nie wolno mu już zjeść lizaka. Bardzo trudno jest ponownie zejść do poziomu podłogi i bawić się z dzieckiem, nie dlatego że się musi, ale dla samej siebie. Z koca robić dach, z krzeseł ściany, z poduszek miejsce do spania. Tytus poszedł jeszcze dalej.

– Masz jakieś stare zasłony? Te z remontu?

A potem zdjął wiszącą paprotkę i na haczyku podwiesił połączone niebieskie zasłony, tworząc z nich namiot, który wypełnił poduszkami, miękkim kocem i...

– Wytnij trochę rybek z tektury.

Wycięłam, a on je doczepił do wewnętrznej strony materiału.

Byliśmy pod wodą. Mieszkaliśmy w podwodnym pałacu, a Pawełek leżał na ziemi i z zachwytem patrzył w górę. Ja też leżałam, patrzyłam i było mi smutno, że bez Tytusa nigdy bym na to nie wpadła. Nie chciałoby mi się. Popatrzyłabym dalej i zobaczyła konsekwencje takiego namiotu. Sprzątanie, chowanie, podwieszanie paprotki.

Człowiek dorosły we wszystkim dopatruje się stresu. Szuka problemów, niedogodności, a kiedy je znajdzie, cieszy się, że miał rację. Więc nie buduje niczego bez sensu, nie stawia szałasów z krzeseł i koców, nie chce podwieszanych namiotów ani bitwy na poduszki, bo widzi fruujące pierze, które będzie musiał posprzątać.

Popatrzyłam na Tytusa i poczułam, jak coś ściska mi żołądek. Jak metalowa obręcz staje się zbyt ciasna, a ja sama nie mogę złapać oddechu. Nic z tego nie będzie. On żyje w świecie, który mnie fascynuje, ale do którego mój bilet stracił ważność. Nie można zawrócić zegara, bo nawet jeśli cofniesz wskazówki, to i tak czas się nie zmieni.

I wtedy chwycił mnie za rękę, a ja prawie się roztopiłam.

– Zrobisz nam kakao z piankami marshmallow?

No właśnie. Nie mam pianek marshmallow. Bo jestem dorosła.

Wrzesień, trzy dni przed wylotem na wakacje

Kiedy wszystko było już zaplanowane, a torby czekały na spakowanie, Aurelia wpadła do mnie zaraz po pracy, zrzucając w biegu buty i kopiąc przy okazji kuchenny taboret.

– Auć – dodała między jednym oddechem a drugim, a potem zaczerpnęła powietrza.

– Co jest? – udało mi się jeszcze wtrącić.

– Nie jadę na wycieczkę. No po prostu nie jadę, bo mam megawielki, arcyważny i gargantuicznie olbrzymi projekt dla najważniejszego klienta świata, króla wręcz, a nawet półboga w naszej branży. No i szef runął przede mną na kolana, obiecał, że odda mi całą kasę, ale jechać nie mogę. I że mnie zatrzyma choćby siłą albo uspi eterem, żebym przegapiła lot.

Maroko.

Nasze Maroko we trójkę, matka i syn oraz ja, trochę druga matka, no i przyjaciółka. Tytus obejrzał siedem razy *W stronę Marrakeszu*, ja tylko pięć, ale i tak już poczułam ten zapach. I nawet się w końcu ucieszyłam, bo przecież nigdy w życiu nie pojechałabym na taką wycieczkę sama. I dobrze nawet, że mieliśmy jechać we trójkę, przynajmniej moje głupie myśli zostaną jakoś poskromione.

Usiadłyśmy przy stole w kuchni i naprawdę jej współczułam. Oraz sobie, bo przecież tak bardzo chciałam jechać. Czasem jednak tak bywa, że kiedy człowiek przesadnie i zbyt głośno z czegoś się cieszy, los lubi przewrotnie zachichotać. I uciąć tę radość jak nożem, mieczem, scyzorykiem chociażby.

– Nie wykupiłam ubezpieczenia od rezygnacji z podróży, więc wycieczka automatycznie przepada, dobrze chociaż, że mi w firmie zwrócą kasę. Ale tylko za mnie, wiesz, co to oznacza?

Nie wiedziałam.

– Że musicie jechać.

Mój mózg zaczął nagle wyświetlać dziwne obrazy. Ja spacerująca z Tytusem po plaży, zatapiająca się w małe uliczki i jeszcze ten moment, kiedy chwytam go za rękę w samolocie, bo chyba boję się latać.

Absolutnie wykluczone. Co innego jechać we trójkę, jako przyjaciółka, co innego pojechać tylko z nim.

– Z Tytusem już rozmawiałam, próbował przełożyć termin, ale to oczywiście niemożliwe. Więc też uznał, że przynajmniej wy musicie skorzystać. Co za pech! – Zanurzyła dłonie we włosach, a ja otworzyłam usta, żeby kategorycznie i stanowczo odmówić.

Nigdzie nie jadę.

Nie z Tytusem.

Bo?

– A może ktoś inny mógłby pojechać na twoje miejsce? – zaryzykowałam nieśmiało. – Albo na moje też? Może jacyś znajomi Tytusa?

Aurelia parsknęła.

– Nie sądzisz chyba, że zafunduję wycieczkę obcym ludziom? Mowy nie ma. Poza tym chcę, żebyś chociaż ty zobaczyła Afrykę. Kiedyś pojedziemy tam razem, na razie musisz sama zapamiętać wszystkie te kolory i zapachy.

Nie umiem podjąć takiej decyzji. Mówiłam już, że nie należę do osób spontanicznych. Wszystkie moje decyzje są przemyślane w każdym możliwym aspekcie i kierunku, żebym nie mogła sobie zarzucić, że czegoś nie dopilnowałam. Wycieczka do Maroka była zaplanowana we trójkę i taką wersję miałam ustaloną. Nie umiem na zawołanie skreślić jednej osoby i polecieć tam tylko z Tytusem.

Dlaczego?

Ja wiem dlaczego, a wy pewnie się domyślacie. Nie skaczę do wody, której nie znam. Lub którą znam od innej strony. Nawet jeśli wiem, jakie jest dno, to zawsze może mnie chwycić nieplanowany skurcz. Mogę się o coś zaplątać, w coś zaplątać, w kogoś.

Nie posiadam kompulsywnych komórek, które podejmują decyzję bez żadnego zastanowienia. Nie łapię chwil, nie cieszę się dniem dzisiejszym. Wybiegam myślami w przód, widzę jutro, widzę pojutrze, widzę siebie w Afryce, ale widzę też Tytusa i Aurelię. Od jakiegoś czasu jestem przewidywalna i nudna i chyba od bardzo dawna nie wyszłam z domu bez parasola, jeśli niebo było zachmurzone.

Logiczne zatem, że najpierw odmówiłam.

– Aurelia, to miał być nasz wyjazd, twój prezent imieninowy, który zresztą sama sobie zrobiłaś – próbowałam wyjaśnić, nawet całkiem logicznie.

Ale ona tylko pokręciła głową.

– Przestań. Nie rób dramatu ze swojego dramatu – zaśmiała się. – Wiem, że nie lubisz jeździć sama, ale sama przecież nie będziesz. Masz Tytusa.

No właśnie. Tylko jak jej to wytłumaczyć?

– Aurelia... – próbowałam jeszcze.

– Nie. Jedź i korzystaj. Przywieziesz mi przyprawę, dżelabę i olej arganowy. Potraktuj to zadaniowo, a przy okazji po prostu dobrze się baw. To ci zaróżowi policzki i da emocjonalnego kopa. Ty ciągle jesteś po tym rozwodzie jakaś uśpiona, zupełnie jakbyś bała się szerzej otworzyć oczy. Zobacz, ile to już lat minęło. Facet ma nową żonę, dziecko w drodze, a ty ciągle jesteś jakaś beżowa na twarzy.

Beżowość to mi akurat to dziecko przywróciło. Jakiś czas temu spotkałam na rynku Jana z jego nową żoną, a ją z kolei z doklejonym brzuchem. Nie umiałam jej pogratulować, więc tylko zanurkowałam pod straganem, żeby to spotkanie pozostało nienaruszone. Bo oni jeszcze mnie nie zauważyli. Kucnęłam zatem



i spoglądałam od dołu i bardzo mnie ścisnęło w żołądku. Nie ukrywam, że pozazdrościłam im tego dziecka, tej wspólnej radości, którą niewątpliwie przeżywali, a na którą ja czekałam aż siedem lat.

– Pani czegoś szuka? Bo wszystko mamy na straganie, nie pod – zwróciła mi uwagę sprzedawczyni, nachylając się od drugiej strony.

– Kolczyk zgubiłam – powiedziałam odruchowo, bo tylko to wpadło mi do głowy.

– Ojej – zatroskała się szczerze i donurkowała do mnie ze spontaniczną chęcią pomocy. Ja tymczasem nadal zerkałam w stronę oddalającego się Jana oraz jego żony z brzuchem i odetchnęłam dopiero, kiedy zniknęli za rogiem. I jeszcze miała w ręku bukiet piwonii, a to są przecież moje ulubione kwiaty!

– Ale pani w drugim uchu też nie ma kolczyka – zauważyła nagle kobieta, kucająca ze mną pod straganem.

– Bo też go zgubiłam – dodałam szybko.

– Wypadły pani oba naraz? – zdziwiła się i miała rację.

Skinęłam głową.

– Mam za duże dziurki. – Uśmiechnęłam się, wyszłam spod stołu i nie patrząc jej w oczy, poszłam w przeciwnym kierunku niż brzuch i piwonie. Jestem ciekawa, jak dadzą dziecku na imię.

Trudno się chyba dziwić, że znowu jestem beżowa na twarzy.

Trzy dni później poleciałam do Maroka, żeby nabrać apetycznego koloru brązu i nie pytajcie nawet, jak bardzo byłam przerażona. A w samolocie to Tytus wziął mnie za rękę, ja zaś poczułam się rozmiękczone, jeszcze zanim na dobre znieczuliłam się dżinem z tonikiem.

Wrzesień, ten marokański. Niedziela

– To niesamowite. Maroko wygląda jak z Minecrafta.

Nie odezwałam się, bo nie rozumiałam tego porównania.

Tytus patrzył przez okno busa i zachwycił się dalej.

– Kwadraty na raty. Może nie wszędzie, ale kiedy przemieszczasz się między miastami, masz wrażenie, że trafiłaś w środek gry.

Jakoś tego nie czułam.

Mnie ten krajobraz przypominał raczej kopczyki przypraw, które widzieliśmy na targu w Marrakeszu. W kolorach ziemi, w ciepłych barwach ochry, curry, kurkumy, kuminu, pieprzu i hariry. I podobnie pachniało. Ale Tytus widział klocki, kwadraty rozrzucone na ogromnych przestrzeniach lub poustawiane jeden na drugim. Coś w tym było, tyle że nie umiałam tego odnieść do Minecrafta. Podobno buduje się w nim świat z kubików. Być może. Ja widzę kopczyki przypraw.

Oczywiście, że nie przyjechaliliśmy tu jako para, chociaż Tytus jeszcze na lotnisku powiedział mi, że ucieszyła go moja decyzja. I to, że niczego nie odwołałam. Kiedy się nachylił i wyszeptał mi do ucha, że to będzie absolutnie fenomenalna podróż, natychmiast zmiękły mi kolana i poczułam się nastolatkowo. To głupie, wiem, ale bezwarunkowe. Odruch każdej kobiety, która bardzo cieszy się na marokańskie słońce u boku tego właśnie, konkretnego mężczyzny.

Udałam oczywiście, że mnie to cieszy umiarkowanie, bo przecież nie ma z nami Aurelii, a przecież to w tym wszystkim było najważniejsze. Że nie ma z nami Aurelii. Że nie będę musiała aż tak się pilnować, uciekać ze wzrokiem, uciekać z dotykiem i z myślami nawet, bo ona z pewnością czytałaby we mnie jak w otwartej książce.

– Minecraft to gra sandboxowa – wyjaśnił nagle Tytus.

Zupełnie jakbym od tego nagle miała stać się mądrzejsza.

Kiwnęłam głową na znak, że rozumiem, choć tak naprawdę zrozumiałam tylko tyle, że osiemnaście lat różnicy trzeba będzie nadrobić. I to nie Tytus miał luki w wiedzy. Fakt, że nie znał największych przebojów Shakin' Stevensa nie miał tu żadnego znaczenia, ale ja nie powinnam się zawieszać na słowie Minecraft. Z drugiej strony, może wcale go nie obchodziło, czy mam o tym jakiegokolwiek pojęcie. Używał słów, które rozumiał i które funkcjonowały w jego świecie, a ja używałam swoich. Urodził się w roku, w którym moja rówieśniczka Kate Moss po raz pierwszy trafiła na okładkę „Voque'a” i wystąpiła w legendarnej kampanii zapachu Obsession Calvina Kleina. Myślę sobie, że Kate Moss również miałaby szanse u Tytusa, bo nawet jeśli ja nigdy nie pojawiłam się na okładce żadnej gazety, choćby „Sztandaru Młodych”, to jednak byłyśmy do siebie trochę podobne. Szczupłe, z popielato-blond włosami, szeroko rozstawionymi oczami, nie do końca

urodziwe, ale jednak nie brzydkie. Kate Moss do dzisiaj ma rzesze fanów i jestem pewna, że wśród nich znajdują się również młodszy faceci.

Tytus zerknął na mnie i podał obraną mandarynkę. Nie, nie podał, wpakował mi od razu do ust. A potem kupił kiść małych bananów i chociaż nie należę do osób, którym wszystko kojarzy się z jednym, to jednak banana wolałam zjeść sama. Poza tym nie chciałam, żeby mnie karmił. To był intymny gest, a ja przecież przyjechałam tutaj po to, aby przestać o nim myśleć w tych kategoriach.

Kiedy na to wpadłam?

Wieczorem poszliśmy na kolację i kiedy tak zerkałam na niego w przydymionym świetle, to znowu znalazłam się w zupełnie innym punkcie rozważań na temat świata, przyjaźni, miłości i seksu. A może to początki menopauzy? Nie mam wprawdzie uderzeń gorąca, ale dopadają mnie sprzeczne myśli, z których jedna wyklucza drugą, a kolejna jest jeszcze głupsza.

– Ładnie ci w niebieskim – powiedział Tytus, a ja zamiast zareagować zwykłym „dziękuję” i nie dorabiać do tej wypowiedzi zbędnej filozofii, ujrzałam siebie w niebieskiej bieliźnie z opuszczonym ramiączkiem, zupełnie jak Kate Moss w kampanii Obsession. Nie wiem, czy jej bielizna była niebieska, bo czarno-białe zdjęcia tego nie zdradzały, ale czułam się podobnie uwodzicielska.

Ciekawe, co dało mi podstawy, żeby tak myśleć?

Kate nosiła też koszulkę z napisem *Do something*.

Och, jak bardzo chciałabym móc teraz wypowiedzieć te słowa. Nad tajne z kurczakiem i jajkiem na twardo.

Wrzesień marokański, wtorek. Dzień, w którym poczułam, że chyba jednak jestem niereformowalna

Tak sobie myślę, mocząc stopy w Oceanie Atlantyckim, że każdy z nas, a już z pewnością każda kobieta, jest wypadkową wszystkich możliwych strachów. I że im starsze jesteśmy, tym bardziej bojaźliwe. Oczywiście niektóre z nas radzą sobie z lękami lepiej, inne trochę gorzej, ale tak naprawdę całe życie musimy stawiać czemuś czoła. Nie do końca też wiemy, czego chcemy od życia, ale chcemy tego szybko i już. Najśmieszniejsze jest jednak to, iż wydaje nam się, że jesteśmy mądre, niezależne i samodzielnie podejmujemy wszelkie decyzje. Nic bardziej mylnego. W pierwszej kolejności liczy się opinia innych.

Czy dobrze mi w czerwonym?

Nieważne. Ważne, czy innym się w tej czerwieni podobam.

Nie na tym polega niezależność. Oczywiście teraz, tu w Maroku, jestem bardzo mądra i stanowcza, wyobrażam sobie nawet, jak informuję Aurelię, że zakochałam się w jej synu, a potem zupełnie nie przejmuję się jej wybuchem wściekłości, bo przecież umiem zawalczyć o samą siebie.

Akurat.

Kiedy tylko wrócę do domu, znowu oklei mnie zwątpienie, które przylgnie do każdej części mojego ciała niczym muszki owocówki do dojrzałej brzoskwini. Znowu wejdę w pancerz niepewności i znowu nie będę miała odwagi powiedzieć głośno całej prawdy. Z drugiej strony to dziwne. Ludzie tak bardzo cenią sobie szczerość, a jednak znacznie częściej woleliby usłyszeć kłamstwo. Szczerość boli, prawda drażni, a bezpośredniość przysparza nam wrogów.

Jestem niereformowalna. Zbyt dużo strachu, zbyt mało mnie samej. Dziesięć dni w Afryce tego nie zmieni, ale przynajmniej tu i teraz jestem tylko dla siebie. Mogę chodzić z podniesioną głową, mogę teraz wstać, podejść do Tytusa pływającego w oceanie i...

Może później.

Bo jeszcze ktoś zobaczy...

Nagle otworzyłam szeroko oczy, zupełnie jakbym zobaczyła na horyzoncie stado rekinów, szczerzących się do mnie uśmiechem pełnym zdradliwego uzębienia.

Dotarło do mnie bowiem, że wszystko to, co wydarzyło się przed wyjazdem, wszystkie te spotkania, wszystkie te wspólne wyjścia i rozmowy, wszystko to wcale nie musi oznaczać tego, co uroiło się w mojej głowie. Tytus mnie po prostu lubi, bo kojarzę mu się z fajnym okresem dzieciństwa, a ja wymyśliłam sobie nie wiadomo co. Dlaczego kobiety widzą znacznie więcej? Dlaczego wydaje im się, że podarowanie kwiatów jest zaproszeniem do związku, a chwycenie kogoś za rękę prowadzi prosto do ołtarza? Mężczyźni myślą zupełnie inaczej. Jeden oznacza

zawsze jeden, a nie osiem minus siedem lub dwanaście podzielone przez dwanaście. Kobięca interpretacja zdarzeń zwykłych jest doprawiona nadmiarem fantazji i podświadomymi pragnieniami. Szukając całe życie szczęścia, chcemy je w końcu znaleźć, więc każdy przejaw życzliwości podnosimy do nieskończonej potęgi, wyobrażając sobie więcej niż wolno.

Ale przecież ja nigdy nie byłam egzaltowana. Nigdy nie ulegałam romantycznym nastrojom i nie czytałam w gwiazdach. Zdaję sobie sprawę z własnych ograniczeń, potrafię ocenić swój wygląd, więc skąd to absurdałne przekonanie, że Tytus dostrzega we mnie kobietę?

Wyszedł z wody, podbiegł do mnie i objął mnie ramieniem.

– Zimna, ale cudowna. Nie chcesz wejść?

No i co z tego, że objął?

A potem nagle pocałował mnie w policzek.

– Pachniesz piaskiem i słońcem. I powiem ci, że to ładny zapach.

To teraz oceńcie sami.

Czy tak się mówi do znajomej, koleżanki czy do kogoś, kto stoi jednak ciut wyżej? Kto wskoczył na inny poziom odbierania jego osoby, kto nie jest tak zupełnie neutralny.

Nie wiem. Pogubiłam się chyba.

Wieczorem zeszliśmy do hotelowego baru i znowu było dobrze. Sączyła się rozmowa między nami, ja sącylałam jakiś dziwny napój z awokado, a Tytus piwo.

– Co najbardziej lubiłem robić jako dziecko?

– Przyjęcia. Wszelkiego rodzaju imprezy, choć oczywiście najważniejsze były twoje własne urodziny. Ale nie gardziłeś też spotkaniami dla dorosłych, mówię tu o twojej mamie, która czasem zapraszała koleżanki.

– Ciebie też?

Kiwnęłam głową.

– Tak, chociaż ja głównie miałam się tobą zajmować.

– Robiłaś mi kinderbale?

– Wiadomo! Byłeś naprawdę mocno podekscytowany faktem, że specjalnie do ciebie przychodzą goście i przez kilka godzin będziesz mógł się do woli bawić, śpiewać i tańczyć. Od rana dekorowaliśmy mieszkanie.

Tytus patrzył na mnie z uśmiechem.

– Konfetti robiłam dziurkaczem z kolorowego papieru lub kolorowych magazynów. I jeszcze takie kwiaty z karbowanej bibułki, którą zwijało się z jednej strony i zawiązywało, a z drugiej powstawał pióropusz.

– A zabawy?

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Jeż. Zdecydowanie jeż.

Tytus uniósł ze zdumieniem brwi.

– Nie pamiętam.

– Dzieci zamykają oczy, obracają się trzy razy wokół siebie i zwijają w kłębek na podłodze jak małe jeże. Moim zadaniem było sprawdzenie, czy nikt nie podgląda, i nakrycie jednego dziecka prześcieradłem. Wszyscy, z wyjątkiem zakrytego jeża, otwierali oczy i zgadywali, kogo brakuje. Nie wolno było przy tym jeża dotykać, co ty oczywiście nagminnie robiłaś. I zawsze pytałaś: „jak masz na imię?”, a dziecko-jeż odruchowo się zdradzało. – Uśmiechnęłam się do tych wspomnień.

– Dużo razem robiliśmy – zauważył Tytus, a ja zamówiłam kolejny shake z awokado, żeby pokryć zmieszanie. Pewnie, że dużo. Podobnie jak teraz.

– I zawsze chciałaś, żebym ci zrobiła lemoniadę Kota Filemona.

– Pamiętam tę bajkę!

Uff! Całe szczęście, bo ja też.

– Lody malinowe, sok z malin, świeże lub mrożone maliny i pół litra gazowanej wody mineralnej – przypomniałam sobie. – Tylko nie wiem, dlaczego to była lemoniada akurat Kota Filemona.

– Koralia, chyba ci muszę podziękować za to cudowne dzieciństwo – powiedział Tytus i nachylił się w moją stronę.

I nie wiem, co by było dalej, bo musiałam szybko wstać i przeprosić go na moment. W pewnym wieku wypicie zbyt dużej ilości mleka ze zmiksowanym awokado może zakończyć się skowytym jelit.

Wrzesień marokański, środa, jestem dziwnie szczęśliwa

Poszłam do hammamu. Być może dla wielu z was nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale dla mnie to nie było wcale tak oczywiste i proste. Rozebrać się przed obcymi osobami, pozwolić się umyć, wymasować, dotykać. Nie jestem pruderyjna, ale moje ciało do tej pory było tylko moje. Oraz męża, choć – jak wiadomo – sam z niego zrezygnował.

Opowiem wam teraz trochę o nim, żebyście sami ocenili, czy dobrze się stało, że mnie rzucił. Bo dzisiaj myślę już, że jednak tak. A potem wrócimy do łaźni, bo to miejsce również czegoś mnie nauczyło.

Mój mąż miał na imię Jan i poznałam go bardzo zwyczajnie, jak pewnie większość z nas. Ludzie zazwyczaj bowiem poznają się zwyczajnie, a kiedy muszą to opisać, przychodzi moment konsternacji, że właściwie nie ma o czym mówić, a szkoda, bo przecież to mogłaby być taka piękna historia.

Jan był ode mnie rok starszy i od zawsze był Janem. Jakikolwiek zdrobnienie do niego nie pasowało i nie chodzi wcale o to, że był gburem albo mrukiem, po prostu nie był typem Jasia. Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat i powoli zaczynałam czuć się nieswojo ze świadomością, że nie ma nikogo, kto chciałby mi się oświadczyć. Owszem, byłam kilka razy zakochana, owszem, uprawiałam też seks, a raz nawet pomyślałam, że to już na zawsze. Ale koniec końców moje związki rozpadały się, raz z mniejszym, raz z większym hukiem, a ja się zastanawiałam, dlaczego innym się udaje.

– Niestety, nic z tego nie będzie – mówiłam albo ja, albo on.

Zdawałam sobie oczywiście sprawę, że im dalej w życie, tym trudniej poznać kogoś, kto nie ma żadnych zobowiązań, kto zachwyci się moją raczkującą dojrzałością, a ja zachwycę się nim. Dla wielu osób sednem miłości jest namiętność, choć niestety nie każdy ma to szczęście, by dotknąć sedna. Ja patrzyłam na to nieco inaczej. Chyba od zawsze byłam stoikiem, przynajmniej według tego, co mówiły filozoficzne definicje. A dla stoika namiętność nie do końca jest najważniejszym filarem. Woli raczej bazować na pewnej decyzyjności, na własnym rozumie wreszcie, który podpowiada: „ten człowiek będzie idealnym kandydatem”.

Tak było też ze mną.

Jan pracował w Instytucie Hodowli i Aklimatyzacji Roślin, to również mało romantyczne miejsce, przyznacie sami. Co innego, gdyby hodowano w nim najbardziej egzotyczne odmiany roślin, kwiaty jedyne w swoim rodzaju lub piwonie o niespotykanym aromacie i barwie, ale tutaj zajmowano się zupełnie czymś innym. Na przykład badano możliwość wykorzystania nasion rzepaku jako „źródła wysokowartościowej i wysokoenergetycznej paszy białkowej dla wszystkich grup zwierząt gospodarskich”. Nikt, absolutnie nikt nie jest w stanie się

tym zachwycić, choć oczywiście wszyscy przyznają, że brzmi to bardzo mądrze i z pewnością jest potrzebne.

Jan pracował w dziale rozwoju firmy i był raczej odpowiedzialny za zdobywanie grantów, pozyskiwanie sponsorów i ogólną reklamę instytutu niż prace nad nasionami rzepaku. I właśnie dlatego poznaliśmy się w pewien czwartek zupełnie przypadkowo, kiedy przyszedł odebrać zamówienie na zestaw długopisów i notesików z logo firmy. Jako stoik nie uległam zamroczeniu, nie poczułam miękkich nóg i nie zwiotczałam efektownie. Ale spodobał mi się i kiedy wziął ode mnie numer telefonu, poczułam przyjemne ukłucie. Właśnie natrafiłam na swoją szansę i bardzo chciałam, żeby ta życiowa zdrapka miała trzy takie same rysunki. Wygrałaś, Koralio! Jan jest twój.

Spotkaliśmy się dokładnie dwanaście razy, kiedy uznaliśmy, że ta znajomość ma prawo do ciągu dalszego, którego zwieńczeniem był ślub. Tak, rok później byłam już żoną i wydawało mi się, że jestem szczęśliwa. Miałam bukiet z piwonii, miałam białą sukienkę, nie miałam welonu, bo czułam się w nim niezręcznie, i miałam buty blad różowe, które idealnie pasowały do kwiatów. Jan miał różowy krawat. I naprawdę byłam szczęśliwa tego dnia, jak i przez kolejne lata, mimo usilnych prób zajścia w ciążę i kolejnych rozczarowań, że jednak się nie udało. Mój związek z Janem nie jeździł na karuzeli, nie unosił się też w powietrzu, ale było nam ze sobą chyba dobrze. Ja czułam się potrzebna, miałam dla kogo gotować i znowu byłam kimś w rodzaju opiekunki, jak wcześniej, kiedy zajmowałam się Tytusem. To nie był związek wiosennej burzy, o huraganach nie wspominając. Ale czy naprawdę chcemy tornada w związku? Nie wystarczą nam przelotne deszcze, niebo z cumulusami i od czasu do czasu normalne słońce? To był związek zwyczajny, jakich pełno wokoło. Jan był despotyczny, to prawda, i wszystko musiało pasować przede wszystkim jemu. Szczerze mówiąc, szybko się z tym pogodziłam, przesuwając siebie samą na drugi plan. Nie myślałam jednak wtedy, że to błąd, że między dwojgiem ludzi powinien być znak równości, bo każde z nich jest tak samo ważne.

– Proponuję latem wyjazd w góry, ale tym razem Pieniny – mówił na przykład mój mąż, a ja ciągle nie umiałam mu powiedzieć, że wolę nad morze. Chociaż nie, raz przecież spróbowałam...

– Morze? – Uniósł brwi ze zdziwieniem. – Nad morzem zawsze jest zbyt dużo ludzi. Wszyscy się pchają, wszyscy koniecznie chcą usiąść dokładnie tam gdzie ty i zjeść rybę w tej samej smażalni. Nic nie można zrobić, bo wszędzie biegają dzieci, a za nimi ich matki. Naprawdę chcesz tam jechać?

Oczywiście, że od razu odmówiłam i oznajmiłam, że góry to moja ukochana destynacja. A potem słowem nie wspomniałam, że też wszędzie było pełno ludzi, że chcieli jeść w tych samych restauracjach co my, a na szlaku spotykaliśmy pijanych wędrowców, z których jeden obrzygał plecak Jana.



I tak właśnie płynęło nasze małżeństwo, trochę nudno, trochę nijak, ja się dostosowywałam, on nie musiał.

A potem to wszystko nagle się skończyło i szkoda tylko, że zupełnie niczego nie przeczuwałam.

Siedząc na kamiennej ławce w rozgrzanej łaźni parowej, wspominałam Jana jakoś bez żalu, a nawet pojawiło się nasionko sentymentu, któremu jednak nie pozwoliłam dalej wykiełkować. W końcu mnie zostawił.

Zostawił.

A kobieta zostawiona wpada w pułapkę własnych cieni. Przestaje w siebie wierzyć i zaczyna żyć jakoś obok wszystkich i obok świata. Owszem, wstaje, idzie do pracy, robi zakupy i czasem też gotuje, ale to są czynności mechaniczne, pozbawione radości, pozbawione często nawet uśmiechu. Wtorki przelewają się z weekendami, wakacje przestają cieszyć. Mam czterdzieści dwa lata. Gdybym się porządnie nad sobą zastanowiła, zapewne znalazłabym również czterdzieści dwa powody, dla których powinnam coś w końcu zmienić. Cień zostanie ze mną na zawsze, ale to nie znaczy jeszcze, że musi nade mną dominować.

– *Ready?* – spytała nagle jakaś uśmiechnięta kobieta, owiniętą czarną, mokrą chustą.

Skinęłam głowę, a ona natarła mnie dokładnie czarnym mydłem, a potem nałożyła rękawicę i zaczęła pocierać. Po kilku minutach miałam wrażenie, że zdarła ze mnie nie tylko pierwszą warstwę naskórka, ale i jakiś rodzaj wstydu. Wyprostowałam się nawet i pozwoliłam jej dotykać moich ud, piersi, pośladków, zupełnie jakby nie było w tym nic dziwnego.

Bo nie było. Blokada tkwiła w mojej głowie. Blokada nagości, strachu przed niedozwolonym uczuciem, lęku przed opinią innych. Parciana rękawica zdzierала to wszystko ze mnie, a ja czułam, że znowu mogę oddychać pełną piersią, że nic mnie nie dławi i że wreszcie powinnam zacząć nie tylko stąpać twardo po ziemi, ale i od czasu do czasu unieść się odrobinę w powietrze. Hammam, peeling i masaż odblokowały moje receptory dotyku. Co to było? Ciałka dotykowe Meissnera, ciałka blaszkowate, ciałka Krausego i chyba wolne zakończenia nerwowe. Tyle pamiętam z biologii, szkoda, że moje ciało niewiele z tego pamiętało. A teraz znowu odżyło, zaróżowiło się i zapachniało obiecująco. Poczułam, że chyba jestem szczęśliwa. Że mam ochotę zjeść coś dobrego, pójść na spacer, sama.

Albo z Tytusem, tak, tak będzie znacznie przyjemniej. I też wziąć go za rękę i może pocałować w policzek albo nawet się przytulić, przecież to jeszcze nic nie znaczy. Interpretację pozostawię jemu, podobnie jak podjęcie ewentualnego dialogu. Albo będzie przyjacielski, albo...

Mam ochotę na seks.

Zarumieniłam się nawet wewnątrz.

A kiedy tylko założyłam swoje ubrania, znowu poczułam się jak w klatce.

Jak w chitynowym egzoszkielecie cykady. Tyle że ona zazwyczaj z niego wychodzi, a ja znowu weszłam do środka. Wierzchnia warstwa strachu i uprzedzeń została wprawdzie ze mnie zdarta, ale najwyraźniej to nie wystarczyło. Muszę dotrzeć głębiej. Do skóry właściwej. Albo nawet do tkanki podskórnej i tam zmienić ustawienia. Przede mną jeszcze dużo pracy, poza tym ciągle nie wiem, czy to, co myślę, jest prawdą, czy tylko wytworem mojej wyobraźni. Usiadłam na miękkich poduszkach i wypiłam gorącą miętową herbatę, słodsza od cukru. Kobieta w czarnej chuście uśmiechnęła się do mnie i puściła oko. Była niesamowicie ładna. Drobną, z ciemnymi prostymi włosami i oczami jak migdały. Poczułam jakąś wewnętrzną wdzięczność, że tym peelingiem pozwoliła mi zrzucić wierzchnią warstwę niepokoju i zastanowić się nad swoją nijakością.

Zamknęłam oczy.

Czy on nie mógłby mnie tak po prostu normalnie pocałować? Bez żadnych zapowiedzi, bez przygotowań. Podejść, unieść mi odrobinę podbródek, spojrzeć w oczy, a potem się po prostu zatracić.

Zasnąłam.

I spałam bite dwie godziny wśród miękkich poduszek i przy dźwiękach afrykańskiej muzyki, a kobieta w czarnej chuście powiedziała mi potem, że mam nie przeproszać za to, że zasnąłam, bo to był dla niej największy komplement.

Wrzesień, nie wiem, jaki dzień tygodnia, są wakacje od wszystkiego

Jestem tu zupełnie bezwiekowa. Nikt mnie nie ocenia. Patrzą na moją jasną skórę, na moje jasne włosy, patrzą na mnie ogólnie, nie zastanawiając się, jaka data urodzenia widnieje w moim dowodzie osobistym. Jestem tu z Tytusem bez konieczności tłumaczenia się z mojego wieku. Odczepiłam się na moment od stereotypów i przez kolejnych dziesięć dni nie oklejały mnie żadne uprzedzenia. Żadne lęki i obawy, że kogoś krępuje moje nie do końca idealne ciało, moja nie do końca idealnie naciągnięta skóra. Człowiek tak bardzo boi się opinii innych, że niemal całkowicie zapomina o sobie. Wystawia głowę jak zółw, powoli, ostrożnie i rozgląda się dookoła, czy aby na pewno wszystkim się podoba. Oczywiście, że tak robiłam. Nawet tutaj, przez pierwszych kilka dni. Tyle że twarze innych podróżujących wcale nie były skierowane w moją stronę. Patrzyli przed siebie, patrzyli na inny kraj, wdychali inne zapachy. Nie pytali, czy jestem matką Tytusa, ciotką, koleżanką czy może siostrą. Nikogo to nie obchodziło. Po trzech dniach poluzowałam nieco napięte mięśnie. Spaliśmy w osobnych pokojach i tak było oczywiście najlepiej. Chociaż marzyło mi się małe zawirowanie, jakaś pomyłka, konieczność spędzenia chociaż jednej nocy razem.

Stop.

Maroko jest piękne.

Albo żeby zaskoczyła nas burza piaskowa na pustyni i zostalibyśmy sami w namiocie Beduinów i byłoby chłodno, bo noce na pustyni są przecież chłodne...

Stop.

Widziałam zaklinaczy węży na placu Dzamaa al-Fina w Marrakeszu, naprawdę robią wrażenie.

Albo żebyśmy się gdzieś zgubili...

Spaceruję po uliczkach Essaouiry, Tytus podaje mi rękę, żebym mogła przeskoczyć pęknięcie w ziemi. Jakiś sprzedawca się do mnie uśmiecha i pokazuje kolorowe czapeczki. A jeszcze inny puszcza oko, więc chyba się nawet rumienię.

Dlaczego w dzisiejszych czasach odmawia się prawa do szczęścia czterdziestoletnim kobietom? Dlaczego uważa się, że ich czas dobiegł końca, że powinny ustąpić miejsca młodszym, których ciało ciągle jeszcze produkuje kolagen. Tutaj jestem po prostu kobietą. Nikogo nie obchodzi, w którym roku się urodziłam, a w którym urodził się Tytus i co z tego wyniknie. Ale może to tylko chwilowe mydlenie oczu?

A gdybyśmy weszli w jakąś boczną uliczkę, a on przycisnąłby mnie do ściany...

Stop.

Essaouira to miasto niebieskich łodzi. Port nad Oceanem Atlantyckim.

Wiosna tego roku, chyba to był piątek, nie wiem, ale jakoś mi tu pasuje

Pamiętam dzień, kiedy Aurelia zaczęła oficjalnie zamartwiać się, że Tytus żyje tylko pracą. I że ona wprawdzie nie musi zostawać babcią, ale spałoby jej się spokojniej, wiedząc, że jest jeszcze na świecie ktoś, komu zależy na jej synu.

Po raz pierwszy pomyślałam wtedy, że ja tego nie chcę. To znaczy nie w tym sensie, bo przecież też chciałam dla Tytusa jak najlepiej, ale że nie chcę, aby on teraz kogoś miał. Jakąś dwudziestolatkę wydetą, wypiętą, zmanierowaną. Wiem, że są również normalne dwudziestolatki, ale bardzo ciężko je spotkać.

– Może mu dobrze samemu?

– Może. – Aurelia kiwnęła głową. – Ale prędzej czy później będzie musiał kogoś mieć.

Po co?

– Co po co?

O Jezu, powiedziałam to głośno?

Najwyraźniej, bo Aurelia patrzyła na mnie z lekkim osłupieniem.

– Jak to po co? Bo ludzie zazwyczaj łączą się w pary, bo nawet jeśli ja i ty żyjemy samotnie, to jednak wcale nie znaczy, że to ma być jakiś standard. Poza tym ja się spotykam od czasu do czasu z facetami, a ty zdaje się też miałaś jakiś incydent.

Incydent.

Dobre słowo.

Incydent przytrafił mi się jakieś dwa lata temu, chociaż wcale nie wiem, jakim cudem wpuściłam go do swojego mieszkania i pozwoliłam bawić się elementami mojego ustabilizowanego dotąd życia. Nie szukałam po barach, restauracjach ani na portalach randkowych. To był tatuś Hani, rozwiedziony od roku, przyprowadzający do przedszkola swój skarb dwa razy w tygodniu i dwa razy odbierający. Dokładnie w te dwa dni, kiedy ja też tu byłam. Hania była dzieckiem słodkim i dość potulnym, więc myślałam, że tatuś ma na nią dobry wpływ. I że pewnie również jest słodki i potulny.

Początkowo uśmiechał się do mnie niezobowiązująco, raz przyniósł mi naszyjnik z kasztanów i oznajmił, że zrobili go w domu z Hanią, specjalnie z myślą o mnie. Później się okazało, że trochę minął się z prawdą, ale wtedy wydawało mi się to urocze i zmiękczyło mnie odrobinę. Zmiękczyło do tego stopnia, że przyjąłam zaproszenie na obiad, podczas którego koniecznie chciał, żebym zjadła kaczkę z pyzami, więc w końcu uległam, chociaż miałam ochotę na sałatę.

– Smakuje? – pytał, wpatrując się we mnie intensywnie, aż poczułam, jak mięsko kaczuszki staje mi jednak w przełyku.

– Cudowna – odpowiedziałam, wspominając sąsiadkę Edytę i jej kłamstwo stosowane.

Kaczka była taka sobie, sucha i dość żyłasta, ale przecież nie musiałam tego od razu mówić. Poza tym może miała ciężkie życie.

– A pyzy?

– Nie pamiętam, kiedy takie jadłam.

To akurat była prawda. W ogóle nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam pyzy.

Potem przyszła pora na ciasto, które również on wybrał, a dwa miesiące później, nie wiem jakim cudem i jak bardzo musiała mnie zaślepić samotność, że zaprosiłam go do siebie. I przyszedł z walizką, a po jakimś czasie zaczął mnie do niej pakować, w zamian proponując zupełnie nową Koralię.

– Powinnaś nosić odcienie brązów, beżów i zieleni. Jesteś kobietą jesienią, jesteś jak liście zmieniające barwy, jesteś jak błyszczący kasztan. Jesteś kobietą drzewem.

Rozumiecie, że po latach samotności odebrałam to jako komplement. To miłe być dla kogoś jesienią, kasztanem, czymkolwiek, to po prostu w ogóle jest miłe, kiedy ktoś cię zauważa i widzi w beżach, brązach oraz zieleniach. Kobiety wypłukane z komplementów szybko wpadają w takie pułapki, nic dziwnego więc, że ja również. Owinęłam się więc malachitowym swetrem, wpełzłam w obcisłe czekoladowe spodnie i naciągnęłam na czoło pomarańczową czapkę z daszkiem.

– A nie chciałabyś być ruda? – spytał mnie kiedyś incydent. A na imię miał Michał, bo to jednak dość istotna informacja.

Nie chciałam. Zawsze lubiłam swój blond, trochę popielaty, trochę przetykany złocistymi pasemkami i nigdy nie myślałam o tym, żeby go zmienić. Ale to Michał kupił farbę. Postanowiłam, że zaryzykuję, może rzeczywiście będę dobrze wyglądać?

Błąd. Z mieszanki mojego blondu i farby wyszła jakaś wyblakła wiewiórka, którą sponiewierało życie. Ale Michał twierdził, że jest w porządku i że dokładnie o ten kolor mu chodziło. Lustro kręciło przecząco głową, a nawet jakby zbladło. Następnego dnia w pracy Wojtek i Iga popatrzyli na mnie odrobinę niepewnie, ale nie odezwali się słowem, bo przecież nigdy nie wiadomo, czy nie jestem zachwycona sama sobą.

– Nie jestem – odczytałam ich myśli. – Ale nie bardzo wiem, co z tym zrobić, chyba po prostu muszę odczekać, aż mi odrosną – powiedziałam jeszcze przed poranną kawą. Lepiej mieć to za sobą.

– Może pofarbuje na ciemny kasztan – doradziła Iga.

O nie. Nie będę więcej eksperymentować. Najwyżej owinę głowę chustką w jesienne liście, wtedy będę nadal kobietą drzewem, tak jak chciał Michał.

A potem nastał piątek i Hania nagle otworzyła mi oczy.

– Wyglądasz jak moja mamusia! – ucieszyła się na mój widok.

Nie potrzebowałam psychologa, żeby wiedzieć, co to oznacza. Jeszcze tego samego dnia poszłam do fryzjera i wymusiłam na przerażonej fryzjerce, żeby

znowu zrobiła ze mnie blondynkę.

– Ale...

– Nie ma „ale”. Chcę być blondynką.

– Będę musiała najpierw odbarwić. Zniszczę pani włosy.

Nie szkodzi. Lepiej mieć spalone włosy niż udawać byłą żonę kogoś, kto za żadne skarby nie może pogodzić się z jej odejściem.

Michał na mój widok zamachał rękami i chyba zaczął podskakiwać w miejscu. Postanowiłam przeczekać ten spektakl i dać mu ostatnią szansę. Niestety, prawie się popłakał.

– Byłaś taka piękna w tym rudym kolorze, taka jesienna, taka moja...

– Taka grażynkowa.

– Że co?

Dupek. Hania oczywiście zdradziła mi imię mamusi i potwierdziła, że jest ruda. I że nosi ubrania w podobnym kolorze, i że nawet mamy takie same kolczyki. Nie muszę chyba mówić, od kogo je dostałam w prezencie. Mamusia najchętniej jadła kaczkę. Z pyzami oczywiście. I bardzo spodobał jej się naszyjnik z kasztanów, który Hania zrobiła razem z tatą. Zdaje się, że dostałam podobny.

Wtedy właśnie zakończyłam swój incydent z Michałem, po którym przez dłuższy czas nie miałam ochoty na żaden związek, ale być może to żaden związek nie miał ochoty na mnie. Wbrew pozorom kobiety nie wpadają na każdym kroku na ciekawych, atrakcyjnych i wolnych mężczyzn, którzy chcą sobie przy ich boku uwić ciepłe gniazdeczko. Większość z nas pozostaje sama i to nie zawsze z wyboru. Czasem po prostu nie ma żadnej alternatywy. Snujemy się więc po świecie same i samotne, a najgorsze jest to, że coraz rzadziej umiemy sobie radzić w pojedynkę. Z jednej strony łączenie się w pary jest zgodne z naturą, z drugiej jednak człowiek powinien tworzyć idealny związek sam ze sobą. Cieszyć się na swój widok i zasypiać z przeświadczeniem, że śpi z kimś, kto go lubi.

Ja też próbowałam. A jednak smak szczęścia zaczęłam odczuwać dopiero wtedy, kiedy Tytus wziął mnie za rękę. To trochę smutne, że nie umiałam inaczej, ale najwyraźniej jestem mało skomplikowana emocjonalnie. Otoczenie wymaga od nas dopasowania się, dostosowania do pewnych norm i ja to właśnie robię. Tak, jestem autonomicznym bytem, ale nie potrafię być szczęśliwa sama. Ale możliwe też, że jestem klasycznym przykładem idealnych proporcji – człowiek realizuje się wtedy, kiedy równoważy zaspokajanie własnych potrzeb tym, czego oczekują od niego inni. Moi rodzice pragną mojego szczęścia, ale przecież nie mogą uśmiechać się na zawołanie. Uśmiech wywołuje we mnie Tytus. Pragnę go. Pragnę go moje endorfiny, aby wreszcie wy dostać się na zewnątrz.

Jestem klasycznym przykładem arystotelesowskiego dążenia do eudajmonii – szczęścia, które wynika z poczucia sensu i spełnienia w życiu.

Jestem klasycznym przykładem bohaterki romantycznych powieści – sens

i zadowolenie daje mi druga osoba, dla której jestem ważna.

Jestem klasycznym przykładem kogoś, kto na pierwszym miejscu nie stawia samego siebie i wyłamuje się z grupy „zdrowych egoistów”.

Gdybym to ja leciała samolotem, najpierw założyłabym maskę dziecku, a dopiero potem sobie. Błąd. Trzeba robić na odwrót, żeby umieć ocenić zagrożenie i pomóc drugiej osobie.

Czy już wspominałam, że jestem zakochana coraz bardziej? I że znowu wślizgnęłam się w terażniejszość, bo ona jest w tej chwili najważniejsza, wydarza się każdego dnia i każdego dnia wzmacnia moje poczucie winy.

Wpadłam w chaos. Podobno życie to poszczególne etapy, w których się znajdujemy. Przechodzimy etap dzieciństwa, potem dojrzewania, wskakujemy w jakieś związki, które też można podzielić na kolejne etapy. Kiedy się kończą, nie powinniśmy załamywać rąk, tylko czekać z niecierpliwością na następny. Może będzie lepszy? Ciekawszy? Może nauczy nas czegoś nowego? Ja jestem na etapie zakochiwania się w synu mojej przyjaciółki. W zasadzie to jestem ciut dalej, w tym momencie, kiedy myślę o nim niemal bez przerwy, kiedy przypomina mi się marokańska ochra i kumin, i małeńkie zaułki w Essaouirze, ale do tego punktu dojdę za chwilę. Żebyście dokładnie zrozumieli, co się wtedy zmieniło w mojej głowie.

I znowu wrzesień, i znowu Maroko

Wiem, że skaczę po datach, ale ta opowieść od samego początku jest chaotyczna. Nie umiem jej inaczej opowiedzieć jak tylko obrazami, które przeplatały się przez całe moje życie. Raz jeden wydaje mi się ważniejszy, chwilę później inny. Zresztą chronologia nie ma tu żadnego znaczenia. Gdybyście chcieli jednak wiedzieć, gdzie znajduję się teraz, to jest to luty. Jest Dzień Zakochanych i tym razem jestem w zbiorze tych, których to święto dotyczy. Choć też nie do końca, bo nie mam już przyjaciółki. Mogę ją wprawdzie odzyskać, ale...

Ale o tym napiszę później, jak już w końcu dojdziemy do lutego i chronologia znowu będzie miała sens.

Na razie wracam do Maroka. Essaouira to miasto niebieskich łódek, o którym już wam wspominałam. Weszłam do jakiegoś maleńkiego sklepu, który maleńki był tylko przez chwilę. Trzy kroki dalej znalazłam się w świecie Alladyna. Z jednego pomieszczenia wchodziło się do kolejnego, a na ścianach, podłodze i suficie znajdowały się lampy, bransoletki, naszyjniki, wisiorki, garnki, miecze i mnóstwo ceramiki. Bałam się poruszyć, odwrócić, wziąć głębszy oddech nawet. Bałam się, że coś strącę, zniszczę, że popsuję ten świat, więc tylko stałam i patrzyłam przed siebie wprost na naszyjnik z żółtych koralii.

– Ambra – wyjaśnił sprzedawca. – Zmieszana w przyprawami. Twardnieje, kiedy rok przechowuje się ją w ziemi. Weź. – Wyciągnął do mnie rękę.

Bardzo piękny, ale ja już miałam swój. Talizman od Aurelii, z którym w zasadzie się nie rozstawałam. Nie lubiłam biżuterii, więc ten wisiorek w zupełności mi wystarczał.

– Tysiąc dirhamów – zamruczał sprzedawca.

Pokręciłam przecząco głową.

– Siedemset.

Powoli zaczęłam się wycofywać z tych pomieszczeń, ostrożnie stąpając po ziemi i próbując wykonywać jak najmniej ruchów.

– Pięćset i jest twój.

Nie chcę ambry. Chcę stąd wyjść.

– Trzysta. Ale tylko dlatego, że jesteś ładna.

Miłe, ale ciągle mnie nie przekonał. Chyba nadepnęłam na jakąś lampę, bo przewróciła się, dzwoniąc srebrzyście. Na szczęście nie było w niej dzina, choć z drugiej strony może by mnie uratował?

– Sto pięćdziesiąt i dodam jeszcze bransoletkę z ręką Fatimy.

Ratunku!

Sprzedawca zastąpił mi drogę, błysnął zębami w odcieniu podobnym do ambry, choć może jeszcze bardziej żółtym i chwycił mnie za rękę. Nie bałam się go, ale nie chciałam naszyjnika.



– Sto! – prawie wrzasnął, a na pewno wrzasnęłam ja.

I wtedy ktoś chwycił mnie za ramię, wyciągnął z tej krainy baśni i zanim zostałam zjedzona przez marokańskiego sprzedawcę-ghula, byłam już na zewnątrz i biegłam razem z Tytusem, który mocno trzymał moją dłoń i cały czas się śmiał.

– No wiesz – oburzyłam się, kiedy w końcu na moment zatrzymaliśmy się w maleńkiej, wąskiej uliczce, ciemnej i pachnącej cynamonem.

– Jeszcze trochę i zamknąłby cię w lampie. Swoją drogą, czemu nie poszłaś do miasta ze mną? Szukałem cię w hotelu, ale ty się jakoś dziwnie wymknęłaś.

Nie dziwnie. Normalnie. Chciałam po prostu pospacerować trochę sama i może znowu pójść do hammamu, bo tam wszystko mi się lepiej układało w głowie. Objął mnie odruchowo chyba, a ja jeszcze bardziej odruchowo spociłam się niemal na całym ciele. I serce zaczęło mi się tłuc w piersi, zupełnie jakbym miała wystąpić na konkursie recytatorskim z wierszem, którego się nie nauczyłam.

Tak, był taki epizod w moim życiu. Ale nie wracajmy do niego.

Próbowałam się jakoś wyswobodzić, ale ta uliczka naprawdę była wąska i wszelkiego rodzaju ruchy skończyłyby się wybiciem zębów. Więc szłam dalej wtulona niejako w Tytusa i chyba nawet zamknęłam oczy, żeby było mi łatwiej wtulić się jeszcze bardziej, skoro o ucieczce nie mogło być mowy.

Boże, jak on pachnie.

Boże, jak bardzo jestem głupia.

A potem przyszedł taki moment i na pewno go sobie nie wymyśliłam, kiedy Tytus nachylił się jeszcze bardziej i chyba, ale powtarzam, chyba chciał mnie pocałować. To była nanosekunda, eteryczna jak ważka, jakiś oddech zbliżony, ale zanim zrozumiałam, co powinno być dalej, nagle się ode mnie odsunął i kucnął.

– But mi się rozwiązał.

Nie mógł.

Miał adidasy na gumkę.

I możecie mi wierzyć albo nie, ale ta sekunda zawahania przepełniła mnie większą radością niż jakikolwiek inny moment w moim życiu. Nie wiem nawet, czy podczas własnego ślubu czułam takie lewitowanie organów wewnętrznych.

Mentalność Marokańczyków jest ciągle baśniowa, magiczna i na swój sposób pierwotna. Być może ja też poczułam się tutaj jak w środku opowieści z tysiąca i jednej nocy, która musiała zakończyć się dobrze. Jeszcze nic się nie wydarzyło, ale ja nabrałam wreszcie pewności, że nie jestem jedyną osobą w tym dziwnym układzie, która nie potrafi ogarnąć własnych emocji. Której przeszłość przeszkadza terażniejszości, z drugiej jednak strony to tylko przeszłość, a jej już nie ma. Jest tu i teraz, a po nich nastąpi jutro. Jeśli życie to etapy, to czy mają znaczenie te, które już minęły?

Aurelio, będziesz musiała mi wybaczyć.

Sobota wrześniowa, koniec relaksu, koniec wyjazdu, rzeczywistość znowu jest szarobeżowa

Załóżmy, że to jednak ma prawo się udać. Załóżmy, że moje czterdzieści dwa lata i jego dwadzieścia cztery to tylko poprzestawiane liczby, ale przecież takie same. Dwójka i czwórka tańczące fokstrota. Nikt nie zwrócił się do mnie w żadnym miejscu publicznym jak do matki Tytusa, nikt nie nazwał go moim synem. Ani tam, w Maroku, ani tutaj, w Polsce. Co prawda nie całujemy się w miejscach publicznych i nie kleimy jak cukierek toffi, ale dużo czasu spędzamy jednak razem. Ludzie patrzą na nas obojętnie, nie oceniają, nie analizują, co nas łączy i dlaczego wspólnie pijemy kawę. Moje obsesje, że cały świat się z nas śmieje, powoli topniały, a ja zanurzałam się w ten związek z coraz większą odwagą. To znaczy trudno tu jeszcze mówić o związku, ten moment zawahania o niczym jeszcze nie świadczył, a już na pewno niczego nie przypieczętował. Ale nie był to również układ neutralny. Bez troski i bez podtekstów. Coś się między nami tliło, a właściwie zapalało coraz mocniej i chyba tylko kwestią czasu był porządny płomień.

Trochę grafomańsko to napisałam, ale przynajmniej rozumiecie, o co mi chodzi.

W samolocie Tytus znowu wziął mnie za rękę, chociaż wcale nie trzęsło.

– Myślisz, że możemy jeszcze kiedyś razem polecieć na wakacje? – spytał tak zwyczajnie.

Kiwnęłam głową.

Tylko co będzie za lat dziesięć? Co będzie za dwadzieścia? Kiedy skończę pięćdziesiąt dwa lata, on będzie miał trzydzieści cztery. Przekroczę granicę tolerancji i stanę oko w oko z pogardą. Stanę się pośmiewiskiem, a on obiektem godnym współczucia. Będzie w pięknym, dojrzałym wieku, podczas gdy ja wejdę w swoją jesień, wcale nie tak kolorową i błyszczącą jak na obrazkach. A potem minie kolejnych dziesięć lat i nic już nie będzie bajką. Nie jestem odporna na krytykę, zawsze bolało mnie, kiedy ktoś źle mnie ocenił, powiedział coś niemiłego. Nie mogę zrobić z Tytusa swojej tarczy, poza tym nie mam żadnej gwarancji, że on tego będzie chciał. Każdy związek potrzebuje publiczności, nawet małej, ale życzliwej. Nie wiem, czy poradzę sobie z krytyką innych, z ostracyzmem społecznym i tym rodzajem pogardy dla podstarzałej kobiety, której wydaje się, że jeśli ukradnie komuś młodość, sama cofnie wskazówki zegara.

Co robić? Wybiegać wzrokiem w przyszłość i szukać siebie w tłumie sześćdziesięciolatek czy raczej cieszyć się każdym osobnym dniem, robiąc z jego zwykłości święto? Moje małżeństwo nie przetrwało nawet jednej dekady, więc dlaczego teraz zakładam pasy asekuracyjne? Jest środa, jest piątek, jest sobota. Wrzesień przejął pałeczkę po sierpniu i nadal bawi się słońcem. Niedługo pojawi

się październik. Pachnie zapowiedzią jesieni, nie wiem, czy mojej, czy tej prawdziwej, ale czuję się szczęśliwa. Niby nic się nie dzieje, świat wygląda tak samo, ale ja przed zimą obudziłam się ze snu. Chce mi się rano wstać, poszukać w szafie ubrań, chce mi się pomalować rzęsy i z przyjemnością piję kawę. Jestem lekka, moje narządy lewitują swobodnie, nie czuję żadnych ucisków, skurczów, nie czuję przypalania rozgrzanym żelazem.

Czy tak wolno?

Czy tak można?

Dlaczego wychodzę z założenia, że szczęście jest dla innych, a ja sama wstydzę się po nie sięgnąć? I tylko Aurelia spędza mi sen z powiek, choć staram się o niej nie myśleć.

Nie, nie jesteśmy jeszcze parą. Nie śpimy ze sobą, nie mieszkamy razem. Ocieramy się raczej, docieramy, on czasem chwyci mnie za rękę, kiedy idziemy na spacer. Oboje pachniemy marokańskim wspomnieniem. Może to wystarczy? Może nie trzeba grzebać w przyszłości i bawić się w jasnowidza. Może wcale nie pójdziemy dalej, co i tak nie zmienia mojego poczucia lekkości, mojego oderwania się od samej siebie, tej melancholijnej i w szarych spódnicach.

– Mam dziwnego pacjenta, wiesz?

Roześmiałam się.

– Kota czy psa?

– W zasadzie kota, choć bardziej chodzi mi o jego pana. Za każdym razem, kiedy do mnie przychodzi wcześniej rano, jest okropnie niecierpliwy, łypie na zegarek i każe mi się spieszyć. I tupie nogą, mruczy coś pod nosem, a czasem nawet szturcha mnie palcem.

– Jak to: szturcha?

– No kłuje. Podchodzi i kłuje mnie w plecy, mówiąc, że jestem ślamazara. I że chyba dostałem w prezencie za dużo wolnego czasu. Tłumaczę mu, że czas jest akurat sprawiedliwie rozdzielony, a pośpiech w przypadku poprawienia kondycji stawowej jego kota nie jest tu w żadnym wypadku wskazany.

– A co on na to?

– Nic. Fuka tylko, a potem zabiera kota i mówi mi, że jestem jeszcze dziecko.

Hm, o mnie by pewnie tak nie powiedział.

– A musi przychodzić rano?

– Mam prawie wszystkie terminy zajęte, zostało mi kilka okienek właśnie przed południem. Pytałem go, dokąd się tak spieszy, ale zawsze tylko wzruszał ramionami. Powiedziałem nawet, że ma zostawić kota i przyjść po niego później, ale to w ogóle nie wchodzi w grę. „Kot idzie ze mną” – mówi i wychodzi, jakbym go obraził. A może kiedyś wpadniesz do mnie i sama się przekonasz? Może będzie bardziej otwarty, kiedy zobaczy kobietę?

Najpierw ucieszyłam się, że mi to zaproponował, potem mój mózg rozpoczął swoją idiotyczną analizę. Zaprosił mnie, bo bardziej wiekowo pasuję do starszego pana z kotem? Bo jestem bardziej doświadczona i można to wykorzystać? Bo pasuję wizualnie do staruszków?

– Fajnie – powiedział jeszcze, a ja nadal nie wiedziałam, czy to fajnie jest czyste i bez podtekstu, czy kryje się za nim mój wiek.

Takich analiz już pewnie nigdy nie uniknę. Zadręczanie się i szukanie najdrobniejszych pęknięć w szkle to moja natura. To moja życiowa asekuracja, która w niczym mi nie pomaga.

I jeszcze te myśli, kiedy na niego patrzę. Powinnam je zakopać w ziemi, ale one wracają. I po co ja żyję przeszłością?

Powietrze jest nagrzane, pachnie słońcem. Namawiam Tytusa na zapachy wiosny. Ma wachać świeżą trawę, koniczynę na łące, uschnięte gałązki choinek w lesie, mech, korę drzewa. Ma dwa latka. Kiedy był większy, prosiłam go, żeby opisał, który zapach najbardziej mu się spodobał i dlaczego. Bawiliśmy się tak do czasu, aż poszedł do szkoły.

– Ty pachniesz najładniej – mówił często, a ja stawałam się truskawkową galaretką.

Woda.

Przelewanie, polewanie, chlapanie i pluskanie. Trzyletni Tytus pomagał mi podlewać kwiatki w ogrodzie albo po prostu biegał z konewką i moczył własne stopy. „Czy wiesz, że polewanie nóg zimną wodą wzmacnia system immunologiczny i ma działanie odświeżające?” – wyświetlało się w mojej głowie, więc byłam dumna, że tak świetnie sobie radzę i że hartuję dziecko.

– Poleję ci nogi i pocałuję – mówił Tytus, a ja stawałam się galaretką cytrynową.

Ogród, park, łąka – idealne miejsca, by zdobywać nowe doświadczenia. Pozwalałam Tytusowi wachać najróżniejsze rośliny. Poskubać bazylię, poszczypać tymianek. Pożuć mięętę pieprzową. Zawsze interesowała go spacerująca po listkach biedronka. Albo mrówka, która wdrapała mu się na nogę. I trzmiel, bo tak cudownie buczał.

– Jesteś śliczna jak biedronka – mówił, a ja byłam galaretką agrestową.

Czy zawsze będę przebiegać od przyszłości do przeszłości, nie zahaczając wcale o to, co tu i teraz? Jedno było, drugie może będzie. A dzisiejsza sobota jest tylko dzisiaj. Jutro przejdzie do historii.

Marzec, ten po moim rozwodzie. Cofamy się trochę w czasie

Z Aurelią zbliżyłyśmy się do siebie jeszcze bardziej, kiedy oficjalnie przestałam być żoną. Dwie singielki, dwie kolejne na tym świecie kobiety klasycznie kopnięte przez facetów w dupę. Większość wolnego czasu zaczęłyśmy spędzać ze sobą, co było czymś naturalnym. Tytus przygotowywał się wtedy do egzaminów na Akademię Wychowania Fizycznego i zamierzał zostać fizjoterapeutą. Dobry zawód, mógł masować nie tylko obolałe kręgosłupy, ale i pogłaskać zbolące wnętrza. Nie znam szczęśliwych ludzi z bolącym kręgosłupem. W zasadzie to jest tak, że im bardziej człowiek dostał po łbie, tym bardziej buntuje się jego organizm. Tak jakby nie starczyło jednego nieszczęścia. Bolą go kości, mięśnie, organy przeróżne, nawet skóra. Im więcej złych myśli, tym częstsze bóle.

Nasza przyjaźń z Aurelią była kopczykiem, który rósł z każdym rokiem i dzięki temu był dużo bardziej stabilny niż znajomości zawierane na szybko, na już, na hura i na całe życie. My dokładałyśmy po kamyczku, raz mniejszym, raz większym i z czasem doczekałyśmy się całkiem pokaźnej góry wspólnych przeżyć, marzeń, wzruszeń, łez i uśmiechów. Nie było w tym zaborczości, choć czasem Aurelia próbowała mi matkować. A ja podświadomie liczyłam się z jej zdaniem i byłam szczęśliwa, kiedy akceptowała moje wybory. Nawet jeśli był to tylko zakup nowej pomadki.

– Wiesz dlaczego to kobiety są najczęściej zdradzane? – spytała mnie krótko po moim rozwodzie.

Bardzo byłam ciekawa.

– Bo natura wie, że jesteśmy silniejsze. Że potrafimy żyć dalej nawet wtedy, kiedy ktoś nas potraktował jak zużyty worek od odkurzacza. Pełen brudów, pozwijanych włosów i starych wsuwek, które się z nimi wciągnęły. Jesteśmy silniejsze i umiemy stanąć na nogi, chociaż ktoś nam przeciął ścięgna w łydkach. Dlatego często zostajemy same.

Coś w tym było. Chociaż ja wcale nie czułam się silna i ciągle wydawało mi się, że mnie ubywa, że upodabnam się do swojego cienia, że znikam po kawałku, a na dodatek mam coraz mniejsze szanse na przyjemne odbicie w lustrze. I naprawdę dobrze się stało, że miałam wtedy przy sobie Aurelię, bo dzięki niej w ogóle chciało mi się znowu wstawać i być sekretarką Wojtka.

Ale miewałam dni zwątpienia. Kiedy masz trzydzieści kilka lat, nagle dociera do ciebie, że skończył się okres marzeń. To znaczy marzyć możesz dalej, ale już wiesz, że te pragnienia powinny być racjonalne. W wieku kilkunastu lat można sobie świat wymyślić. Można go stworzyć na własną modłę i wierzyć, że taki właśnie będzie. Dwadzieścia lat później już wiesz, że przesadziłaś. I że niektórym marzeniom trzeba obciąć skrzydła i dodać nieco innej barwy niż tylko różowej. Kiedyś potrafiłam wsiąść w PKS i pojechać na wieś tylko dlatego, że

miałam ochotę na prawdziwy wiejski twaróg. Albo śledziłam przez trzy godziny kota, bo mi się wydawało, że daje mi jakieś znaki. Nie dawał, a ja potem musiałam gęsto tłumaczyć się mamie, dlaczego wracam spóźniona do domu. O, a jeszcze kiedyś wymalowałam na ścianie naszego domu prawdziwe graffiti, a potem wspólnie z mieszkańcami oburzałam się na ten skandaliczny akt wandalizmu. Może to nie były szalone pomysły, ale przynajmniej jakieś miałam. Później robiłam już tylko to, czego ode mnie oczekiwano.

– Posprzątaj w końcu po przeszłości. Spakuj resztkę tych rzeczy, które ci go przypominają, i zacznij od początku – mówiła Aurelia, kiedy widziała, jak miotam się we własnym mieszkaniu i jak zastygam na widok kubka, z którego zazwyczaj pił mój mąż.

Wzdychałam, jęczałam, kwiliłam nawet, choć oczywiście mówiłam sobie, że wcale mnie to nie rusza. Osiem lat małżeństwa to nie jest ani dużo, ani mało. Ale wystarczająco, by wpaść w pewien schemat przyzwyczajień, które są w życiu potrzebne i które dają jakieś poczucie stabilizacji. Poranne „dzień dobry”, mycie zębów nad jedną umywalką, wspólne śniadanie, rozmowy wieczorem przy kolacji, ustalanie wakacji, moja bułka z pestkami słonecznika i jego pszenna. Każde małżeństwo ma swoje ustalone wzory zachowań, szablony, według których odmierza wspólne życie, pewną konwencjonalność, a nawet manieryczność. Z boku może to wyglądać śmiesznie, ale koniec końców chodzi przecież o to, żeby dogadała się właśnie ta dwójka ludzi, która zdecydowała się być razem. I kiedy coś nie wychodzi, kiedy się psuje, sypie, a ty dostajesz papiery rozwodowe, masz poczucie wielkiej przegranej i obwiniasz się niemal o wszystko.

– Daj spokój. Kobieta musi umieć żyć sama. Najpierw ona, a dopiero potem osoba dochodząca. Jak będziesz się lubić i pozdrawiać z uśmiechem swoje odbicie w lustrze, to bardzo szybko znajdziesz kogoś, kto ci w tym chętnie potowarzyszy.

No pewnie, że miała rację. A jednak też nie potrafiła związać się z nikim na dłużej.

– Bo nie lubię – tłumaczyła. – Jestem zbyt wielką indywidualistką, by każdego dnia iść na kompromisy.

– A jeśli już zawsze będę samotna? – pytałam, pociągając nosem, ale ona tylko wzruszała ramionami.

– Niby dlaczego? Jesteś młoda, jesteś ładna, nie masz dzieci, co akurat dla niektórych facetów może być dużym atutem. Nie będziesz sama.

Tego akurat nie byłam taka pewna. Bohaterkom *Seksu w wielkim mieście* wystarczyło przeslizgnąć się wzrokiem po mężczyźnie, a już z jednym jadły lunch, z innym kolację, jeszcze innego zaciągały do łóżka. Ale ja nie mieszkałam w Nowym Jorku i to nie był film.

Mężczyzna rodzimy, polski i w wieku, który teoretycznie do mnie najbardziej by pasował, nie nadawał się do niczego. Najczęściej był żonaty. I wcale

nie taki skory do zdrady, jak by mogło się wydawać. Lub przynajmniej nie ze mną. Możliwe, że wolał młodsze, głupsze, takie na jedną noc. Możliwe, że chadzał do burdelu, a na życie w trójkącie był zbyt wygodny. I chyba się bał. Poza tym ja nie szukałam romansu, tylko kogoś, kto mógłby ze mną, u mnie, przy mnie – zatrzymać się na dłużej. Aurelia stawiała na zupełnie coś innego – przyjemność, seks, niezobowiązujące spotkania, może wspólne wakacje. Ale na pewno nie na wspólną koldrę na dłużej niż kilka nocy.

Wychodziłam z nią wieczorami kilka razy i kilka razy poczułam, że wolałabym zostać w domu.

Po pierwsze, naprawdę byliśmy za stare. Pub chętnie przyjmował ciała dwudziestoletnie, a nawet młodsze, na nas zaś patrzył z niechęcią. Późniejszym wieczorem, kiedy większość spojrzeń była już zamroczona, bywało ciut lepiej i nawet łapałyśmy się na spontaniczny uśmiech wysyłany wprawdzie w przestrzeń, ale czasem zahaczający jednak o nasze twarze. Po drugie, nie było z kim flirtować. Aurelia nic sobie z tego nie robiła i flirtowała bez żadnej segregacji. Wybierała obiekt na chybił trafił, siedzący przy barze, przy stole, kręcący się bez celu, szukający jakiegokolwiek zaczepki słownej. Ale to nie były rozmowy fascynujące, to nie była żadna gra słów, żadne przekomarzanie się ani zabawy językowe, to była konwersacja na poziomie – no, dobra, dupa i kurwa. Resztę stanowił bełkot.

– Tu nie ma kogo wybrać – żaliłam się mniej więcej po godzinie. Trzech porzuconych, jeden w trakcie rzucania. Żona się nim znudziła.

– Daj spokój, większość z nich jest po tak zwanych przejściach, więc musisz im dać trochę czasu – tłumaczyła mi Aurelia. – Tacy faceci znacznie dłużej regenerują się emocjonalnie po stracie miłości, no i konsekwentnie potrzebują więcej czasu, by zaufać kolejnej kobiecie. Trudniej zapominają też o porażkach uczuciowych. Wielu mężczyznom wydaje się, że pierwsza miłość była najlepsza i nikt nie jest w stanie zastąpić byłej partnerki. Obnoszą się więc ze swoim złamanym sercem, popadają w uzależnienia, udają bohaterów, a są kretynami. Po drugie, mężczyźni podchodzą do swoich związków bardziej ambicjonalnie. Kiedy tracą obiekt westchnień, traktują to jak zamach na swoją męskość. Więc się nie dziw, że bredzą.

Wzruszyłam ramionami.

Naprawdę nie było w czym wybierać.

Może byłam niesprawiedliwa. Albo niewyspana, źle nastawiona, skrzywiona rozwodem, uszczypnięta przez los. Może z góry skazywałam wszystkich na odstrzał i nawet wtedy, kiedy dosiadł się do mnie facet, który mógł być obietnicą czegoś lepszego, nie umiałam się zachować. Do porzuconych nie należał, choć z drugiej strony był dość cyniczny, więc może przyjął taką właśnie maskę.

– Jesteś sama?

– Samotność to choroba. Tak twierdzą naukowcy. I choć bycie singlem jest

dzisiaj modne, tak naprawdę nie służy naszemu zdrowiu. To, w jakiej jesteśmy formie, nie zależy od ilości zjedzonych witamin i czasu spędzonego na siłowni, ale przede wszystkim od naszych relacji z innymi – odpowiedziałam zupełnie bez sensu. I chyba nie na temat.

Facet spojrział na mnie z lekkim osłupieniem w brązowych oczach, ale najwyraźniej go zaintrygowałam, bo brnął dalej. A powinien był uciec.

– Ja mogę wejść w relację z tobą. Wtedy nie będziesz musiała łykać żadnych witamin. – Uśmiechnął się nawet.

No dobrze. Założmy, że ta odpowiedź nie była najgorsza.

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami.

Facet przysunął się nieco bliżej.

– Ja też w zasadzie jestem samotny.

Co oznacza „w zasadzie”?

– Chodzi o to, że dość szybko nudzę się w stałych układach. W zasadzie chciałbym, żeby każdy dzień był inny, żeby nic się nie powtarzało, żebym był niemal bez przerwy zaskakiwany.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową. Jednak porzucony. I teraz się odgrywa.

– Mam pomysł – szepnęłam konspiracyjnie, a facet aż poczerwieniał.

Nachylił się chętnie i zbyt gwałtownie.

– Chciałbyś zostać królikiem doświadczalnym?

Jego oddech przyspieszył, a w oczach zobaczyłam swoje odbicie w kajdankach i czarnych majtkach z lateksu.

Nic z tego.

– Mój znajomy to robi. Ostatnio leżał w łóżku, czytał książki i brał eksperymentalne leki na raka szyjki macicy.

Facet zamarł na krześle.

– Mężczyzna? – upewnił się tylko.

Skinęłam głową.

– Królik doświadczalny. Czasem bierze inne leki, czasem wypróbuję na sobie różne kosmetyki. Czasem mdleje, czasem rzyga jak kot. Czasem ma uczulenie, świąd i wysypkę. Ale wierz mi, nigdy się nie nudzi, a jego dni nigdy nie są takie same.

Do domu wróciłam sama. To znaczy z Aurelią, która tylko pocałowała się z jakimś facetem, ale bez większej ochoty na ciąg dalszy.

– Nie będziesz sama – powtórzyła jednak z dużą pewnością, a ja wiedziałam, że próbuje zakłąć rzeczywistość.

Już nigdy nie będę uprawiać seksu?



Poniedziałek wrześnieowy. Ja już jestem zakochana. On – nie wiem. Ale pamiętacie, że wtedy w Maroku odrobinę się zawahał?

Zrobiłam coś bardzo niezwykłego jak na mnie, choć najbardziej zaskoczeni byli Iga i Wojtek.

– Mogę przyjść jutro do pracy godzinę później? – zadzwoniłam do nich w niedzielę wieczorem i Iga chyba odruchowo się zgodziła. Nigdy wcześniej o to nie prosiłam, podobnie jak nie wyjeżdżałam od dawna na wakacje. A teraz w krótkim czasie zrobiłam i jedno, i drugie.

– Jasne. To znaczy nie ma problemu. A dlaczego?

– Mam wizytę u lekarza.

– Coś poważnego?

Nie wiem. Zobaczymy jutro.

Recepcjonistka uniosła na mój widok brwi tak wysoko, że prawie jej wypadły poza twarz. Znowu przyszłam bez zwierzęcia. Bez psa, bez kota, no i bez pytona.

– W porządku, byliśmy umówieni – powiedział Tytus na mój widok i posłał jej uśmiech służbowy. To znaczy tak go odebrałam, chociaż może niesłusznie, bo recepcjonistka odpowiedziała trzepotem rzęs i głębszym westchnięciem.

Co za tandetna mowa ciała.

– Kiedy przyjdzie pan Antoni, proszę go oczywiście od razu do mnie przysłać – poprosił Tytus.

– Oczywiście.

– Oczywiście – zamruczałam pod nosem i zakręciłam biodrami.

Odruch taki.

Pan Antoni pojawił się siedem minut później i w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Zupełnie jakbym była meblem. Zachrząkałam nawet, ale on patrzył tylko na Tytusa.

– Muszę wyjść dzisiaj dziesięć minut wcześniej. Proszę się pospieszyć.

Tytus kiwnął głową na znak, że absolutnie się postara, a potem ostrożnie przejął kota i ułożył go na miękkim materacu. Zwierzę było spokojne, a na głos i dotyk Tytusa reagowało przyjemnym mruzeniem.

To zupełnie jak ja.

– Co mu jest? – spytałam pana Antoniego, żeby jakoś zasygnalizować swoją obecność.

Wzruszył ramionami.

– Początki osteoporozy i jakaś demineralizacja kości. Tak on mówi. – Wskazał głową na Tytusa.

Chrząknęłam znowu i poprosiłam starszego pana, żeby usiadł.

– Nie mam czasu. – Zerknął na zegarek. – Za chwilę musimy iść.

– A nie może pan przesunąć tego terminu?

Spojrzał na mnie stalowymi oczami i z równie stalową ciężkością.

– Nie.

Zwięźle, ale przynajmniej wszystko zrozumiałam.

– A może ja pana podwiozę? – zaproponowałam nagle, sama nie wiem dlaczego. Nawet Tytus spojrzał na mnie zdumiony.

Starszy pan przez moment się zawahał.

– Jak to?

– Normalnie. Będzie szybciej.

Nie wiem, dlaczego pomyślałam, że pan Antoni podróżuje środkami komunikacji miejskiej, ale najwyraźniej miałam rację.

– Mogłaby pani?

Skinęłam głową bardziej ucieszona faktem, że zaimponowałam Tytusowi. Boże, jaka jestem głupia. Wiek nie dodaje rozumu, przynajmniej nie w moim wypadku.

– To pojedę – zgodził się pan Antoni i chyba odrobinę się uspokoił.

Tytus pogłaskał jeszcze kota po głowie i powiedział:

– Dalej musi pan z nim ćwiczyć, żeby zmusić go do ruchu. Aby zachęcić go do używania wszystkich kończyn, proszę przywiązać jego ulubioną zabawkę do sznurka i ciągnąć po podłodze tak, żeby starał się ją złapać. Żeby ją gonił i rzucał się na nią. Im więcej ćwiczeń, tym lepsze efekty. Myślę, że za parę tygodni Cekinek będzie jak nowo narodzony.

Cekinek?

Pan Antoni ma niezłą fantazję.

– To żona wymyśliła imię – odpowiedział moim myślom.

Kiedy wychodziliśmy, przeszłam koło pięknej i młodej recepcjonistki sprężystym krokiem, z wypiętą piersią. Tak jakby to miało kogokolwiek oszukać. Ale i tak poczułam jej ostre spojrzenie na plecach, więc dla pewności ponownie zakręciłam biodrami. Też znam mowę ciała.

Czy jej się podoba Tytus?

Czy ona kogoś ma?

A może po prostu mam przywidzenia? Akurat. Te rzeczy wyczuwamy na odległość.

Cekinek został umieszczony wraz z klatką na tylnym siedzeniu, a pan Antoni usiadł koło mnie.

– Dokąd?

– Na Sołacz. – Podał mi numer domu i od razu zaznaczył: – Ale pani ze mną nie wysiada. Idę sam. I proszę się pospieszyć, jeśli można. Ja naprawdę mam bardzo dokładnie wyliczony czas.

Kiwnęłam głową, że oczywiście, choć muszę przyznać, że mocno mnie

zaciekawiał. Dom był ogromną willą, z wijącym się na murach bluszczem i starym ogrodem, o który najwyraźniej nikt nie dbał. Pan Antoni szybko wysiadł, zabrał kota i machnął mi ręką na do widzenia, nie patrząc nawet w moją stronę.

Mieszka tu? Czy kogoś odwiedza?

Poczekalam jeszcze chwilę w samochodzie, ale tak naprawdę nic więcej nie zobaczyłam. Pan Antoni zniknął za zieloną bramą, a potem zadzwonił do drzwi. Czyli jednak kogoś odwiedza. Zerknęłam na zegarek i natychmiast zapomniałam o panu Antonim, bo właśnie byłam spóźniona. A ja przecież nigdy się nie spóźniam.

Najpierw przyszedł Wojtek i spytał, czy wszystko w porządku, a potem jeszcze upewniła się Iga. I popatrzyła na mnie jakoś dziwnie, bo właśnie zerkalam na telefon i próbowałam nie uśmiechać się na widok SMS-ów, które wysłał mi Tytus.

*Dojechałaś?*

*Daj znak, że wszystko OK.*

Martwi się.

Po chwili moje rozanielenie ustąpiło miejsca prozie życia.

Martwi się o pana Antoniego albo po prostu jest ciekawy. A ja oczywiście dorobiłam do tego całą filozofię.

*To jakaś stara willa, najwyraźniej pojechał kogoś odwiedzić.*

Wyślij.

*Wiesz, że ośmiornica potrafi otwierać słoiki z zewnątrz i wewnątrz?*

Parsknęłam śmiechem.

*I co jeszcze?*

*Zmieniać kolor w zależności od humoru.*

Dobre, też bym tak chciała. Na razie jednak musiałam uspić ciekawość Igi, która co chwila do mnie zaglądała, niby pod pretekstem poszukiwań jakiegoś bardzo ważnego katalogu.

Czułam się trochę jak uczennica przyłapana na romansowaniu z nauczycielem, choć tak naprawdę było przecież znacznie gorzej. Postanowiłam więc wyciszyć telefon i zająć się pracą.

Zerknę ostatni raz.

*I jeszcze upodobnić się do piętnastu różnych zwierząt, między innymi węża morskiego, ukwiału, flądry i ryby skrzydlicy. Mogę wpaść wieczorem?*

I jak ja mam pracować?

Wrześniowa środa, dużo słońca, dużo liści, są też kasztany. Pachnie powoli październikiem

Trudno powiedzieć, co nami kierowało albo co kierowało nim, bo to, że ja się zaczęłam zakochiwać, zrozumiałam już dużo wcześniej. Oczywiście, że próbowałam te myśli odepchnąć, a nawet wmówić sobie samej, że jestem skończoną idiotką, prawda jednak była taka, że wchodziłam coraz głębiej do rzeki i zupełnie nie przejmowałam się faktem, że woda jest zimniejsza, a dno muliste.

Czas podzieliłam na ten, który spędzałam sama, oraz na godziny z Tytusem. W pewnym momencie skupiałam się głównie na tych chwilach, zapominając o sobie samej i o tym, że życie toczy się równoległe do tego, które wyznaczają wyłącznie emocje. Trzeba pracować, jeść, trzeba spotykać się z innymi, trzeba zachowywać się normalnie przed Aurelią i cały czas próbować obrócić to wszystko w żart.

Niestety po tym wieczorze żarty się skończyły, a ja doszłam do wniosku, że nic już nie będzie ani proste, ani takie jak dotychczas. Tytus odwiedzał mnie często, czasem pytał, czasem nie, bo właśnie wpadł na pomysł, że możemy zjeść razem kolację albo pójść do kina. Musiałam nauczyć się reagować na spontaniczność, na pewną mimowolność, dezorganizację mojej osobistej rutyny. Oczywiście, że mi zasmakowało, zupełnie jakby ktoś po latach jedzenia margaryny podał mi domowe masło. Rozwiązał nogi, rozwiązał ręce, dmuchnął we mnie wiatrem i patrzył, jak tańczę razem z liśćmi.

– Mam świetny pomysł – mówił na przykład. – Wsiądziemy w samochód i będziemy skręcać tylko w prawo. I zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

Gdyby coś takiego zaproponował mi Jan, pomyślałabym, że postradał zmysły. Ale z Tytusem po prostu wsiadałam do samochodu i czterdzieści pięć minut jeździłam po mieście, po to tylko, by po którymś skręceniu w prawo natknąć się na ślepą uliczkę, na której końcu stał wielki kosz na śmieci. I wiecie, naprawdę mnie to rozśmieszyło. Podobnie jak wojna na papierowe samoloty. Albo zabawa w chowanego w parku. Albo wtedy, kiedy wyłączyliśmy dźwięk w filmie i sami podkładaliśmy głosy. To chyba była *Troja*, a ja byłam Achillesem. Tytus oczywiście Bryzejdą.

Tego dnia przyszedł do mnie około dwudziestej.

– Jak szyja? – spytał od razu, a potem zaproponował, że sam obejrzy. Tak naprawdę szyja nie bolała mnie już od dawna, zapomniałam o niej już w Maroku, ale przecież w każdej chwili mogło odezwać się tamto uszkodzenie po Zuzinym skoku.

Zawsze jakiś dotyk jest pierwszy, nawet jeśli się już wydarzył. To brzmi trochę nielogicznie, ale spróbuję wam wyjaśnić. Tytus już mnie wcześniej masował i pomagał rozluźnić napięte mięśnie, ale dzisiaj to był inny dotyk, przynajmniej dla mnie. Był cieplejszy, elektryzujący i taki, że nie chciałam, żeby przestawał. Bardzo

możliwe, że uległam jakimś sentymentom, jakiejś tęsknocie za dotykiem w ogóle, że zapragnęłam znowu unieść się nad ziemią i zobaczyć siebie z dużej wysokości. Bardzo możliwe, że znowu znalazłam się w wąskiej uliczce Essaouiry, z której nie było ucieczki innej jak tylko w czyjeś ramiona, i bardzo możliwe, że on poczuł to samo.

Bo tym razem naprawdę mnie pocałował.

Rozum ustąpił miejsca chemii, racjonalne myślenie zwykłej potrzebie bliskości. Może tylko chciałam, żeby ktoś ukoił moje problemy, utulił żale i strach przed samotnością. A może pragnęłam kompulsywnego zakochania, bez żadnych zabezpieczeń i wybiegania wzrokiem w przyszłość? Więc oddałam ten pocałunek, w którym się zatraciłam i który zamknął na razie szufladę pełną rozważań co dalej.

Co nie oznacza, że nie otworzył kolejnej, pełnej wszechogarniającego strachu, że to, co dotąd tylko układało się w mojej głowie, właśnie stało się faktem.

– Nie możemy – zareagowałam siedemnaście sekund później, całkowicie wbrew temu, co myślałam. Lub czego chciałam.

Tytus popatrzył na mnie spod tej swojej niesfornej grzywki, a ja zapragnęłam, żeby się na mnie rzucił. Na szczęście nie wyartykułowałam tej potrzeby. Są pewne granice przyzwoitości.

– Bo? – zapytał tylko.

– Bo jest Aurelia, poza tym jesteś dużo młodszy, a ja... – plątałam się nieco.

– A ty jesteś starsza – dokończył odkrywczco.

– Nie tylko. – Machnęłam ręką. – Chodzi o to, że ja cię wychowywałam i teraz to jest po prostu...

– Niemoralne. Bezwstydne. Nieetyczne. Niepoprawne, a nawet kosmato-robaczywe – oznajmił z grobową miną, a ja wybuchnęłam śmiechem, choć nieco histerycznym.

– Żebyś wiedział – powiedziałam w końcu.

– Nic na to nie poradzę. – Rozłożył w końcu ręce. – Z nikim nigdy tak dobrze mi się nie rozmawia, nie jeździ na wakacje, nie spędza czasu, nie śledzi starszego pana od chorego kota, nie pomaga w remoncie i wreszcie nie całuje.

No.

I co w takiej sytuacji mogłam zrobić? Mogłam nieśmiało zasugerować kolejny pocałunek, a sugestia polegała na tym, że rzuciłam się na niego i wpiłam w jego usta, zupełnie jakby były ostatnią szklanką wody na wściekle gorącej pustyni Gobi. Jestem najgorszą przyjaciółką z możliwych. Jestem zaprzeczeniem przyjaźni i lojalności. Myślę tylko o tym, że chcę być z Tytusem, zupełnie jakby to mogło być możliwe, bez żadnych przeszkód i ranienia innych osób. Jestem egoistką, na dodatek całkowicie pozbawioną jakichkolwiek moralnych zahamowań.

– Smakujesz mi – powiedział.

Poczułam się wtedy jak poziomka w bitej śmietanie, jak trufla zatopiona

w jadalnym złocie i nie wiem doprawdy, jakie jeszcze porównanie mogłabym zastosować, żebyście już tak na sto procent zrozumieli, jak się wtedy czułam.

Aurelio, czy ty też mnie zrozumiesz?

Piątki i soboty, i wtorki wrześniowe. Końcówka miesiąca. Chociaż to akurat była środa

To, na co się zgodziłam jakiś czas temu, kiedy Tytus zapytał mnie podczas kawy, „czy z nim pójdę”, a ja powiedziałam „tak”, nie mając pojęcia, czemu przytaknęłam, to był hip-hop.

Tak. Taniec ludzi młodych, taniec niesformalizowany, bez żadnych określonych figur czy kroków, taniec gestykulacji i wewnętrznej energii. Szczerze mówiąc, myślałam, że fascynują się nim głównie nastolatki, ale najwyraźniej Tytus również. Oraz cała grupa osób w podobnym wieku, przy czym ja byłam zdecydowanie najstarsza. A oni nie pozwolili mi usiąść i patrzeć, tylko musiałam stanąć na parkiecie i dać się ponieść emocjom.

Osoby starsze, osoby w moim wieku, a już na pewno kobiety w moim wieku, nie dają się ponieść emocjom w sposób całkowicie niekontrolowany. Zawsze, ale to zawsze próbują osadzić wszystko w rzeczywistości i zobaczyć, choćby w wyobraźni, czy się odnajdą w nowych wyzwaniach. Nawet radość, która według Hindusów jest ostatnim wezwaniem człowieka, musimy kontrolować, żeby nikt nie zarzucił nam głupoty. Strach przed kompromitacją rośnie wraz z wiekiem, zwłaszcza kiedy wchodzisz na tereny niedostępne. Nie uważam wprawdzie, że cierpienie jest najważniejszym doświadczeniem transformującym, ale nie potrafię też zaakceptować ludzi głoszących wszechobecny huraoptymizm. Chociaż ja od niedawna też jestem taką radością, durną i niepokojąco infantylną.

Hip-hop.

Ci tu również wyglądali na upojonych dziką beztrąską, na dodatek nosili dziwne spodnie z krokiem w okolicach ziemi oraz koszulki, spod których wystawały młode, jędrne ciała. Chyba odstawałam od tego towarzystwa. Chyba nie chciałam stanąć na parkiecie w spodniach od dresu pamiętających czasy liceum (znalazłam je w szafie) oraz koszulce z napisem Hello Kitty, którą kiedyś kupiłam, by zachwycić przedszkolne młode damy, kochające różowego kotka miłością straszliwą. Nie czuję w sobie hip-hopu. Nie jestem specjalistką od „izolacji oraz plastycznej pracy górnej części ciała”, jak to pięknie nazwał niejaki Jeff, prowadzący naszą grupę.

Ich grupę.

I jeszcze umiejętnie użyta przepona oraz nisko ugięte kolana.

Zerknęłam na Tytusa, szukając pomocy, ale w jego oczach dostrzegłam właśnie radość. Zerknęłam więc na kobietę po prawej i moja dusza zakwiliła. Obcisły biały podkoszulek, wyrzeźbione mięśnie ramion i brzuch tak płaski, jakby jej ktoś wyciął wszystkie wnętrzości. Popielate szerokie spodnie i bosa opalona stopy. Włosy upięte w koński ogon, zero makijażu. Była apetyczna, zgrabna, śliczna, była całkowitym przeciwieństwem mojej osoby w koszulce Hello Kitty

i gdyby chociaż na moment wzrok Tytusa zawisł na tej królowej piękności, uciekłabym stąd chociażby przez komin.

Ale on patrzył na mnie.

Patrzył na mnie.

Podobno odruchowo wykonałam toprock oraz freeze, czyli zatrzymanie statyczne na kilka sekund. Nieświadomie, naprawdę. Po prostu zapomniałam, jaki jest następny krok w układzie i się zawiesiłam. I to był właśnie freeze.

Oczywiście, że myliłam się bez przerwy. Oczywiście, że nie wykonałam połowy tego co oni, częściowo dlatego, że się po prostu wstydziłam. Swojego ciała, ruchu, gestykulacji. Oblewał mnie wewnętrzny rumieniec, ostrzegał przed zachłystnięciem się samą sobą. Wskazywał palcem na moje nieskoordynowane ruchy, na moją niedoskonałość i ułomność.

Po co tu przyszłam?

– Całkiem nieźle jak na pierwszy raz.

To ta dziewczyna, która była dla mnie hip-hopową boginią. Naprawdę się do mnie odezwała i na dodatek towarzyszył temu uśmiech. Poluzowałam zapięcie wewnętrznego suwaka i odwzajemniłam przychyłność.

– Nie umiem tańczyć.

– Każdy umie. – Wzruszyła ramionami. – Zaczynasz tak, jak czujesz, a potem dorzucasz do tego technikę. Ale i tak ważniejsze są emocje. Podobało ci się?

Kiwnęłam głową.

– No. I o to chodzi.

– Ile masz lat? – Nie wiem, czemu o to właśnie spytałam, po prostu byłam ciekawa.

– Trzydzieści cztery.

Ej! To też nie jest najświeższa! Trzydzieści cztery a czterdzieści dwa to przecież żadna różnica. Jesteśmy prawie równolatkami! Na pewno też już kupuje kremy czterdzieści plus! Mam nową przyjaciółkę!

– Ty pewnie jesteś trochę starsza, ale dobrze, że syn cię namówił. Taniec jest zajebisty w każdym wieku.

Suczyna.



Październik, a może już listopad? Może wtorek, a może środa

Trudno mi przypomnieć sobie moment, w którym poczułam, że siedzę w tym po uszy. Że mnie dopadło i postawiło świat na głowie. Tak jakby to uczucie skradało się do mnie na palcach, zachodziło od tyłu, a potem spadło zniecacka i ucieszone moim zdziwieniem rozgościło się we mnie na dobre. Zaskoczyłam tą fascynacją siebie samą. Co innego zakochać się w kimś od pierwszego wejrzenia, zatopić w czyjejś poezji, pozwolić dojść do głosu zmysłom, a co innego spojrzeć na kogoś, kogo się zna od małego, zupełnie inaczej niż dotychczas. Jak? Dlaczego? Czy ktoś wcisnął jakiś guzik? I czy ja czasem nie jestem śmieszna?

W filmie *Jaja w tropikach* Robert Downey jr, biały amerykański aktor, gra australijskiego aktora, który gra czarnego żołnierza, udającego wietnamskiego farmera.

Ja jestem czterdziestodwuletnią kobietą, która udaje nastolatkę podkochującą się w facecie, który tak naprawdę jest od niej młodszy i mógłby być jej synem.

Podobny stopień paranoi.

Na dodatek znam tego faceta od dziecka.

Zajmowałam się nim tak długo, aż w końcu obie z Aurelią doszłyśmy do wniosku, że słowo „opiekunka” tylko go ogranicza. Ile miał wtedy lat? Jedenaście? Dwanaście? Tak, chyba właśnie od tego momentu nie potrzebował już starszej koleżanki do zabawy. Czasem jeszcze zostawałam na noc, kiedy jego mama zapragnęła gdzieś wyjść i wytańczyć codzienność. Ale to też się skończyło i w pewnym momencie Tytus po prostu dorósł.

Ale dalej wspierałam Aurelię w jego wychowywaniu, zwłaszcza kiedy walczyła z chłopięcym okresem dojrzewania i razem z nią piłam wino, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, gdy raz czy drugi rzuciła w niego telefonem, bo inaczej nic nie docierało. Obiecowałam, że to przejdzie, i w końcu rzeczywiście świat wrócił do normy, a Tytus jako siedemnastolatek znowu odzyskał dawnego siebie. Zniknęły pryszcze, zniknęła nonszalancja, zaczął wykluwać się pisklak zapowiadający przyjemny ciąg dalszy. Dziecięca krtań, struny głosowe i tchawica zmieniły się w dojrzałe narządy mowy. Głos stał się aksamitny, miękki, choć niski. Tembr był przyjemny, dźwięki już nie drażniły. Ręce i nogi, karykaturalnie wydłużone jeszcze jakiś czas temu, teraz nadawały jego sylwetce smukłości, z twarzy zniknęła dziecięca pulchność, a zarost powoli zaczynał walczyć o swoje miejsce. Był jeszcze delikatny, może zbyt puszysty, ale to wszystko zmieniało się z każdym kolejnym miesiącem. Tytus dojrzewał, dorastał, wychodził ze skorupy nastolatka, rozciągał się, rozpościerał niewidoczne skrzydła i szykował się do lotu. Obserwowałam to wszystko z zachwytem, w końcu był częścią mojego życia. Byłam dumna, że jestem jego drugą mamą.

A teraz daje mi kwiaty i kiedy mnie dotyka, zapominam, że mam za dużo

o całe osiemnaście lat i ciągle za mało, żeby ten bukiet wyrzucić. Zresztą, czy można być za starym na miłość? Czy im jesteśmy dojrzałsi, tym łatwiej odrzucamy wszystko, co sentymentalne? W pewnym wieku należy być racjonalnym. W jakim wieku? I dlaczego należy?

Kto wydał dekalog związków nieoczywistych i kto go przestrzega?

Najbardziej jednak martwi mnie fakt, że Aurelia nadal nie ma o niczym pojęcia, a ja nie wiem, jak i czy w ogóle jej o tym powiedzieć. W końcu odgadnię wszystko to, co mam wypisane na twarzy, i z pewnością nie zrozumie, jak mogłam ją tak oszukać.

Przyjaźń buduje się latami. Ludzi łączą wspólne przeżycia, pierwsze miłości, problemy w szkole, pracy, wreszcie zdrada, tak jak w moim przypadku. A jednak nawet największa przyjaźń wielokrotnie wystawiana jest na próbę. Afrykańskie przysłowie brzmi: „Mówić o przyjaźni jest łatwo. Sama przyjaźń jest trudna”. Pierwszą rysę na związku najczęściej wydrapuje mężczyzna, potem dziecko. U nas tego nie było. Tytus nas połączył, a kolejni faceci Aurelii w niczym mi nie przeszkadzali. Zresztą ja sama byłam mężatką, więc nie było żadnych powodów do kłótni o mężczyznę. To nie tak, że nagle nie miałyśmy dla siebie tyle czasu co wcześniej. Po prostu trochę inaczej rozłożyłyśmy proporcje.

Ale przyjaźń to nie tylko wspólne pogaduszki, zakupy i wypadki do fryzjera. To również odwaga powiedzenia prawdy prosto w oczy. Nawet kosztem wystawienia przyjaźni na ciężką próbę. I zawsze to robiłam, kiedy widziałam, że pakuje się w kolejny związek, który od początku pachniał porażką. A teraz? Przecież doskonale wiem, co by mi powiedziała. Więc milczałam, a te piwonie między mną a Tytusem rozkwitały coraz bardziej i bardziej.

Czy jestem zakochanym podlotkiem?

Nie, źle postawione pytanie.

Czy zachowuję się jak zakochany podlotek?

Chyba umiem patrzeć na to uczucie z dystansem, bo przecież mam tych kilka lat więcej, a siebie samą zbudowałam na nieco solidniejszych fundamentach niż tylko przeglądanie się w oczach mężczyzny. Nie oczekuję, że ustawi mój numer telefonu jako ICE, a moje zdjęcia zaleją jego smartfon. Nie dowartościowuję się jego komplementami i nie analizuję każdego słowa pod kątem „co też jego autor miał na myśli i czy na pewno nie chodziło mu o moje grube uda”. Nie muszę udawać lepszej wersji samej siebie, bo przecież on mnie zna od wieków. Nie będę mu wmawiać, że odżywiam się księżycowym pyłem, z łazienki korzystam tylko po to, by przypudrować noski, a włosy pod pachami nigdy mi nie wyrosły.

Może dlatego właśnie wybrał mnie? Osiemnaście lat to przepaść z punktu widzenia nastolatków. Kiedy zdawałam maturę, on właśnie się rodził. Kiedy wychodziłam za mąż, szedł do pierwszej klasy podstawówki. Kiedy oficjalnie stał się dorosły, ja lizałam rany po rozwodzie. Ale im dalej w dojrzałość, tym

paradoksalnie ta różnica zaczęła się zmniejszać. Nie kłuła w oczy, nie wywoływała uśmiechów niedowierzania, przynajmniej nie u wszystkich. Bałam się tego, bałam się śmieszności i pogardy. I tego uniesienia brwi ze zdumienia „serio, z nią?”. I owszem, zdarzały się przykre momenty, ale wcale nie było ich tak dużo, jak podejrzewałam. To raczej w mojej głowie tkwiły blokady utkane ze stereotypów.

Jedno jest w tym wszystkim pewne – nigdy nie zrobię Tytusowi sceny, że zabrał mi najlepsze lata młodości. To zrobił już ktoś inny.

Nie pamiętam, jaki mamy dzień tygodnia, dni zaczynają zlewać się w jedno

Po tym pocałunku zmieniło się wszystko. Po kolejnym już mniej, choć nadal miałam wyrzuty sumienia.

– Tytus, ja jestem w sumie twoją drugą mamą – wyszeptałam, bo wcale nie chciałam tego powiedzieć głośno. Z drugiej jednak strony trzeba nazywać rzeczy po imieniu. No i w razie czego jestem usprawiedliwiona, że przecież ostrzegałam.

– Przestań. Pomagałaś Aurelii, to wszystko. A ja cię kocham od zawsze. Za liście w parku, za kasztany, za to, że zjadałaś za mnie kaszkę, za pomoc w języku polskim, za wsparcie, kiedy rzuciłem AWF i poszedłem na weterynarię. Za to, że nie powiedziałaś mamie o spleśniałych kanapkach, które znalazłaś w szafce. I za to, że sama zrobiłaś urządzenie do waty cukrowej.

Faktycznie! Nie pamiętam już jak, gdzie i dlaczego, ale zapewne pomógł mi w tym Adam Słodowy.

Pokręciłam głową.

– Ale nie kochasz mnie jak...

– Teraz już tak.

– Jesteś osiemnaście lat młodszy. Jesteś z innych czasów, nie pamiętasz *Pory na Telesfora*. Nie wiesz, kim był Pankracy. Nie żułeś donaldów. To Adam Słodowy pomógł mi zrobić maszynkę do waty cukrowej, ale ty nie masz pojęcia, kto to jest.

Wzruszył ramionami i się roześmiał.

– Mam. Poza tym chyba od zawsze jestem od ciebie osiemnaście lat młodszy, prawda?

Owszem, ale wcześniej się nie całowaliśmy.

Tytus podszedł do mnie, usiadł na podłodze i położył mi ręce na ramionach. Mogłabym tak siedzieć i siedzieć.

– A może po prostu spróbujemy? Najwyżej nam się nie uda.

No tak. Jemu się najwyżej nie uda, a ja pęknię na milion kawałków, które wiatr rozrzuci po całym świecie. Czy bardziej odczuwam lęk przed odrzuceniem, czy może przed pochłonięciem? Czy moje deficyty emocjonalne poradzą sobie z tym, na co właśnie się decyduję? A może mogłabym być trochę singlem, a trochę w parze?

Nie. To jak bycie „prawie w ciąży”. Prędzej czy później trzeba będzie nadać temu imię. Oczywiście, że oddałam ten pocałunek, a potem wzięłam sobie jeszcze więcej. Przepelniona załóżkiem szczęścia, strachem i własną nieporadnością emocjonalną, przespałam się z chłopakiem młodszym ode mnie o osiemnaście lat. Z synem mojej najlepszej przyjaciółki.

Do tej pory nie lubiłam typu kobiety, jakim jestem. Niestety, nie potrafiłam tego zmienić. A jestem typem kobiety doklejonej. Od samego początku mojego

związku z Janem najbardziej cieszył mnie fakt, że wreszcie mam kogoś, na kim mogę się oprzeć. To pewnie naturalna potrzeba bliskości i bezpieczeństwa, ale u mnie chyba przekroczyła normę. Wszystko, co robiłam, jak również to, z czego rezygnowałam, miało związek z moim mężem. Najpierw liczył się on, a dopiero potem ja. Kiedy gotowałam obiad, najważniejsze było dla mnie to, czy jemu będzie smakował, a wybierając kierunek wakacji, patrzyłam bardziej na jego większą aprobatę gór niż moją faktyczną i niepodważalną miłość do morza.

Dlaczego nie umiałam pokazać trochę siebie? Wysunąć się raz przed szereg i powiedzieć: „kochanie, dzisiaj będzie pizza z supermarketu”. Żyć z nim, a jednocześnie mieć swoje własne pole, swój własny pokój lub chociaż szufladę, do której nikt nie miałby dostępu. Posiadanie tajemnic nie jest grzechem, jest normalnością. I nie mówię tu o zatajeniu faktu zamordowania sąsiada, tylko o małych, przyziemnych sprawach, które są tylko nasze. Czy naprawdę nasz partner musi wiedzieć, że najbardziej lubię obgryzać ptasie mleczko z czekolady i na końcu zjadać samą piankę? Czy muszę go informować, że po surowym ananasie zawsze mam rozwolnienie? Albo że kocham pewien serial tylko dlatego, że główna bohaterka jest dokładnie taka, jaka ja chciałabym być? Odważna, przebojowa i zaliczyła dwa razy seks z nieznajomym?

To nie jest kłamstwo, to prywatność, moje pudełko z maleńkimi tajemnicami, które nikomu nie robią żadnej krzywdy. Jan wiedział o mnie wszystko, miał nieograniczony dostęp do mojego mózgowego PIN-u, do każdej myśli, nieważne, czy istotnej, czy błahej. Ale to była moja wina, bo mu na to pozwoliłam. Bo uważałam wtedy, że związek polega na braku przestrzeni, na ścisłym przyleganiu do siebie.

Z Tytusem jest inaczej. Nie mówię mu wszystkiego, nie doklejam się do niego, nie zawłaszczam i sama nie jestem na każde zawołanie. Oprócz czasu wspólnie spędzanego każde z nas ma swoje godziny, minuty, a nawet doby, w które druga strona nie ingeruje. Tak przynajmniej było do tej pory i mam nadzieję, że seks tego nie zmieni.

Że nie każe mi się wczepić pazurami w młode ciało i zaklinać rzeczywistości, żeby już tak zostało na zawsze. Różnica wieku jest zbyt duża, żeby myśleć kategoriami „na zawsze”.

Nie. To nie różnica wieku. „Na zawsze” jest po prostu zbyt zachłanne, w każdym związku i w każdym układzie. Nie trzeba go deklarować i nie wolno o nie prosić. Niech się wydarzy.

Po prostu.

Czwartek jogowy, robię coś dla siebie. I dla ciała, żeby się tak szybko nie starzało. A potem jeszcze wspomnę przeszłość

Ta joga, na którą się zapisałam i o której wam wspominałam już wcześniej, okazał się genialnym zestawem zajęć odstresowujących. Dwuczęściowym zestawem – najpierw basen, potem joga. Pierwszego dnia biegłam na spotkanie jak na skrzydłach. Może to mnie odmieni? Czułam się trochę jak na koloniach – apel, wciąganie flagi, krótka prezentacja, na koniec hymn. Tutaj na szczęście wystarczyła krótka prezentacja plus ewentualny dodatek pod tytułem „co mnie boli”. Okazuje się, że bóle były różne. Najczęściej boli nadmiar obowiązków, których nie ma z kim dzielić. Bolały rozwody, chore dzieci, dzieci z problemami, śmierć w rodzinie, ogólny stres i przygnębienie. Bolała codzienność tak zwykła, że wgniatała w ziemię, bolała wredna teściowa lub utrata pracy. Jeszcze nigdy w jednym miejscu nie widziałam takiego nagromadzenia problemów. A przecież wszystkie przyszłyśmy się tylko trochę powyginać.

Czasem jednak człowiek potrzebuje absolutnie obcej i totalnie nieznajomej drugiej osoby, żeby móc się otworzyć, wygadać i nawet zostać wysłuchanym. Z przyjaciółmi czy bliskimi obchodzimy się znacznie ostrożniej – bojąc się, czy ich nie urazimy, nie wystraszymy, nie zranimy wreszcie. Człowiek obcy ma obcą dla nas wrażliwość, dlatego możemy sobie pozwolić na absolutną szczerość.

Helena ma trzydzieści osiem lat, męża z Afryki, trójkę dzieci o przepysznym kolorze skóry i nadwagę. Przyszła tu, żeby naładować się pozytywnie i zrzucić jakieś pięć kilo. Maria rozwiodła się dwa miesiące temu, Klaudia uciekła od wścibskich teściów. Zaglądali jej do lodówki i sugerowali, aby przestała kupować jogurt truskawkowy, bo truskawki się obstrzykuje jakimś świństwem, to świństwo wchodzi do jogurtu, a potem w żołądki dzieci. Klaudia kupiła przedwczoraj sześćdziesiąt jogurtów truskawkowych, wysłała je teściom w paczce, a teraz boi się, że rzucą na nią jakąś klątwę.

Pan od jogi zwija się w tak zadziwiający sposób, że nie bardzo wiem, gdzie ma kończyny. Po kilku spotkaniach umiałam zrobić tylko świecę i coś, co nazywa się embrionem. W kolejnym tygodniu zapisałam się na taniec z poduszkami. Poduszek było osiem, każda miała inny kolor i odpowiadała innej kobiecie, z którą musiałam wykonać dowolny układ taneczny, zapamiętać go i po chwili powtórzyć. Rzecz niewykonalna, ale przezabawna. Śmiech jest zaskakująco spontaniczny i rozluźnia wszystkie mięśnie, które jednak posiadam. Raz w tygodniu przed zajęciami biegnę na basen, gdzie czeka już trzydzieści innych fok i wspólnie wykonujemy balet z piłkami. Wieczorem zanurzam się w wannie z melisą, bo czasem po jodze gramy dla zabawy w dwa ognie. Nasz trener od jogi nie bierze w tym udziału, ale twierdzi, że to świetny pomysł, by wydalić z siebie negatywne myśli. Ze zmęczenia liżemy własne obolałe stopy, nie wierząc, że zwykła gra

z czasów dzieciństwa może dawać tyle satysfakcji. Helena z pewnością zrzuciła swoje kilogramy, Maria nie zapomniała o rozwodzie, ale jakoś łatwiej przeżyła rzeczywistość. Klaudia postanawia wytoczyć grzeczną, ale konsekwentną wojnę teściom.

A teraz siadamy razem w szatni, a ja decyduję się wyrzucić z siebie to wszystko, czego nie mogę powiedzieć najlepszej przyjaciółce. Te trzy kobiety z pewnością mnie zrozumieją i będą miały bardziej trzeźwy osąd sytuacji. Być może staną po mojej stronie, być może sprowadzą mnie na ziemię. Ale z pewnością nie zabiją, jak zrobiłaby to Aurelia.

– Zakochałam się w chłopaku młodszym ode mnie – mówię ot tak, po prostu i naprawdę cieszę się, że tak dobrze się nie znamy. Nic o mnie nie wiedzą, kim jestem, gdzie mieszkam, co robię, z kim się przyjaźnię. Dzięki temu są bardziej obiektywne. I mniej zaangażowane.

– Ile młodszy? – pyta z zaciekawieniem Helena.

– Osiemnaście lat – przyznaję się od razu.

– O kurwa! – To Klaudia.

– No wiem. – Spuszczam głowę. – Idiotyizm.

– Nie to miałam na myśli, po prostu trochę mnie zaskoczyłaś. A nie wydaje ci się za dziecinny? Za głupi? – pyta po chwili.

Nie. Dziwne, ale nie. Nie oceniam go w kategoriach wiedzy, inteligencji czy mądrości życiowej. Kupuję go w całości, jako kogoś, kto znowu wypełnia moje ciało pozytywną energią. Dla kogo chce mi się wstawać rano z łóżka, umalować się i nakremować ciało balsamem o zapachu mango. Wiem, że powinnam to robić dla samej siebie, ale to trudne. Samotność wypłukuje z człowieka wszystkie odruchy bycia dobrym dla własnego odbicia w lustrze. Wiele kobiet z uporem powtarza, że są silne, dzielne i na pierwszym miejscu stawiają właśnie siebie. Nieprawda. Większość z nas stoi na końcu kolejki priorytetów, a cały świat, włącznie z postrzeloną w Tanzanii małą żyrafką, jest o wiele ważniejszy niż my same.

– Ty też jesteś po rozwodzie, prawda? – Maria patrzy na mnie pytająco.

Kiwam głową.

– Ile?

– Już kilka lat.

– Nie spotykałaś się przez ten czas z nikim? – Chyba jest przerażona.

– Spotykałam, ale to nie było nic serio. A teraz wydaje mi się, że jest, chociaż dzieli nas przepaść – wreszcie mówię to głośno.

Moje pokolenie jadło z drzewa brudne mirabelki i podkradało jabłka z ogrodu sąsiadów. On żył już w czasach masmiks. Ja za dwa złote kupowałam oranżadę, ciastko i dwa lody, on mógł kupić hubba bubbę. Nie jestem też pewna, czy wie, co to znaczy zabawy na trzepaku i skakanie w gumę. Wolę nie pytać, żeby nie wyjść na dinozaurzycę PRL-u.

– A co wy razem robicie? – zainteresowała się Helena.

No właśnie. Dużo. Robię z nim więcej niż ze swoim byłym mężem. Rozmawiam, wygłupiam się, chodzę do kina, chodzę na imprezy i nawet nie padam ze zmęczenia o dwudziestą drugą. Przypominam sobie własną młodość i czasy, kiedy człowiek nie gromadził w sobie tylu smutków i drobiazgów, którymi się zamartwiał. Poza tym czuję się piękna. Tytus patrzy na mnie i tylko na mnie i wiem, że nie muszę niczego poprawiać. Staram się, jak mogę, nie wybiegać myślami w przyszłość, bo mogłabym się za bardzo wystraszyć. Choć oczywiście czasem budzą mnie w nocy moje własne lęki.

Co jeszcze? Nie skaczemy razem po kałużach i nie robimy zawodów w uzyskaniu największego balona z gumy do żucia (a tak przy okazji – ja jestem pokoleniem donaldów, a on turbo), a jednak odnoszę wrażenie, że ściera ze mnie warstwę kurzu, którym się przez ostatnie lata pokryłam.

Człowiek ma dziwną tendencję do gromadzenia smutków, którymi się okleja i które hoduje, jakby były mu do czegoś potrzebne. Martwi go wszystko, nawet jakaś przepowiednia wróża sprzed stuleci, który obwieścił jeden z tysięcy końców świata. Martwi go kulejący pies sąsiadki oraz podwyżka cen masła w Szwajcarii. W końcu zasklepia się tak bardzo w żalu i troskach całej planety, że zapomina o zwykłej przyjemności wypicia porannej kawy, bez cukru, z odrobiną masła.

Tak, masła. Proponuję spróbować, a potem opisać efekt.

Popatrzyłam na swoje trzy nowe koleżanki z jogi, basenu i ćwiczeń relaksacyjnych.

– Wszystko robimy razem – odpowiadam w końcu. – I wszystko mnie cieszy.

No, poza świadomością, że uczestniczyłam w wychowywaniu swojego chłopaka i że jego matka nie ma o naszej relacji bladego pojęcia.

Lub zielonego, do wyboru.

Na razie im tego jednak nie mówię, bo chcę podelektować się chwilą, w której dowiaduję się, że taki związek odmładza, że dzisiaj to nic wstydliwego, że przecież wystarczy popatrzeć na prezydenta Francji i że trochę mi nawet zazdroszcza. Że ja sama również odmłodziłam, że mam rozświetloną twarz, a w tym blasku giną wszelkie zmarszczki.

Biorę te wszystkie komplementy i pakuję do torebki, żeby mi starczyły na jakiś czas. Kiedy dowiedzą się, że znam Tytusa od pieluch, mogą nieco zmienić swoje nastawienie. Dlatego nie będę ich na razie uświadamiać.

W domu zaparzam sobie mocnej herbaty, którą wylewam do zlewu. Wino jest zdrowsze niż nadmiar teiny. Zastanawiam się, jakie mam szanse na jutro i na za rok? Fizycznie jest coraz lepiej. To zaledwie kilka miesięcy, ale już widzę, że joga i basen współpracują z moją skórą. Co prawda w sypialni wybieram na razie opcję niedomówień i nie pokazuję się naga w świetle dnia, ale obiektywnie muszę



przyznać, że nie jest najgorzej. Moje ciało jest odżywione, moja skóra jest nawilżona, moje spojrzenie nie wstydzi się odbicia w lustrze. Starzenie się najbardziej jest widoczne na zdjęciach, zwłaszcza tych z telefonu, dlatego weszłam w bliższą znajomość ze Snapchatem. Polubiliśmy się głównie z jednym filtrem, który zaróżowia cerę, wygładza zmarszczki i nadaje skórze przyjemną świeżość.

Wiem, oszukuję rzeczywistość.

Snapchat to mistyfikacja.

Ale przecież my wszyscy żyjemy w dyktaturze szczęścia i wiecznej młodości, więc ja tylko trochę się dopasowuję. Takie małe kłamstewko. A przy okazji dopasowuję się do świata Tytusa. Mam nawet profil na Facebooku, nie ogarnęłam jeszcze tylko Instagrama. Dziwne, zupełnie jakbyśmy przez lata mieszkali na różnych planetach. To tylko drobiazgi, ale pokazują różnice między nami. Czasem żałuję, że dzieli nas aż pokolenie, z drugiej strony mój były mąż miał prawie tyle lat co ja, a jednak nie umieliśmy się porozumieć.

Więc nie będę się już przejmować, tylko wybieram młodość ze Snapchatem.

Właśnie dostałam cudowną wiadomość. *Skorzystaj z cudownej funkcji magicznej różdżki tint brush. Za jej pomocą możesz zmieniać kolory wybranych elementów na zdjęciu, np. koloru bluzki, oczu, włosów, tła i wszystkiego, co znajduje się na twojej fotce. Wystarczy tylko wybrać kolor i obrysować dany przedmiot, a on zmieni swoją barwę!*

Hurra! Snapchat zmieni mi kolor bluzki!

Chyba poniedziałek. Jest dość ponuro na dworze, ale mnie to w ogóle nie przeszkadza

Urwałam się dzisiaj trochę wcześniej z pracy, ale Wojtek nie miał nic przeciwko temu, bo cała papierkowa robota oraz e-maile i zamówienia zostały już załatwione. Nie wiem czemu, ale od jakiegoś czasu nie potrafię wysiedzieć tych ośmiu godzin w biurze. Zupełnie jakbym miała poczucie, że coś mi ucieka i zamiast zamówień na długopisy mogłabym na przykład całować się na potęgę albo robić zupełnie inne rzeczy, w ubraniach lub bez. W przedszkolu jest trochę lepiej, tu czas biegnie zdecydowanie szybciej i nie mam wolnej chwili, żeby za dużo myśleć.

– Czy pani ma męża? – Takie oto pytanie padło ostatnio z ust pięcioletniej Zosi, która zrobiła sobie obrączkę z folii aluminiowej i z dumą założyła na palec.

– Nie mam. Ale miałam – odpowiedziałam szczerze, bo dzieci od razu wyczują kłamstwo.

– Umarł?

Dla mnie tak.

– Nie, po prostu się rozstaliśmy.

– A moja mama mówi, że będzie z tatą już do końca życia.

Pokiwałam z uśmiechem głową. Nie będę wyjaśniać Zosi, że zwrot „do końca życia” może oznaczać zupełnie co innego dla mamy, a co innego dla taty. Albo w ogóle może niczego nie oznaczać, jest po prostu związkiem frazeologicznym, mającym raczej znaczenie symboliczne niż realne. Zagadkowość życia polega na jego całkowitej nieprzewidywalności. Można obiecywać sobie szczęście, miłość i następnego dnia chwytać się za głowę, że coś takiego przeszło nam przez gardło. Można się zakochać w kimś całkowicie nieodpowiednim i dwadzieścia lat później ze zdumienia przecierać oczy, że nadal się go kocha. Nic nie jest pewne, nic nie jest „do końca życia”. I może właśnie dlatego nie powinnam za dużo analizować, tylko po prostu zjeść całe ciasteczko?

Nie ukrywam, że studiowanie filozofii bardzo mi pomogło, mogłam sobie bowiem wiele rzeczy filozoficznie wytłumaczyć i udawać, że przecież tak właśnie jest. Chcecie jakiś przykład?

No to weźmy Hegla. Według niego prawdziwa miłość to całkowita unifikacja, a zatem kochający są jednym bytem żyjącym, z kolei ich miłość przewyższa wszystkie przeciwieństwa i jakkolwiek wielość. Miłość jest bądź utożsamieniem się podmiotu z drugą osobą, bądź świadomością takiej jedności i polega na wyrzeczeniu się świadomości samego siebie i na zapomnieniu o sobie po to, by odnaleźć siebie w tym wyrzeczeniu i zapomnieniu. Ja wiem, trochę to skomplikowane, ale wybierzmy z tego najważniejsze elementy. Zapomnienie, utożsamienie się z drugą osobą.

Mam prawo nie pamiętać o tym, co było, mam prawo zacząć od nowa, bo miłość to unifikacja.

Zamykam oczy i ciągle widzę małego Tytusa.

Kupowałyśmy mu wszystko. Aurelia odreagowywała w ten sposób dzieciństwo, ja częściowo też. Nasze pokolenie do dzisiaj pamięta puste sklepy i czekoladę na kartki. Wszystkie miałyśmy takie same piórniki, identyczne tornistry i relaksy na nogach. Kolorowe, pachnące chińskie gumki do ścierania były szczytem naszych marzeń, nie wspominając o automatycznych długopisach czy klockach Lego kupowanych za dolary w Peweksie. Aurelia miała takie jedno pudełeczko, pamiętacie... A o Barbie coś tam się słyszało, ale nie każda z nas miała to szczęście, aby posiadać lalę z wielkim biustem i złotymi włosami.

Z czasem jednak zauważyłam, że Tytus szybko się tym wszystkim nudzi. Dzieciom bowiem niewiele potrzeba do dobrej zabawy. Wystarcza kałuża i patyk. Czasem drewniane kopystki i puste opakowania po jogurtach albo nakrętki słoików. Zamiast kolejnego pudła z kolejką proponowałam, żeby sam zbudował pociąg i stację kolejową. Z pudełek po zapalniczkach, pustych kartoników, tektury i kolorowego papieru. Oczywiście nie obyło się bez mojej pomocy, ale większość rzeczy potrafił zrobić sam. Kiedy wybieraliśmy się razem na spacer, zbieraliśmy liście, szyszki i żołądźce, a potem kazałam mu to wszystko ułożyć ładnie w pudełku. Dzieci lubią proste, nieskomplikowane czynności. Tytus też. Chciał być ze mną, bawić się, zbierać kamienie, szyszki, cokolwiek. Nie chciał zabawek, nie chciał kolejnych misiów.

Mówił na mnie Ko.

Przeżyłam z nim sporo.

Tupanie, pokrzykiwanie, obrażanie się i pokazywanie języka. Czasem nawet dostałam kopniaka, zdarzyło się też, że Tytus rzucił się na mnie z pazurkami niczym rozwścieczony chomik. Aurelia tylko machała ręką, ale ja początkowo byłam nieźle przerażona. Nie wiedziałam, co robię źle, próbowałam poradzić się mojej mamy, ale ona tylko powtarzała, że „to nie moje dziecko” i żebym przestała się tak bardzo przejmować. Na Tytusa mówiła „dzikus”.

Pamiętam, jak pewnego słonecznego dnia przyswoił sobie słówko „nie”. Od tego czasu wypowiadał je wyjątkowo chętnie, zmieniając tylko stopień natężenia głosu. „Nie” dotyczyło wszystkiego, niezależnie od pytania. Czasem towarzyszyło temu tupnięcie i marszczenie brwi oraz rozbajające „ko”. „Idziemy na spacer?” – pytam. „NIE, KO!” – wołał Tytus i uciekał po całym mieszkaniu. Próbowałam go dopaść i w biegu narzucić kurtkę. Pies ganiał za nami, szczęśliwy, że uczestniczy w tej cudownej zabawie.

Podręczniki psychologii, które czytałam wtedy w zastraszających ilościach, informowały, że bunt przypada na okres między osiemnastym a dwudziestym szóstym miesiącem życia, ale oczywiście są to granice ruchome i mogą się

przesunąć w górę. Bunt jest dość podobny u większości dzieci. Pojawiają się słowa „nie” oraz „daj”, a jeśli na „daj” nie ma reakcji, maluch stosuje taktykę prężenia się, kładzenia na ziemi, szarpania za wybrany przedmiot, wrzasku, ryku i ogólnej rozpaczki. Najgorzej jest w sklepach, kiedy dodatkowo ściga nas znienawidzony wzrok innych kupujących, mających zazwyczaj gotową receptę na wychowanie naszego dziecka. Albo cudzego, bo Tytus jednak nie był mój.

Otwieram oczy.

Nie był mój. Ale teraz jest.

Wkładam moją dłoń w jego i staram się nie pamiętać, że już tak kiedyś spacerowaliśmy razem, szurając nogami wśród kolorowych liści albo biegając po śniegu. Że całowałam go w te zaróżowione policzki, a on przytulał się do mnie całym sobą. Tyle że to było dwadzieścia lat temu.

Zapomnienie. Przeszłość odcinam grubą kreską, zapominam o sobie sprzed lat, zapominam też o tym, kim jestem teraz. Chcę po prostu być szczęśliwa, chcę być z Tytusem, chcę cieszyć się zwykłym dniem, a potem niezwykłą nocą.

A co mówił Schopenhauer?

Każda miłość ludzka jest zakorzeniona w miłości erotycznej, jest zatem zła, gdyż odpowiada za nieprzerwane trwanie woli życia, która jest ostatecznie wolą cierpienia.

Idiota.

Naprawdę, idiota.

– Proszę pani, czy chce pani jeszcze męża? – Zosia przebiła się przez moje filozoficzne myśli i zadała bardzo konkretne pytanie.

– Nie, nie jest mi już potrzebny. – Uśmiecham się szeroko.

– A seks?

Środa i na pewno był wtedy Halloween

Należę do tego pokolenia, które nigdy nie obchodziło Halloween, tylko gnało z rodzicami na cmentarz i, skapanie w tęsknocie za przemijaniem, z nabożeństwem szorowało nagrobne płyty. Zmieniało wodę, biegając po nią do wspólnej pompy i szukało pod świerkami ukrytych słoików, które chowało się poprzedniego roku. Jestem pokoleniem żółtych i pomarańczowych chryzantem, zapachu palonych liści i zniczy, nie tych plastikowych ze złotym zamknięciem, tylko takich zwykłych, z gliny, z rudym lub zielonym woskiem. Kiedy się rozpuszczał, wkładałam do niego ukradkiem palce i z zachwytem patrzyłam na kolorowe kapturki na opuszkach, a mama zawsze wtedy kręciła z dezaprobatą głową, że po co to i że głupi pomysł. I że się poparzę.

Tytus urodził się w czasie, kiedy chryzantemy zaczęły przegrywać z plastikowymi bukietami nagrobnymi i ze strojami kościołotrupów, w które należało się przebierać, żeby zaakcentować swój udział w Święcie Duchów.

– Pójdiesz ze mną? – spytał więc i właściwie nie czekał na potwierdzenie, tylko na mój pomysł, za kogo się przebiorę.

– Może za Pi? Albo Sigmę? – zaproponowałam.

Dość krępujące milczenie.

– No, za jednego z przybyszów z Matplanety.

Tytus tylko uniósł brwi, więc zamilkłam na nieco dłużej.

Pi i Sigma.

*Czy w latach osiemdziesiątych wylądowali u nas kosmici? Tak! I to jeszcze na statku, który przypominał model pojazdu Eagle z serialu Kosmos 1999. Jednak to nie byli zwykli kosmici. To byli Przybysze z Matplanety, których zadaniem było pomaganie Ziemiakom w poruszaniu się w skomplikowanym świecie, jakim jest matematyka.*

Pomarańczowy Pi i zielony Sigma. Odcinków całej serii było chyba dziesięć i niestety polityka przekreśliła kontynuację przygód kosmitów. Ostatni odcinek nazywał się *Królestwo Miętowego Groszka*, w którym to Pi i Sigma zajmowali się systemem dwójkowym. Wylądowali wtedy nie na Ziemi, a na planecie opanowanej przez paskudnego Groszka, który był okrągły, miał ciemne okulary oraz ciemny mieszkanie tam roślinki. Postać Groszka skojarzyła się komuś z pewnym generałem i to niestety wystarczyło, by przekreślić telewizyjne życie Pi i Sigmy.

*Matplaneta różniczkuje,*

*przecalkuje,*

*pierwiastkuje*

Wyśpiewałam to jeszcze, choć zupełnie nie wiem po co. Tytus nie miał prawa znać Pi i Sigmy, więc postanowiłam przestać robić z siebie dinozaura dalszej konwersacji i zdecydowałam się na strój meksykańskiej kobiety-kościotrupa. To

przynajmniej kojarzył z najnowszych filmów o Bondzie.

Muszę uważać.

Bo chyba za bardzo zagalopowałam się w przeszłość, gdzie nic porozumienia zerwała się, zanim dokończyłam piosenkę o Matplanecie.

*Mieszka u nas zbiór kwadratów  
oraz podzbiór tęgich walców,  
mamy innych też mieszkańców.*

Nie sposób się nie roześmiać. W osiemnastu latach różnicy mieści się całe mnóstwo ciemnych dziur, których nie można niczym zapełnić. Które trzeba ostrożnie przeskakiwać, żeby nikomu nie przyszło do głowy, że coś nie gra.

Postanowiłam nie rozmawiać więcej o Sigmie, tylko pocałować mojego młodszego chłopaka, który to akurat umiał robić doskonale, bez żadnej znajomości matplanetowych układów. Pocałować, a potem zrobić coś jeszcze, co zazwyczaj robiłam nocą, ale dzisiaj światło dnia jakoś zupełnie mi nie przeszkadzało. Jeśli czasem pojawiały się jeszcze komórki wstydu, znikwały natychmiast pod spojrzeniem Tytusa. Bo on patrzył na mnie z zachwytem, a ja z zachwytem odbierałam tę adorację. Nie uciekałam pod kołdrę, nie owijałam się muślinową koszulką ani nie gasiłam światła, byle tylko ukryć swoje czterdzieści dwa lata. On je akceptował, a wtedy nawet czterdzieści dwa staje się osiemnastką.

Na przyjęcie halloweenowe nie poszłam jako Pi ani jako Sigma, bo nie chciałam wzbudzać konsternacji na twarzy innego pokolenia. Nie zostałam też meksykańską kobietą-kościotrupem. Przebrałam się za klasyczną wiedźmę, co było dobrym pomysłem, bo wystarczyło ubrudzić twarz ciemną kredką.

– Niesamowite. – Jedna z dziewczyn spojrzała na mnie z uznaniem. – Świetnie się postarzyłaś, zupełnie jakby cię jakiś profesjonalista pomalował.

Postanowiłam nie przejmować się tym komplementem, który komplementem nie był. A w przyszłym roku owinę twarz folią spożywczą i powiem, że jestem ofiarą nieudanego zabiegu medycyny estetycznej.

Sobota jakaś całkiem przyjemna. Wydaje mi się, że w radiu usłyszałam *Last Christmas* i odrobinę mną wstrząsnęło. To już?

– Koralia, wpadnę do ciebie jutro, dzisiaj mam w przychodni urwanie głowy. A potem umówiłem się na paintball, chyba że chcesz iść z nami?

Nie.

W naszym układzie najbardziej podoba mi się to, że nie musimy spędzać ze sobą czasu bez przerwy, non stop i bez chwili dla siebie. To znaczy ja nie muszę i naprawdę mnie to cieszy. Kiedy byłam młodsza, wydawało mi się, że każdy dzień spędzony osobno, każda godzina bez siebie jest niepotrzebnym marnowaniem czasu. Ludzie, którzy się kochają, powinni wisieć na sobie, stykać się niemal ustami, by jedno oddychało powietrzem, które wydycha to drugie. W wieku czterdziestu kilku lat doceniam przerwy w związku, momenty tylko moje i tylko dla mnie. Poza tym nie jestem jeszcze gotowa, by tak całkowicie wejść w środowisko Tytusa. W jego kumpli, znajomych, jego młodsze o osiemnaście lat życie. Poczekam jeszcze trochę, muszę się oswoić ze sobą, z tym układem i z ewentualnym strachem. Stoję w ciepłutkich skarpetkach z kubkiem kawy w ręku, nie mam na sobie majtek, tylko wyciągnięty T-shirt, i jestem potargana. Stoję przed szafą i medytuję.

Tak naprawdę to powinnam jednak całkowicie zmienić zawartość mojej garderoby. Po dokładnym przestudiowaniu swojej odzieży stwierdzam z całą stanowczością, że nie jestem gotowa na romans z kimś młodszym. Po pierwsze, mam cały zestaw obrzydliwych wąskich spódnic, które jakoś chyba odruchowo kupuję, a w których wyglądam jak wsadzona w jedną nogawkę spodni. Mam też obrzydliwe garsonki, ale ponieważ pracuję trzy razy w tygodniu w firmie, to sami rozumiecie, że jakoś nic innego do głowy mi nie wpadło. Jeśli zaś chodzi o pracę w przedszkolu, to mam trzy pary dżinsów oraz siedem podkoszulek, wszystkie poplamione. Nie mogę jednak założyć niczego innego, bo jestem panią od zajęć plastycznych, więc plama to moje drugie ja. Mam też kilka cudownych flanelowych piżamek, których nigdy się nie pozbędę, oraz spodnie ogrodniczki, które kupiłam z myślą, że kiedyś zajdę w ciążę. Te spodnie dobitnie pokazały mi, że utknęłam modowo w końcówce lat dziewięćdziesiątych. Dlaczego ich nie wyrzuciłam podczas remontu?

Chciałam pójść do księgarni, ale teraz o wiele ważniejszy jest sklep z ciuchami, pod warunkiem że mają w nim dział młodzieżowy. Ubrałam się w cokolwiek i poszłam do miasta. Sobota, jest jeszcze dość wcześnie, w sklepach dopiero zapalają się światła. Wchodzę ostrożnie do jednego z nich, zupełnie jakbym musiała prosić o pozwolenie. Wygląda dość nowocześnie, lampy stroboskopowe migają w zawrotnym tempie i już po trzech minutach dostaję oczopląsu. Muzyka wlewa mi się do uszu i dudni dźwiękami, których nie lubię. Ale

kręci się tu sporo młodych ludzi, aż dziwne, że już wstali, którym najwyraźniej odpowiada taki klimat. Zaczynam więc wystukiwać nogą rytm i mrużę oczy, żeby nie oszaleć.

Szukajmy.

Na stosie zwichrzonych i wykończonych przymierzaniem swetrów leży kurtka w kolorze zgniłej zieleni, z doczepionymi naszywkami.

Myszka, serduszko, pyszczek kota zdaje się i chyba hot dog. Nawet śmieszne i trochę inne niż to, co do tej pory nosiłam. Przymierzam więc zachwycona i nawet ulegam chwilowej megalomanii, zerkając w lustro i widząc, że kurtka pasuje do mnie idealnie. Zgniła zieleń ma coś wspólnego z zielenią moich oczu, a te naszywki są filuternie zaczepne. Okręcam się na wszystkie strony i łapię wzrok jakiejś dziewczyny.

Pewnie też by chciała.

Ignoruję ją i dalej się okręcam, i nawet w myślach dokupuję podarte džinsy i może ciężkie czarne buty. Będę młodzieżowa, będę odmłodzona, będziemy do siebie pasować.

– Już? – pyta dziewczyna. Ile ona ma lat? Siedemnaście? Albo dwadzieścia siedem.

– Co już?

– Czekam, aż mi pani łaskawie odda moją kurtkę.

– Ale w sensie...

– Tak, w takim sensie. To jest moja kurtka, którą na chwilę odłożyłam, żeby przymierzyć coś innego. Chciałabym jednak pójść już do domu.

Oddaję kurtkę, czując na sobie oddech kompromitacji i słysząc chichot żenady. Ludzie udają, że na mnie nie patrzą, ale wszystko doskonale widzieli. Podrygują im ramiona i chyba mają lepszy humor. Oddaję kurtkę, próbując walczyć z piwoniami policzków. Szkoda. Była naprawdę fajna i pasowała do tych džinsów, których nie kupiłam.

Trudno, poszukam czegoś innego. Koszula w kratę, chyba asymetryczna, bo z jednej strony brakuje jej fragmentu materiału. Mam nadzieję, że to specjalny zabieg, a nie wybrakowany towar? Kupić? A jeśli znowu się skompromituję? Może ja jednak wrócę do domu, a potem raz jeszcze przejrzę szafę. Może znajdę tam jednak inną siebie. W każdej kobiecie tkwi przecież wiele kobiet, więc istnieje duża szansa, że ja również nie jestem tylko pracownikiem firmy produkującej gadzety ani panią od zajęć plastycznych w przedszkolu. Być może nie jestem tylko rozwódką ani kobietą, która oszukuje swoją przyjaciółkę. Być może moja szafa wie nieco więcej.

Wieczorem przychodzi Tytus i zapominam o szafie. Zapominam o wpadce z cudzą kurtką i o tym, że mam osiemnaście lat więcej. Jestem puchową pianką, jestem watą cukrową, jestem budyniem, waniliowym i lepkiem. Jestem puchem.



Ptasim mleczkiem również i dopiero kiedy on chichocze w łóżku, wracam na moment na ziemię i zerkam mu przez ramię.

– Co robisz? – pytam głosem anielskim, ociekającym słodyczą, ale i resztkami seksu.

– Oznaczam kolegę, który zjadłby tonę frytek.

Milknę, bo chyba się pogubiłam.

– Dzisiaj jest Coroczny Dzień Wymiany Oleju do Smażenia Frytek w Barach Szybkiej Obsługi – wyjaśnia mi uroczo.

Zdecydowanie się pogubiłam. I nie znam nikogo, kogo też mogłabym oznaczyć. Różnica pokoleń tym razem ujawniła się w Dniu Wymiany Oleju.

## Czwartek jakiś współczesny

Wspomnienia, pojedyncze dni z mojego życia, retrospekcje z tych mniej lub bardziej ważnych chwil przeplatają się w mojej głowie niemal nieustannie. Jestem chaosem, którego dotąd nie lubiłam. Ale dzisiaj wszystko wydaje mi się inne. Uporządkowane życie, posegregowane wydarzenia według godzin, dat i stopnia ważności, w niczym nie są lepsze od niegroźnej anarchii, od zakręconej rzeczywistości, w której pływam od niedawna. Lubię tę nową siebie, mniej sztywną, mniej ściśniętą, rozciągniętą jak za duży sweter.

Według jakiejś kanadyjskiej felietonistki jestem kuguarzycą. To slangowe określenie kobiety po czterdziestce spotykającej się młodszym mężczyzną. Takie porównanie do drapieżnego kota, chociaż osobiście nie czuję się jak ktoś, kto zdobył ofiarę. Mam wrażenie, że zdobyliśmy się nawzajem. Mam wrażenie, że się odnaleźliśmy, mimo dość znaczącej różnicy wieku. A ja odkrywam siebie na nowo. Wiem, jakie pułapki omijać, wiem, na co mogę sobie pozwolić. Jestem bardziej swobodna i chociaż na jego widok żołądek przemieszcza mi się w różne zakamarki mojego ciała, to mimo wszystko potrafię nad tym zapanować. Do tej pory żyłam w cieniu swojego męża, w cieniu wszystkich mężczyzn, z którymi się spotykałam. Dzisiaj jest inaczej. Uskrzydla mnie to spontaniczne wyrażanie uwielbienia. To, jak na mnie patrzy, jak dotyka, jak uśmiecha się na mój widok. Czerpię z jego młodości, z jego zaangażowania i radości życia jakąś doładowującą energię. Przypominam sobie, jaka byłam kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu.

– Idziemy na łyżwy?

Idziemy.

– Idziemy na koncert faceta, który gra tylko na sztuccach?

Idziemy.

Kiedy człowiek staje się dojrzały, zadaje sobie zbyt wiele pytań. Czy mu się opłaca, czy ma czas, ochotę, czy to jest mu do czegoś potrzebne. Młodość próbuje wszystkiego, obliczając się łakomie na kolejne smaki.

– Koralia, muszę jechać do zoo.

– Zwiedzać?

Tytus się roześmiał.

– To możemy później, znajomy prosił, żebym zajrzał do nich, bo mają problem z jedną z małpek. Dysfunkcja nerek, zobaczę, co da się zrobić.

A kiedy już zobaczył, obejrzał, osłuchał, podał leki i wyjaśnił wszystko opiekunom, porwał mnie do pawilonu nocnego, gdzie podglądały nas nietoperze, jeżatka afrykańska i lori mały. To znaczy tylko się całowaliśmy.

– Nie patrz w prawo – szepnął mi do ucha, więc natychmiast spojrzałam. Coś wbiło we mnie spojrzenie i powoli poruszyło głowę.

Tytus się roześmiał.

– Leniwiec dwupalczasty. W jego sierści mieszkają zielone i niebieskie glony. A wiesz, że leniwce uprawiają seks przez czterdzieści dwie godziny?

Zaciekawił mnie. Ale potem przyszła szkolna wycieczka, więc udawaliśmy wielkie zafascynowanie kanguroszczurem oraz filipińską wielkomyszą. Całowanie dokończyliśmy już w domu, ale jeśli chodzi o te czterdzieści dwie godziny, to niestety nie daliśmy rady.

Mam dwadzieścia osiem lat, Tytus ma dziesięć. Świetnie się rozumiemy

Kiedy przypominam sobie siebie z tamtego okresu, odnoszę dziwne wrażenie, że już wtedy najlepiej rozumiałam się właśnie z Tytusem. Ciągle jeszcze się nim zajmowałam, chociaż już nie tak często. Miał dziesięć lat, chodził do czwartej klasy i powoli stawał się coraz bardziej samodzielny. Najczęściej zostawałam z nim wieczorami, kiedy Aurelia musiała wyjść „do ludzi”, zobaczyć „życie”.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to nie ty mnie urodziłaś – powiedział do mnie pewnego popołudnia, kiedy smażyłam mu racuchy z jabłkami. Bardzo lubiłam te nasze spotkania, rozmowy, obserwowanie go, jak wyrasta z dziecięcego puchu i zaczyna z zainteresowaniem rozglądać się po świecie dorosłych. Był mądry jak na swój wiek, był ciekawy świata i ciągle jeszcze cudownie pachniał.

– Dlaczego?

– Bo wtedy byłabyś moją mamą, a mamie nie zawsze można wszystko powiedzieć. Są takie tematy, które czasem trzeba ominąć.

– Na przykład?

– Na przykład to, że chyba dostałem pierwszy list miłosny. I nie wiem, co zrobić, bo nie chcę na niego odpisywać, ale nie chcę też wyjść na potwora. Dziewczynki są dość wrażliwe i trudno jest zgadnąć, czego chcą.

Z trudem powstrzymywałam śmiech. Miał rację, co gorsza z kobietami bywało podobnie. Odgadnięcie naszych pragnień i myśli zawsze stanowiło dla mężczyzny wyzwanie i najwyraźniej w tej dziedzinie nic nigdy się nie zmieni. List oczywiście mi pokazał i rzeczywiście jasno wynikało z niego, że stał się obiektem westchnień niejkiej Marty, która zobaczyła w nim wszystko to, co ja kilkanaście lat później.

– Co mam zrobić? Ona czeka na odpowiedź, ale pewnie chce, żebym też napisał, że ją kocham. A ja niestety musiałbym skłamać.

Zastanowiłam się. W jaki sposób najdelikatniej wyjaśnić kobiecie, nawet dziesięcioletniej, że druga strona nie zamierza na razie wychodzić poza przyjaźń? Kombinowałam na różne sposoby, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– Wiem – powiedział nagle Tytus. – Nie przekreślę jej całkowicie, ale dam do zrozumienia, że na dzień dzisiejszy ten związek nie ma większych szans. Odpiszę tak, żeby nie było jej przykro, ale jednocześnie nie użyję słowa „kocham”.

Zatkało mnie.

Był mądrzejszy ode mnie, na dodatek jakimś dziwnym trafem posiadał sztukę dyplomacji dla dorosłych.

– Czuję, że na razie nie ułoży nam się tak, jak byś tego chciała, ponieważ mnie bardziej interesują psy – odczytywał głośno to, co pisał na kartce papieru. – Koralia, byłaś kiedyś w takiej sytuacji? – Spojrzył na mnie pytająco.

Zastanówmy się.

– Chyba nie, chociaż podkochiwałam się w chłopaku z równoległej klasy. Ale nigdy mu tego nie powiedziałam, bo bałam się, że mnie odrzuci. Wydawało mi się wprawdzie, że on też na mnie patrzy i czasem się uśmiecha, ale nie byłam pewna.

– Niedobrze. – Pokręcił głową. – Trzeba mówić, bo można coś przegapić.

Czternaście lat później przypominałam sobie tę naszą rozmowę.

– Tytus... – zaczęłam kiedyś, układając sobie w głowie tysiące mądrych pytań i sformułowań, żeby nie było zbyt nachalnie, zbyt agresywnie i przy okazji głupio. Ale pamiętałam, że „trzeba mówić”.

– Tak. – Kiwnął głową. – Zakochałem się w tobie. Nie bardzo wiem, kiedy to na mnie spadło, ale spadło z całą pewnością. Nie wiem również, czy zadziałał u mnie wyłącznie układ limbiczny, który podobno jest odpowiedzialny za to uczucie, ale faktem jest, że w taki czy inny sposób moje ja związane jest z tobą – wyjaśnił mi to jak zwykle na swój czarujący sposób.

Fakt, że nie miał wtedy na sobie absolutnie nic, tylko dodał urokowi tej wypowiedzi. W zasadzie nie miałabym nic przeciwko, żeby mówił dalej. O empirycznej teorii łączenia się ludzi w pary, o zbieżnych życiowych celach, o patrzeniu w tym samym kierunku.

Stop.

Tym razem wcale nie potrzebuję słów ani żadnych ustnych deklaracji. Gdyby Tytus był ze mną tylko dla kaprysu, z pewnością by mnie o tym poinformował. Gdyby ten związek na dzisiaj nie miał większych szans, a on wołał zwierzęta – również bym się o tym dowiedziała. Tak jak wtedy dziesięcioletnia Marta.

Sobota, trochę wstyd, że tam poszłam, ale potem spojrzałam na to zupełnie inaczej

Kobiety robią czasami rzeczy, do których nigdy by się publicznie i oficjalnie nie przyznały. Każda z nas ma swoje małe sekrety, które okazują się bardzo podobne. Pijemy mleko prosto z kartonika lub sok z butelki, chociaż zawsze zabraniamy tego dzieciom i mężowi, otwieramy opakowania w sklepach, żeby upewnić się, że na pewno coś nam smakuje i malujemy paznokcie lakierem, który wcale nie był testerem. Ja czasem robię coś jeszcze gorszego – zduszam czekoladowe jajko niespodziankę, żeby pękło i potem odkładam na półkę. Nie wiem, czemu to robię. Naprawdę.

Boimy się różnych rzeczy – ciemności, wysokich osób, tłoku w tramwaju, psów z wielkimi jajami. Nawet jeśli nie wierzymy w Boga, to wstydzimy się tego, co mógłby o nas ewentualnie wiedzieć i co widział, a nie powinien. Płaczymy bez powodu. Ot tak, wybuchamy nagle płaczem, oczywiście w samotności i użalamy się nad swoim losem, nawet jeśli nie jest on tak tragiczny, jak wskazywałyby na to nasze łzy. Ale bolą nas wspomnienia, kwilimy nad utraconym dzieciństwem, nad kanapkami, które robiła nam mama do szkoły, nad ptaszkiem, który wypadł z gniazda sto lat temu. Nigdy nie wiadomo, co jest przyczyną naszego płaczu i skąd on się pojawia, ale czasem wystarczy jakiś odłamek z przeszłości, jakaś nuta w piosence lub fragment obrazu, żeby zalać się łzami i rozpaczać nad swoją dolą. Potem jest już łatwiej – wystarczy przypomnieć sobie wszystkie niepowodzenia i już wiemy, że jesteśmy potwornie samotne, nawet jeśli mamy męża, dzieci, psa, kota i rybki w akwarium. Ale i tak nikt nas nie rozumie.

Inne tajemnice i sekrety są jeszcze bardziej wstydliwe. Patrzymy chętnie na obcego mężczyznę i zastanawiamy się, czy mogłybyśmy z nim, gdzie i ile razy. I czy to byłaby zdrada, gdybyśmy potem nigdy więcej go nie spotkały. Nigdy nie mówimy, ile wydałyśmy na zakupy i dlaczego kupiłyśmy czterdziesty dziewiąty czarny sweter. I czasem, ale naprawdę tylko czasem – mamy ochotę pójść na męski striptiz.

Helena, Maria i Klaudia, moje koleżanki z jogi, basenu i innych zajęć odstresowujących, namówiły mnie na takie wyjście, a w zasadzie tylko raz spytały, a ja dość szybko się zgodziłam. Oczywiście godzinę przed występem było mi głupio i nawet chciałam wszystko odwołać, ale potem pomyślałam sobie, że przecież tam będą same kobiety. A kobiet nie muszę się wstydzić.

– Ale na scenę nie dam się wziąć – zastrzegłam od razu.

– Pójdę zamiast ciebie – obiecała Klaudia.

Trochę mi było głupio, że nie zaprosiłam Aurelii, niestety strach przed demaskacją okazał się większy. Przecież one wiedziały, że mam romans z młodszym, i w każdej chwili mogły mnie o to zapytać. Aurelia nadal nie wiedziała nic i z pewnością zadałaby mi milion pytań. A ja nie mogłabym

odpowiedzieć na żadne z nich, łącznie z podaniem imienia mojego młodszego faceta. Więc może dobrze, że nie poszła.

Sala była wypełniona po brzegi. I to nie tylko długonogimi blondynkami z okazałym biustem, mającym za nic prawa grawitacji, z błyszczącymi usteczkami i nachalną młodością. Byłyśmy tu wszystkie. Stare, młode, dojrzałe. Grube, chude i te pośrodku, o których mówi się „apetyczne”. Ubrane wyzywająco i w dzinsy. Z tatuażami i całkiem gładkie, elfickie nawet. Roześmiane, roztańczone, bez żadnych drinków w rękach, bez butelki piwa nawet.

– Może zdejmą wszystko? – ekscytowała się Helena, a potem zawyła jak syrena strażacka na widok siedmiu ubranych w białe podkoszulki mężczyzn, którzy być może nie byli doskonali pod każdym względem, ale przecież przyszliśmy tu wyłącznie dla ich ciał.

Oczywiście, że nie poszłam na scenę, ryzyko obnażenia własnego wstydu było zbyt duże. Ale z zazdrością patrzyłam na Marię, która bez żadnego skrępowania położyła się na ziemi i pozwoliła na dziwne, węzowe ruchy jednemu z siedmiu apetycznych tancerzy, a nawet na bliższy kontakt z jego nagimi pośladkami. To nie jest tak, że nas to podnieca. Tu chodzi raczej o przyjemność patrzenia na mężczyzn, którzy się starają.

– Mój facet uważa, że szczytem gry wstępnej jest zrzucenie kołdry na ziemię – westchnęła Klaudia, a ja przypomniałam sobie Jana.

Poprawny, klasyczny i chyba bardzo nudny seks. Po kilku latach małżeństwa zaczęłam się wstydzić własnego męża. Nie chciałam, żeby oglądał mnie nago, nie chciałam nawet, żeby zauważył, że coś podoba mi się bardziej lub mniej. Więc pewnie jak większość par odrabialiśmy te lekcje w milczeniu, ewentualnie przy cichym niekontrolowanym stęknieniu. Z Tytusem było zupełnie inaczej. Nie krępował mnie, nie wstydziłam się jego wzroku, choć doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że moje ciało nie jest idealne. Ale jemu się podobało.

– Ten chłopak, o którym wam mówiłam... – W przerwie usiadłyśmy przy barze, żeby nieco ochłonąć. Natychmiast wbiły we mnie zaintrygowane spojrzenia. – To syn mojej przyjaciółki.

No dobrze. Powiedziałam to.

– O, kurwa – zaczęła Helena, a Klaudia i Maria tylko przytaknęły.

– Wiem. – Spuściłam głowę. – Ale naprawdę się zakochałam.

Maria zaczęła nawet nerwowo obgryzać paznokcie, a potem zapytała:

– A ona wie?

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie. I właśnie nie umiem jej tego powiedzieć. Zabije mnie.

– Z jednej strony wcale jej się nie dziwię. Jezu, jakbym ja się dowiedziała, że któraś z was bzyka moje dziecko... – oznajmiła Helena i w końcu zamówiła podwójne mojito.

– Ale on jest dorosły – zaprotestowałam natychmiast. – Ma dwadzieścia cztery lata!

– Ja wiem, moja droga, ale dla matki to ciągle dziecko. Bzykane przez starą babę, oczywiście nie mówię tu o tobie, tylko opisuję ogólnie całą tę sytuację – dodała natychmiast, widząc moje spojrzenie. – My, matki, patrzymy na to nieco inaczej. Rozumiesz, pierwsza kupka, pierwsze ząbki, podcieranie dupki, ludziki z kasztanów, te sprawy. Syn, nawet dorosły, jest oczkiem w głowie. I nie bardzo chcemy go oddać komukolwiek, a co dopiero znacznie starszej koleżance. Nie podchodzę do tego w kategorii zboczenia, ale dostrzegam maleńką perwersję zdarzeń.

Spuściłam głowę.

– To co mam robić?

– Może jej powiedz.

– Zabije mnie.

– Ale nie możesz tego trzymać w nieskończoność w tajemnicy. A jak zajdziesz w ciążę?

Wzdrygnęłam się.

– Nie, nie ma takiej opcji. Dobrze, powiem, ale teraz popatrzmy jeszcze niezobowiązująco – dodałam, wskazując brodą na scenę, na której pojawiło się właśnie siedmiu kowbojów w kapeluszach, ale bez spodni. Sala zapiszczała. Sala zaszczębiotała i zaczęła się kołysać.

Tak, to są właśnie te nasze tajemnice. A ja dorzucam do nich moją, największą, wstydliwą i skażoną moralnie.



Dwadzieścia lat temu. Tytus ma cztery latka

Karuzela.

Absolutny hit dla każdego dziecka, fruwanie i wirowanie w kółko i bez przerwy. Już kilkumiesięczne niemowlaki kochają zabawy w samolot i latanie pod sufitem w silnych ramionach rodziców. Kiedy nie mieliśmy możliwości pokręcenia się na prawdziwej karuzeli, wykorzystywałam całą swoją pomysłowość. Chwytałam go za jedną rękę i jedną nogę i kręciłam kilka razy w powietrzu. Poradniki mówiły, że w ten sposób pomagam dziecku doskonalić zmysł równowagi i uczę je, jak należy balansować własnym ciałem. Mina Tytusa mówiła, że mnie kocha nad życie i mam go jeszcze tak kręcić i kręcić.

Teraz sama siedzę na karuzeli i nie bardzo umiem z niej zejść. Kręci mi się w głowie, kręci mi się w brzuchu, nie wiem, jak złapać autokontrolę i wewnętrzny spokój.

– Myślę, że będziesz świetną mamą – powiedziała mi wtedy Aurelia, a ja bardzo się ucieszyłam. Nie wiedziałam jeszcze, że moje jajniki są mało aktywne, a szanse na zajście w ciążę równają się zeru. Cieszyłam się, że właśnie ona to powiedziała, że docenia moją opiekę nad jej synem.

Rozumiałyśmy się coraz lepiej. Ona wpuszczała mnie chętniej do swojego świata, a ja ostrożnie się w nim urządziłam. Rozmawiałyśmy na różne tematy, spałyśmy często w jednym łóżku, kiedy nie chciało mi się wracać późnym wieczorem do domu, piłyśmy razem wino i napawałyśmy się faktem, że jesteśmy kobietami.

– Nawet jeśli ciągle jesteśmy jakoś tam dyskryminowane, to jednak zdecydowanie wolę być kobietą. Mimo iż wciąż zarabiamy mniej niż mężczyźni, rzadziej awansujemy i rzadziej zajmujemy kierownicze stanowiska. Kobieta, aby awansować, musi być znacznie lepsza od mężczyzny i wielokrotnie udowodniać swoje zdolności i kompetencje. Znacznie częściej jest też narażona na łamanie praw pracowniczych, wiem coś o tym. Ale i tak jestem zadowolona. Nikt nie nazwie nas szowinistyczną świnią. Potrafimy być dwuznaczne i zawsze udaje nam się wykręcić kota ogonem. Możemy udawać w łóżku i nikt się nie zorientuje, a facet zawsze musi stanąć na wysokości zadania.

Kiwałam głową zachwycona jej wywodem.

– Nasze zachowanie zawsze da się świetnie wytłumaczyć, wystarczy, że użyjemy słowa „hormony”, nie musimy wiedzieć, co to jest wiertarka udarowa, ale jeśli zechcemy, poradzimy sobie z nią o wiele lepiej niż facet. A gdy zajdziemy w ciążę, to przynajmniej mamy stuprocentową pewność, że to nasze dziecko. No i możemy wychowywać je z inną kobietą bez żadnych głupich skojarzeń.

No właśnie. Wychowywałyśmy Tytusa wspólnie. I nawet jeśli od lat już nie potrzebuje naszej opieki, to jednak zostają wspomnienia. Czasu nie da się

wymazać, nie można go cofnąć ani zmienić. Byłam opiekunką Tytusa. Zajmowałam się nim, uczyłam pierwszych słów, opatrywałam skaleczenia. Czy naprawdę mam prawo być teraz jego kochanką?

Wio, koniku.

Bujanie, huśtanie, kiwanie i kołysanie to były jedne z naszych najbardziej ulubionych aktywności ruchowych. Kiedy był mały, kołysaliśmy go z Aurelią delikatnie w ramionach. Potem liczyło się już tylko bujanie jak najwyżej, jak najmocniej i jak najintensywniej. Wtedy był naprawdę zachwycony, a uśmiech nie schodził mu z buzi.

Ja to wszystko bardzo dokładnie pamiętam.

Ja to wszystko bardzo szybko zapomniałam, kiedy wróciłam do domu, a Tytus przyjechał godzinę później i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zaczął mnie całować tak samo mocno, intensywnie i gwałtownie, jak ja go huśtałam dwadzieścia lat temu. I jeszcze spodobało mi się to, że wcale nie musieliśmy tego robić w sypialni, tylko w przedpokoju na podłodze, a potem jeszcze raz w kuchni.

Nocą, kiedy się obudziłam, chciałam się nawet zawstydzić i poczuć wyrzuty sumienia, ale on też się wtedy obudził i po prostu musieliśmy to zrobić raz jeszcze, tyle że w łóżku.

Tytus, lat cztery:

- Ko, narysuj słonia z siusiakiem.
- A jaki ma być ten siusiak?
- Kolorowy i w autka.

Sobota, to wiem na pewno, bo takie spotkania zawsze organizuje się w soboty.  
Listopad

Spontaniczne spotkanie naszej klasy z liceum. Nie wiem, jak w ogóle doszło do skutku, skoro nikt nie utrzymywał ze sobą kontaktów, a jednak przyszli wszyscy. Oczywiście pomógł nam Facebook, na którym ostatnio przebywam częściej niż do tej pory. Śledzę głównie profil Tytusa, wiem, to żenujące, ale odruchowe.

Stłoczyliśmy się przy czterech stolikach niewielkiego pubu, w którym nawet cola smakowała piwem, wyciągnęliśmy smartfony i zdjęcia pociech małych, średnich oraz dużych (byłam jedyna bezdzietna i trochę mnie to odsunęło na dalszy plan) i przystąpiliśmy do zbiorowego żonglowania wspomnieniami.

- A pamiętasz...
- Czy wiesz, że...
- Tak, okazał się alkoholikiem...
- Kiedy to dokładnie było...?

Po trzydziestu minutach zapadło krępujące milczenie, więc aby je skutecznie zatuszować, zaczęliśmy układać towarzyskie zbiory. Stoliki się poruszyły. Asia usiadła koło Kasi, Tomek koło Piotrka, a Marcin blisko Moniki. Ta próba nie przyniosła żadnego efektu, więc zmieniono konfigurację. Marcin przesiadł się do Roberta, Asia wybrała Piotrka (chwilę później dołączył do nich Sylwek), a Kasia poszła siku. Ja tkwiłam ciągle w tym samym miejscu, może dlatego, że nie miałam dzieci i nie mogłam pochwalić się żadnym zdjęciem.

Kolejna zmiana nie przyniosła lepszych rezultatów. Poprosiliśmy więc barmana, by podkreślił muzykę, bo tylko ona była w stanie zagłuszyć przykrą świadomość, że tak naprawdę nie mamy sobie zbyt wiele do powiedzenia. Dwudziestotrzuosobowa grupa czterdziestodwulatków utknęła w pułapce własnych życiorysów, z których żaden nie był na tyle ciekawy, by zainteresować pozostałych.

Kasia była klasowym kujonem, dzisiaj szkoliła młode kadry w dziedzinie komunikacji niewerbalnej. Jej monotony głos usypiał stojące na stole popielniczki i powodował opadanie pianki w piwie.

– Mowa ciała jest nieodłącznym elementem naszych wypowiedzi. Wyróżniamy w niej dwa rodzaje zachowań: świadome i sterowane, objawiające się na przykład gestykulacją i mimiką, oraz zachowania nieświadome, takie jak pozycja ciała, ułożenie kończyn, niektóre elementy mimiki. To, w jaki sposób stoimy, siedzimy czy machamy rękami, ma ogromny wpływ na to, jak postrzegają nas inni – mówiła Kasia, a reszta...

Reszta jej nie słuchała.

Ja nawet przyłapałam się na tym, że opadają mi powieki.

Marcin miał kiedyś nietypową pasję. Wycinał z łupin po cebuli miniaturowe zwierzątka i robił to genialnie. Na odległość pachniał artystą. Niestety, dziś Marcin kolekcjonował lokaty, a raczej ludzi, którzy te lokaty zakupili.

– Czas jest największym sprzymierzeńcem rodzica inwestującego w przyszłość swoich dzieci. Im dłużej będziemy oszczędzać, tym łatwiej zgromadzimy większy kapitał przy mniejszym wysiłku. Amerykanie bardzo często rozpoczynają inwestycje na rzecz swoich pociech jeszcze przed narodzinami malucha. Najciekawsze są dzisiaj fundusze inwestycyjne z udziałem akcji. Ich zaletą jest lokowanie oszczędności w różnych formach, ogólna dostępność, bezpieczeństwo środków oraz profesjonalne zarządzanie portfelem – mówił Marcin, a reszta...

Reszta go nie słuchała.

Ja prawie zachrapałam.

Ania miała ułatwione zadanie, bo w ogóle się nie odzywała, przybita własnym rozwodem, który dopadł ją miesiąc temu i był dość nieprzyjemny, głównie dlatego, że miał młodą twarz dwudziestoletniej studentki jej męża. Obecnie byłego. Nie wspomniałam o swoim rozwodzie, bo nie chciałam reklamować siebie jako przegranej kobiety dojrzałej, wystarczyło, że Ania grała taką rolę. Poza tym mam kochanka. Młodszego. Duuuużo młodszego. Powiedzieć im o tym?

Nie odzywał się też Piotrek opętany zawodową schizą. Jako funkcjonariusz ABW bez przerwy czuwał i węszył podstęp. Miał doskonały koci słuch, który pozwalał mu słyszeć dźwięki o dwie oktawy wyższe niż przeciętny człowiek. Jego ucho było poruszane przez ponad trzydzieści mięśni (a nie sześć, jak to zwykle bywa), dzięki czemu słyszał niemal wszystko. Kaskady nalewanego z kija piwa zmieszane ze świszczącym oddechem barmana i rytmicznym cykaniem jego nakręcanego zegarka. Szepty, oddechy i westchnienia. Burczenie w brzuchu, drapanie się po głowie, a nawet szelest genitaliów. Gdy ktoś zadawał mu pytanie, patrzył na niego podejrzliwie i filtrował każde słowo. Zanim odpowiedział, pytającego już nie było.

Po prawej stronie pierwszego stolika siedziała Alina. W liceum była cichą myszką, która wstydziła się przejść przez całą klasę, by podejść do odpowiedzi albo napisać coś na tablicy. Zawsze dobrze przygotowana, nigdy sama nie podniosła ręki. Gdy została zmuszona do publicznej wypowiedzi, najpierw musiała uporać się z piwoniami na policzkach i arytmią serca. Dzisiaj Alina była potężną babą z rozlanymi nieapetycznie piersiami i dudniącym głosem.

– Żyjemy w czasach, kiedy religie zaczynają się mieszać ze sobą, przenikać do różnych krajów i zakorzeniać na cudzej ziemi. Niestety, wraz z nimi nadciąga słuszna obawa przed wpływem nowych wyznań, a zwłaszcza islamem. We Francji mówi się, że Kościół katolicki coraz bardziej traci autorytet, zwiększa się natomiast

liczba mieszkańców o rodowodzie islamskim. Co będzie, jak dotrą tutaj? Chcemy kobiet w chustach na twarzy? Brudnych facetów w czarnych płaszczach? – krzyczała prawie.

No i też nikt jej nie słuchał, bo spotkanie klasowe nie jest od tego, by roztrząsać kwestie europejskiego islamu czy religii w ogóle.

Powiedzieć im o Tytusie?

Na dworze wiało hałaśliwie, a drzewa traciły kolejne liście. Tu w środku było spokojnie, czas płynął wolno, piwo przestało smakować. Spotkanie coraz bardziej przypominało olimpiadę dla nieskoordynowanych ruchowo z filmu Monty Pythona. Po wystrzale z pistoletu każdy z uczestników pobiegł w inną stronę. Po sączącej się niczym mleko z piersi godzinie zaproponowano kolejne spotkanie (kto rzucił pomysł? Kasia? Ania? Piotrek?).

– Dobrze! – ochoczo zgodził się dwudziestotrzyosobowy chór.

Człowiek ma niepodlegające dyskusji prawo do zmarnowania sobie kolejnego wieczoru. Ale następnym razem beze mnie. Nie pasowałam do nich, nie pasowałam do takiej czterdziestki, ale może dlatego, że chcąc nie chcąc, musiałam odmłodzić swój punkt widzenia? Dlaczego z wiekiem stajemy się tak bardzo nudni? Przewidywalni w swoich decyzjach, monotoni w rozmowach. Tytus chcąc nie chcąc, pokazał mi, że radość życia polega na kolekcjonowaniu zabawnych zdarzeń, które rozcieńczają ponure dni. Z każdym kolejnym rokiem zanurzamy się w gęstniejące problemy, które ścierają nam z twarzy uśmiech. Nie ta praca, nie ten partner, dzieci też miały okazać się genialne, a wyszło jak zawsze, nie ma słońca, jest za dużo słońca, nigdy nie byłam na Malediwach, znowu w tym roku nie będzie śniegu na święta. Moje małżeństwo też gęstniało, a ja myślałam, że to naturalna kolej rzeczy. Wewnętrzna pogoda ducha, początkowa beztroska, zachwyty nad każdym dniem czy promienność poranków zamazują się, zachodzą mgłą, by w końcu zniknąć na dobre. A my nie robimy nic, żeby przypomnieć sobie sprzed lat.

– Muszę już lecieć, jestem pożądliwie oczekiwana – oznajmiłam głośno i sama przeraziłam się swoją swobodą.

Spojrzeli na mnie na różne sposoby, choć wymowa była podobna – zdegustowanie, niesmak, przedsmak obrzydzenia, niechęć i chyba pretensja. Wszystko doprawione zażenowaniem, bo przecież to, co powiedziałam, było konfuzyjnie niesmaczne. Chciałabym, żeby teraz wszedł tu Tytus. I żeby mnie mocno chwycił, przyciągnął i pocałował zniewalająco. Dla większości to towar ściśle reglamentowany, przy czym najczęściej redukowany na własne życzenie.

Wysłałam, bo i tak nikt nie zaproponował mi niczego innego.

Wysłałam i poszłam do domu, w którym naprawdę czekał na mnie Tytus, chwycił, przyciągnął i pocałował zniewalająco. A ja uniosłam się na wysokość nieba i popatrzyłam z góry na cztery stoliki, przy których siedziała ściśnięta grupa

z naszej klasy, nie odzywając się do siebie już w ogóle, mieszając piwem w kuflach i obsuwając się na samo dno własnych ponurych myśli.

Nic dziwnego, że wybrałam obiecująco-zmysłowy urok młodości, który oddalał mnie od tych sfrustrowanych twarzy, od gnuśności i letargu zbyt wczesnie starzejących się ludzi.

Ciągle ta sama sobota z przełamaniem w niedzielę. Noc głęboka

Wiadomości, które obejrzałam wieczorem, przyśniły mi się niezwykle obrazowo. Obudziłam się zrana potem.

Horror rozegrał się na jednym z osiedli w Nowej Hucie. Pewien mężczyzna przyłapał swoją żonę, niestety nagą i niestety w łóżku z obcym facetem. Nie, nie do końca obcym, znajomym rodziny, co w zasadzie było jeszcze gorsze. A wszystko rozegrało się nad ranem, kiedy prawowity małżonek poszedł po świeże bułki na śniadanie. Wrócił i...

I urwał znajomemu jądro. Ciągnął tak długo i mocno, aż pozbawił go połowy genitaliów. Zobaczyłam to we śnie i aż usiadłam na łóżku. Tytus poświstywał przez sen, ale ja wiedziałam, że nie zmrużę już oka.

Ciekawe, za co pociągnęłaby mnie Aurelia?

Piątek. Jeden z tych dni, kiedy wydawało mi się, że mogę przenosić góry

Dzieci widzą więcej i widzą bardziej. To udowodnione naukowo, więc nie ma potrzeby przytaczania bajki o nagim królu.

– Pani ma błyszczące oczy jak kupa mojego chomika – powiedziała mi dzisiaj Matyllda i nie mogłam się z nią nie zgodzić. Chomicze bobki są błyszczące, więc poczytuję to sobie za komplement.

– Pani jest jasna – dodaje Karolek i też ma rację.

Jestem jasna i błyszcząca. Jestem zakochana. Mam chłopaka. Jestem idiotką. Nie jestem.

Po prostu tak wyszło i naprawdę niczego nie planowałam. Nie jestem wyrachowaną ryczącą czterdziestką, która żywi się ciałem i krwią młodych mężczyzn. Nie dokarmiam się ich młodością, nie wgryzam w jędrne ciała, żeby zachować jędrność własnego. Ja wiem, jak to z boku wygląda i sama pewnie patrzyłabym z niesmakiem na taki układ. Zresztą proszę bardzo, nie trzeba daleko szukać. Nie rozumiem własnej matki. Ale teraz niesmak odkładam na półkę, bo jestem po tej drugiej stronie. Wy chyba jeszcze nie wiecie, dlaczego jej nie rozumiem, ale tę historię zostawię na trochę później. Bo ona wymaga dokładnego wyjaśnienia sprawy. Wróćmy na razie do przedszkola i tych wszystkich cudownych dzieci, które zauważyły, że jestem rozświetlona i jakaś inna.

– Pani jest jak kwiatek, ale nie ten, co stoi u mamy w pokoju, tylko taki z grobu – dodaje Zuzia.

W tym momencie poczułam delikatne mrowienie.

– A co stoi u twojej mamy?

– Kwiat, który je robaki.

Rosiczka? Muchołówka? Dzbanecznik?

– A ten na grobie?

Zuzia się rozpromieniła.

– Na grobie dziadka. Tata kupił u Chińczyków. Kwiatek jest czerwony i zamknięty, ale jak na niego świeci słońce, to się otwiera i śpiewa.

Okropność. Śpiewająca nagrobna roślina. Dziadek pewnie jest wniebowzięty i oby dosłownie. Wtedy nie musiałby tego słyszeć. Ale doceniłam szczerłość Zuzi i kiedy zestawiałam wszystkie te komplementy razem, równanie samo się ułożyło.

Byłam zakochana. Miałam prawo świecić, błyszczeć i rozkwitać niczym chiński nagrobny kwiatek. W układzie z Tytusem najbardziej podobała mi się spontaniczność i pewna frywolność w zachowaniu. Nic nie było zaplanowane, coś się po prostu wydarzało, a ja się cieszyłam, że nie muszę niczego planować. Mój mąż zawsze nosił przy sobie notes i tam zapisywał wszystko, co nas w życiu spotka. Chciałabym wiedzieć, czy zanotował również rozwód? Najdrobniejsze odchylenia od ustaleń bardzo go drażniły, nawet takie zupełnie niezależne od nas.



Mógł co prawda zrozumieć tsunami, ewentualnie awarię prądu, ale nie alergię. Jak wtedy, kiedy mieliśmy odwiedzić jego znajomych z pracy, a ja nagle dostałam jakiejś dziwnej wysypki. Nawet wiem po czym – po przyskanych truskawkach, których zachciało mi się w środku zimy, a które kusiły swoją czerwonością w jednym z marketów. Nie powinnam była, wiem, ale miałam na nie straszną ochotę.

– Mogłaś przewidzieć, że to się tak skończy – wyrzucił mi Jan i w ogóle nie spytał, czy mógłby mi jakoś pomóc. Byłam czerwona w czerwone kropki i wszystko okropnie mnie swędziało. – Jesteś czerwona w czerwone kropki – powiedział to, co dokładnie wiedziałam, a potem zaczął wzdychać i kręcić głową, że teraz trzeba wszystko odwołać.

– Idź sam – poradziłam mu, ale to rozwiązanie w żaden sposób go nie satysfakcjonowało. Mieliśmy iść razem i już. Tak było zaplanowane.

– Przełożyłem spotkanie o tydzień. Postaraj się następnym razem nie nawalić – powiedział jeszcze i poszedł do apteki po wapno.

Dobrze chociaż, że mu się chciało.

Z Tytusem życie było prostsze. Nikt nie ustalał, w jakich dniach i godzinach się spotykamy, co zjemy na obiad i czy w piątek pójdziemy do kina. Nie było notesu, terminarza, karteczek z notatkami. W kinie zaś nie zawsze oglądaliśmy film. Nigdy, absolutnie nigdy nie podejrzewałabym się o to, że pozwolę sobie włożyć rękę w majtki i zamiast wczuwać się w pasjonującą historię *Deadpoola* (swoją drogą niewiele zrozumiałam), sama przeżyję coś o wiele bardziej podniecającego. Oczywiście nie zawsze tak było, na przykład podczas seansu *Gdzie jest Dory?* grzecznie obejrzelismy cały film, nie mając absolutnie żadnych nieczystych myśli na sumieniu. Zresztą dookoła nas siedziały przejęte dzieci, więc nawet jeśli ta myśl jednak się pojawiła, nie wolno nam jej było zwizualizować. A sam film był oczywiście pomysłem Tytusa, który nadal uwielbiał kreskówki.

Ale już w przymierzalni w jednej z galerii handlowych znowu puściły mi hamulce i zrobiłam „to”. Uprawiałam seks wśród niebieskiego szaliczka, zielonej sukienki i siedmiu par spodni, których w ogóle nie przymierzyłam. Chciałam się nawet trochę zawstydzić, ale nie potrafiłam. Ta nonszalancja wobec przyjętych norm, to burzenie schematów o porządnym związku i nieprzestrzeganie pewnych zasad dobrego wychowania, były tak cudowne, że nie potrafiłam im się oprzeć. Czy ktoś z was uprawiał seks w przymierzalni? Wiedząc, że za beżową kotarą stoi kolejka innych ludzi i czeka ze zniecierpliwieniem, aż ktoś wreszcie wyjdzie? Zaciskając zęby, żeby nie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, a potem wyjść lekko zarumienionym i starać się nie patrzeć innym w oczy? Wcale się nie dziwię, że świecę i błyszczę jak nagrobny kwiatek dziadka Zuzi.

– A ile pani ma lat?

– Czterdzieści – odpowiadam z uśmiechem, bo te dwa nie mają żadnego

znaczenia. Poza tym czuję się znacznie młodziej. Oczywiście, że zdaję sobie sprawę z naszej różnicy wieku, ale odnoszę też wrażenie, że lustro jest dla mnie coraz bardziej łaskawe.

– Ojej – zmartwił się Kacperek – to niedługo pani umrze.

Początek grudnia, nie ma żadnego śniegu, choć wszyscy obiecywali, że będzie. Czwartek. Jeden z tych dni, kiedy filozofuję, żeby wytłumaczyć samą siebie

Związek to najtańsza i najboleśniej forma psychoterapii. Ale czy w moim przypadku również? Nie miałam toksycznego ojca, nie byłam dzieckiem porzuconym, nie szukałam mężczyzny ani podobnego, ani zupełnie innego od mojego taty. Po prostu zakochałam się bez żadnych podtekstów psychologicznych, bez grzebania we własnych emocjach, bez rozkładania na czynniki pierwsze swojej osobowości.

A relacja matczyno-synowska?

Może o to tu chodzi?

Albo o leczenie ran po rozwodzie. Mam za sobą nieudany związek z facetem dość despotycznym, choć próbującym tego nie okazywać. Może dlatego szukam teraz łągodności. A może po prostu sprawdzam swoją wartość na rynku matrymonialnym. Czy wypadłam z obiegu? Czy jestem przezroczyta? Czy mogę jeszcze zawładnąć czyimiś myślami, zawładnąć kimś tak, że postawi mnie przed własną wygodą? Czy ja eksperymentuję? Bawię się chłopcem, jego nieprzewidywalnością, jego apetytem na życie i wgryzaniem się w nie całym sobą? Mój mąż był produktem gotowym, skończonym, pewnym siebie i stanowczym. Tytusa mogę wyrzeźbić własnymi rękami, mogę go dopasować do siebie tak, jak tego pragnę. Nie, nie bawię się w damskiego Pigmaliona, ale świadomość, że mogłabym go trochę ukształtować, jest kusząca.

A jeśli jednak matka-syn?

Bo nigdy nie miałam dzieci? Bo muszę się kimś opiekować i czerpać z tego radość, patrzeć, jak rozkwita prowadzony przeze mnie za rękę?

Nie. To też nie to. Nie patrzę na niego jak na dziecko, raczej jak na mężczyznę, którego zawsze podświadomie pragnęłam. Jest i męski, i jednocześnie ciągle niedojrzały, ale to nie jest niedojrzałość nieznośna. Ona mnie bawi, rozczula i przypomina mnie sprzed lat.

O właśnie! A może to strach przed starością? Związek z Tytusem cofa mnie do czasów młodości. Pozwala pachnieć jak nastolatka, pozwala się rumienić, cieszyć z moczenia nóg w fontannie. Ale ja nie chcę ulec paranoi zachowania wiecznej młodości. Zdaję sobie sprawę z tego, ile mam lat i kim jestem. Nie chcę mieć otartych kolan i pisać na widok waty cukrowej. Po prostu nasze metryki odrobinę się rozminęły.

– Lubię przestrzeń wokół nas – powiedział mi kiedyś Tytus i doskonale wiedziałam, co ma na myśli.

Do tej pory byłam zaborcza. Nawet jeśli starałam się tego nie okazywać, to młodość niemal zawsze wymaga stuprocentowego zaangażowania od drugiej strony. Ja, ty, jedność, nawet siku trzeba robić razem. Zabierałam Janowi

indywidualność, dopiero teraz to widzę. Nie miałam swojego hobby, swoich pasji, nawet na basen nie miałam ochoty chodzić sama. Człowiek powinien składać się z prywatnych fragmentów, a nie być w całości oddanym komuś drugiemu. A każdy związek musi mieć trzy przestrzenie – własną, partnera i wspólną, będącą mieszanką tych obu. Wtedy można się dogadać, można kochać bez strachu i jednocześnie lubić samego siebie. Nigdy nie przypuszczałam, że związek z kimś młodszym dostarczy mi jednocześnie takiej psychoanalizy. Ale jest coś, z czym nadal sobie nie radzę.

Czy ja powinnam zadzwonić do Aurelii?

Dlaczego jestem tak straszliwym tchórzem?

Po tych wyczerpujących filozoficzno-psychologicznych przemyśleniach nalałam wody do wanny i zasnęłam na kanapie. Śnił mi się wielki wąż z głową mojej przyjaciółki, a im bardziej się zbliżał, tym było ciaśniej, ciemniej i zaczynało brakować mi tchu. Obudziłam się z poduszką na twarzy, na wpół uduszona. Czy to możliwe, że moje własne wyrzuty sumienia próbowały mnie zadławić? Pognałam do łazienki i bez zastanowienia weszłam do wanny. Sekundę później wyskoczyłam z niej, wrzeszcząc. Woda była lodowata.

Tytus zadzwonił wieczorem i poprosił mnie, żebym przyszła rano do przychodni, bo będzie pan Antoni, a po mojej ostatniej wizycie podobno do niego zadzwonił z podziękowaniem, że kotu jest lepiej, a ta miła pani, która go podwiozła, bardzo mu pomogła.

Szkoda, że nie powiedział „dziewczyna” zamiast „pani”, ale i tak zrobiło mi się przyjemnie.

– Dzień dobry! – Uśmiechnęłam się do niego w czwartkowy poranek, a on pokiwał głową i chyba również odrobinę się uśmiechnął.

W przeciwieństwie do recepcjonistki, która moim zdaniem popatrzyła na mnie wrogo, z mefistofelicznym błyskiem w oku. Oczywiście, rozumiem ją doskonale. Moim zdaniem ma wielką ochotę schrupać Tytusa, tymczasem okazuje się, że to ja przechwyciłam smakołyk. A pytona ciągle nie widać.

– Chętnie znowu pana podrzucę tam gdzie ostatnio – zadeklarowałam się natychmiast, a pan Antoni równie natychmiast się zgodził. Był dzisiaj ubrany w niebieską koszulę i ciemnoczekoladowy garnitur. Miał wypastowane buty i krawat w ważki. Chciałam go zapytać, czy to jakaś specjalna okazja, ale on sam się przyznał, wsiadając do samochodu.

– Imieniny.

– Wszystkiego najlepszego! – zawołałam od razu, ale tylko machnął ręką.

– Nie moje.

A potem pojechaliśmy do starej willi z bluszczem, który wyglądał jak zielony kozuch na popielatym murze. I znowu nie wysiadłam, bo nikt mnie o to nie poprosił, choć wydawało mi się, że widzę pewne zawahanie w ruchach starszego

pana. Zupełnie jakby chciał mi coś zaproponować, ale albo się wstydził, albo jednak rozmyślił. Wziął tylko kota, skinął mi głową na do widzenia i poszedł w kierunku wejścia. Odczekałam kilkanaście minut, a potem jednak poszłam za nim, ale tylko do furtki, na której wisiała czerwona tabliczka.

Dom opieki „Zosia”.

Hmm. Ciekawe, kogo odwiedza. Ale to pewnie ten ktoś ma dzisiaj imieniny.

Było mi trochę głupio, że tak podkradam jego tajemnicę, że uchylam wieczko pudełka, więc postanowiłam już dłużej nie węszyć. Obeszłam tylko willę dookoła, ale nie zauważyłam niczego specjalnego. Firanki były zasłonięte, okna milczące, a z komina wylatywał popielaty dym. Niczego się raczej nie dowiem. Wsiadłam więc do samochodu i pojechałam do pracy z mocnym postanowieniem, że następnym razem spróbuję co nieco podpytać pana Antoniego i być może namówić go na zwierzenia.

Iga przyszła dzisiaj do mnie osiem razy. I za każdym razem patrzyła dłużej niż zwykle, więc na wszelki wypadek poszłam do łazienki i sprawdziłam stan swojej twarzy.

Normalna.

Żadnego rozmazanego makijażu, zęby na miejscu, uszy również.

– Co jest? – spytałam w końcu, bo może ona widzi głębiej i zauważyła achalazję przełyku albo inne schorzenie.

– Ty błyszczysz.

Przełknęłam ślinę niepewnie, ale potem szybko doszłam do wniosku, że to jakaś metafora.

– Zakochałaś się, tak?

Mogłam się domyślić. Przecież dla dzieci w przedszkolu też byłam błyszcząca jak ten straszliwy kwiatek na grobie dziadka. Ale nie powiem nic Idze. Nigdy nie wiadomo, kto kogo zna, co komu powie i gdzie ten ktoś pojawi się tydzień później. To, co robię za drzwiami mojego mieszkania, jest tylko moje, nie muszę się tym dzielić ze światem. W ogóle nie muszę z nikim o tym rozmawiać, choć powinnam z Aurelią. To jedyna rzecz, która nie pozwala mi spokojnie spać. Tak, wiem, powtarzam się, ale to naprawdę siedzi w mojej głowie i tylko kiedy jestem z Tytusem, staram się ukryć te myśli przed sobą samą.

– Nie – powiedziałam zatem, choć bardzo chciałam ot, tak zwyczajnie po babsku pogadać z inną kobietą. Ale nie mogłam.

– Jasne. – Pokiwała głową. – Błyszczysz od stóp do głów, wiesz? Masz zaróżowione policzki, masz malinowe usta, a twoje nogi podrygują.

– Może to początki grypy? – zaproponowałam nieśmiało.

– Może. Ale takiej nieuleczalnej – dodała jeszcze i puściła do mnie oko.

Muszę bardziej uważać. I przyjść jutro do pracy w beżowym sweterku lub czymś innym równie nietwarzowym.

To naprawdę aż tak widać?

Po południu wyszłam do miasta, popatrzeć na wystawy sklepowe, popatrzeć na swoje w nich odbicie, popatrzeć na cokolwiek bez konieczności myślenia. Grudzień nie współgrał z moim stanem ducha, ale postanowiłam się tym nie przejmować. Było zimno, padało, gałęzie chygotały się niebezpiecznie, a niektóre drzewa kłaniały coraz niżej. To zdecydowanie nie była zima marzeń, ze śnieżnym puchem skrzącym się pod nogami, więc postanowiłam nie błąkać się dłużej po mieście, tylko wejść do pierwszego lepszego sklepu.

Przypadkowość jest wypadkową dziwnych splotów okoliczności. Filozofowie twierdzą, że nie ma czegoś takiego jak przypadek bezwzględny, czyli powstanie czegoś z niczego i bez przyczyny. To, że spotkałam tu dziewczynę z recepcji kliniki Tytusa, było przypadkiem zwykłym, ale ona z kolei znalazła się w tym sklepie w pewnym określonym celu. I już zupełnie nieprzypadkowo poszłam za nią do przymierzalni, wciskając mocniej na głowę czerwoną czapkę (choć dziewczyna i tak nie zwróciła na mnie uwagi), aby bardzo po kobiecemu podsłuchać jej rozmowę z koleżanką.

– Powiem ci, że nie mam pojęcia, jak go podejść. Próbuję, ale najwyraźniej wysyłam złe sygnały.

– A może kogoś ma?

– Kręci się koło niego jakaś stara baba, ale nie sądzę, żeby to była przyczyna.

Stara baba to ja. Na pewno. A facet, którego próbuje podejść to babsko, to Tytus. Nie wiem, co rozeźliło mnie bardziej, fakt, że ona ma na niego ochotę, czy zdegradowanie mnie do roli kobiety przejrzałej.

– To co planujesz?

– Pójdę dzisiaj do niego, wezmę ze sobą jakieś karty pacjentów, powiem, że coś tam się nie zgadza, a potem po prostu się rozbiorę.

O kurwa! Jak to: rozbiorę? Zdjęłam czapkę, kurtkę i zaczęłam się wachlować.

– I właśnie w tym celu zakupię tę czarną haleczkę z puszystym ogonkiem.

Chętnie bym zobaczyła wspomnianą haleczkę, ale nie mogłam przecież wsadzić głowy do cudzej przymierzalni. Poza tym jak to: z ogonkiem?

– A jeśli...

– No przestań, to przecież facet. Nawet jeśli będzie miał jakieś opory, to po prostu mu je wycaluję z głowy. Będę bardzo przytulnym króliczkiem.

Jasne! Haleczka ma ogonek króliczka. Co za tandeta!

Czy mogę tam wejść i udusić ją tym czarnym wdziankiem? Czy Tytus odwiedzałby mnie wtedy w więzieniu? Przez moment zakręciło mi się w głowie. Zupełnie zapomniałam, że nasz ewentualny związek będzie wystawiony nie tylko na próbę akceptacji otoczenia, ale przede wszystkim na ataki innych kobiet, mających znacznie mniej lat, za to jędrniejsze ciała. Czy ja w ogóle jestem w stanie

poradzić sobie z zazdrością? Przecież nie mogę na samym początku związku przestać mu ufać, śledzić z lornetką w dzień, a z noktowizorem w nocy, wynajmować detektywów lub szperać w jego rzeczach. Nie mogę wachać koszul, wkładać rąk do kieszeni jego spodni i przeszukiwać oraz mimochodem zerkać w komórkę. Posiedziałam jeszcze piętnaście minut, w końcu musiałam wyjść i nie reagować na pełne zdumienia spojrzenia innych kobiet, że skoro niczego nie przymierzałam, to co ja tam robiłam tak długo?

– Jadłam pomidorową – odpowiedziałam głośno, chociaż nikt nie pytał.

Ona tam pójdzie dzisiaj o dwudziestą. Czy powinnam ją ubiec i wyciągnąć Tytusa gdziekolwiek? Do kina, na kolację, do łóżka, do parku, nawet na lodowisko?

Nie.

Bo to babsko pójdzie tam jutro. Albo pojutrze. Prędzej czy później zastanie go w domu i pokaże swoją czarną haleczkę.

Wróciłam do siebie bardzo zmarznięta, również psychicznie. Postanowiłam nie robić zupełnie nic. Nie dzwonić, nie gryźć palców, nie zamartwiać się. Wino mi w tym odrobinę pomoże. Szkoda tylko, że mój blask, który jeszcze dzisiaj zobaczyła Iga, wyparował szybciej, niżbym sobie tego życzyła.

Czarna haleczka.

Z ogonkiem.

Co za, kurwa, tupet.

Czwartek, ciągle ten sam. Jest późno

Zadzwoń, nie zadzwoń?

Przerwać randkę?

Wino nie odpowiadało, chociaż patrzyłam w nie bardzo intensywnie.

– Mów – rozkazałam, ale było niewzruszone.

Zadzwoń?

Przecież mogę, niby tak spontanicznie, poza tym czy ja się muszę komukolwiek tłumaczyć?

Nie będę dzwonić, mam swoją godność.

Zadzwoń?

Jestem bardzo stara i bardzo nieszczęśliwa. Przez moment myślałam, że mam chłopaka, że być może jakoś ułożę sobie życie, pod warunkiem że Aurelia straci wzrok, słuch lub po prostu zobojętnieje na wszystko, że Tytus się do mnie przeprowadzi i będziemy codziennie rano pić razem kawę albo sok pomarańczowy (nie, mam po nim nadkwasotę, po kawie zresztą też, to może jednak kakao albo chociaż wodę).

Wino chyba też mi szkodzi...

Bzdura.

Naukowcy od lat przekonują, iż picie czerwonego wina wpływa korzystnie na krwiobieg i zapobiega miażdżycy. Dwa do czterech kieliszków dziennie reguluje pracę serca, zapobiega udarom, cukrzycy oraz skutkom stresu. Stres ciągle odczuwam, ale serce bije mi równo. Choć pęka.

– Wino to światło słońca uwięzione w wodzie – powiedziałam, choć ciut bełkotliwie, do lustra.

To nie moje, to Galileusz.

– Bowiem jest ono najpotężniejsze spośród napojów, najsmaczniejsze spośród lekarstw i najprzyjemniejsze spośród potraw – dodałam.

A to z kolei Plutarch.

Czy oni by zadzwonili?

Sięgam po gazetę, w której ktoś rozłożył na psychologiczne czynniki pierwsze związek prezydenta Francji i jego znacznie starszej żony. Wpatruję się w nią. Gdyby chciała, mogłaby wygładzić wszystkie te zmarszczki, mogłaby zafundować sobie młodszą, bardziej napiętą twarz. Ale najwyraźniej nie chce. Zastanawiam się nad tym fenomenem. A może po prostu Emmanuel Macron wcale nie chce, żeby jego żona była gładka. Może kocha ją właśnie za dojrzałość, za zmarszczki, za to, co się pod nimi kryje. Dlaczego zakładam, że przegram z kimś młodszym? Tytus nie jest ze mną za karę, on sam mnie wybrał. Taką, jaka jestem. Tak jak Emmanuel kocha Brigitte.

Upijam jeszcze jeden łyk wina, pociągam nosem i przypominam sobie



cudowną bajkę o motylu Emanuelu. I jest mi przykro, że Tytus nie może jej pamiętać, że nie wie, jak wyglądała Makowa Panienska. Chyba się upiłam.

Idę spać.

I nie, nie zadzwonię, mam swoją godność. Poza tym Brigitte jest starsza od swojego Emmanuela o dwadzieścia cztery lata i ciągle są razem. Jedna czarna haleczka z pewnością nie namiesza w naszym układzie.

Zasnęłam z poczuciem zmarnowanego życia. Zasnęłam z poczuciem pustki, choć nie w okolicach żołądka, w którym chlupało wino. Jak mogłam dopuścić do tego, że czarna koszulka, wróc, haleczka, właśnie tańczy przed moim chłopakiem, którego mi mieć nie wolno, bo jest synem mojej przyjaciółki. A najgorsze jest to, że nawet nie mogę do niej zadzwonić, żeby się wyżalić!

Ciągle ten sam czwartek

Za minutę północ.  
Zadzwoń?

Jest już piątek, a ja przypominam zombie

Obudziłam się z oddechem melancholii i zapachem kobiety porzuconej. Obudziłam się już w piątku, który wcale mi się nie podobał. Z jednej strony nie podejrzewam Tytusa, że mógłby tak od razu skusić się na czarną haleczkę, z drugiej jednak, wcale nie mam takiej pewności. Poza tym już raz zostałam zdradzona, a wtedy człowiek ma zupełnie inny wewnętrzny sensor podejrzeń, jest bardziej wyczulony i mniej obojętny. Postanowiłam jednak, że pierwsza do niego nie zadzwonię, nawet jeśli przeszło mi to przez myśl jakiś milion razy.

W drodze do pracy zawróciłam po przejechaniu trzech kilometrów. Nie pracuję dzisiaj w biurze, tylko w przedszkolu. Muszę się przebrać w coś mniej sztywnego, w końcu mamy w planach robienie ozdób choinkowych. Muszę też częściej się uśmiechać, bo dzieci natychmiast okleją mnie pytaniami, co się stało i czy przypadkiem nie zdechł mi pies. Boże, jak bardzo nienawidzę teraz wszystkich tych reniferków z wełny, bombek ze styropianu, łańcuchów z kolorowego papieru, szyszkowych ludzików i innych choinkowych stworów, które kompletnie nie są w stanie mnie zrozumieć! Z jednej strony ufam Tytusowi i jestem przekonana, że tej nocy nic się nie wydarzyło. Z drugiej jednak podświadomość podszeptuje mi inne scenariusze, których wcale nie chcę słuchać. Owszem, mężczyźni są wzrokowcami, ale nie wszyscy rzucają się od razu na młode, atrakcyjne ciało.

Nie wszyscy, prawda?

Cztery godziny zleciały mi nawet dość szybko, a wszystko dzięki rolkowym kartonikom po papierze toaletowym, wacie i czerwonemu kartonowi. Trzy niepozorne rzeczy, a wyklulo się z nich kilkanaście Mikołajów, którym na koniec dokleiliśmy plastikowe oczka. Łypały na mnie niepokojąco, ale może to skutki wczorajszego upojenia winem, które, nie zapominajmy, jest słońcem zamkniętym w butelce.

– Mój będzie miał na imię Zenon, tak jak dziadek – oznajmił Kacper.

– Mikołaj nie może mieć na imię Zenon. Mikołaj to Mikołaj – próbowała wyjaśnić mu Matylda, ale Kacper kompletnie nie dał się przekonać. Jego Mikołaj był Zenonem i nic nie było w stanie tego zmienić. Podobnie jak moich myśli, krążących wokół wczorajszego wieczoru, którego niestety nie byłam świadkiem, ale może to i lepiej, bo nie wytrzymałabym widoku jędrnych pośladków wyłaniających się spod czarnej haleczki. Chociaż, szczerze mówiąc, moje pośladki też są jędrne, joga działa cuda. Kobiety są zazwyczaj niezwykle krytyczne wobec samych siebie, ale ja uczciwie muszę przyznać, że moja pupa jest całkiem apetyczna.

A jeśli recepcjonistki bardziej?

– Czy pani powiedziała słowo na „k”? – Do moich uszu dobiegł przerażony

i zdumiony głos Matyldy.

Zamarłam.

Naprawdę zakląłam przy dzieciach?

– Absolutnie nie, kochanie. Powiedziałam kuna, bo przypomniała mi się pewna niesamowita historia związana z tym uroczym zwierzątkiem. To naprawdę niesamowita przygoda, kiedyś wam o niej opowiem.

I to był błąd.

Bo wszystkie dzieci chciały poznać tę niesamowitą historię z uroczym zwierzątkiem zwanym kuną nie kiedyś, ale właśnie tu i teraz.

– Proszę pani, proszę pani, co to za historia? Proszę pani, musi nam pani ją koniecznie zdradzić!

Co robić? Czy kuna to łasica? Podobna chyba, więc na pewno rodzina. Ale to chyba nie jest teraz najważniejsze. Muszę wysilić mózg, uruchomić wyobraźnię i po prostu zacząć mówić.

– Otóż pewnego dnia ktoś zaskrobał w szybę – zaczęłam niepewnie, nie mając zielonego pojęcia, co powiedzieć dalej. Pomocy!

– Kuna? – spytały chórem wszystkie dzieci, psując ewentualne zakończenie.

– Tak – powiedziałam, a dobiegł mnie jęk zawodu.

– Juuuuz? A co to za nudna historia? – skrzywiła się Matylda, więc tylko podniosłam rękę na znak, że przecież jeszcze nie skończyłam. Na czoło wystąpiły mi drobne kropelki potu. Trudno, muszę brnąć w tę opowieść.

– Otworzyłam, a kuna wbiegła do środka i zaczęła przeraźliwe piszczeć.

Co dalej? Co dalej?

Dzieci zamilkły, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

– Wtedy rozległ się dziwny hałas, tym razem zdecydowanie głośniejszy.

Słoń? Nie, to absurd. Wilk?

– Wyjrzałam przez okno, bo bałam się otworzyć. I wyobraźcie sobie, że na wycieraczkę stał ogromny borsuk i uderzał ogonem w drzwi!

Dzieci krzyknęły.

Borsuk? Co za brednie.

– Wiedziałam, że chce dostać się do środka, złapać kunę i ją zjeść. Założyłam więc czarny płaszcz mojego taty, do tego czarny kapelusz, otworzyłam drzwi i powiedziałam groźnym głosem: „Jestem myśliwym! Kunę już zjadłem, teraz chcę zjeść borsuka!”. I wtedy ten borsuk zamarł, a potem odwrócił się i uciekł co tchu do lasu!

– To pani mieszka w lesie?

Nie. W centrum dużego miasta, ale tego nie mogę im przecież powiedzieć.

– To było u mojej babci. Ona mieszka w lesie.

Dzieci kupiły ten sprytny wybieg.

– I co dalej?

O, Boże. To wszystko!

– Wtedy kuna podbiegła do cioci Koralii, zatańczyła wokół jej nóg, a w podziękowaniu podała jej srebrny pierścionek, który ciocia dawno temu zgubiła, a który znalazł się za lodówką. A wiecie, co kuny potrafią najlepiej robić? – To był głos Tytusa, który doprawdy nie wiem jakim cudem zjawił się u mnie w przedszkolu i najwyraźniej z zaciekawieniem wysłuchał opowieści o kunie. Pomysł z pierścionkiem okazał się genialny, musiałam go nawet pokazywać dzieciom, bo akurat miałam taki na palcu.

– Co robią kuny? – dopytywał się Kacper.

– Potrafią przemieszczać się na bardzo duże odległości tylko koronami drzew. Skaczą po gałęziach lepiej niż małpy. Z borsukami nie radzą sobie zbyt dobrze, ale potrafią na przykład zaatakować całkiem sporego zająca. I mają w swoich domkach spiżarnie. Gromadzą w nich jaja, które uda im się zdobyć.

Patrzyłam na niego z zachwytem pomieszanym z niemym pytaniem w oczach, czy to zrobił? Z recepcjonistką? Czy zrobił to wczoraj wieczorem, kiedy ja piłam napój bogów, który mnie zwałił z nóg?

– Co tu robisz? – spytałam po chwili, kiedy dzieci nakarmione opowieściami o kunie zniknęły w naszej małej przedszkolnej kuchni na podwieczorek.

– Mam wolne dwie godziny, więc zabieram cię na obiad, bo ostatnio jakoś bardzo nie lubię jeść sam.

Gdyby to zrobił, poszedłby teraz na obiad z nią. Jest nadzieja!

Nie ma. Ktoś przecież musi zostać w recepcji.

Tytus zachowywał się tak jak zawsze. Nie wyczułam niczego, co mogłoby mi dać jakiegokolwiek powody do podejrzeń. Oczywiście kobieta zawsze coś znajdzie, nawet chrząknięcie może być wiele mówiącą przesłanką, ale ja naprawdę nie wyczułam w jego zachowaniu żadnych zmian.

– Podjedziesz ze mną do kliniki? Mam jeszcze tylko dwóch pacjentów, a potem jestem już twój. Idziemy?

„Jestem już twój”. To urocze zdanie było ckliwe do bólu kości, ale bardzo mi się spodobało. Podobnie jak widok recepcjonistki, która wcale nie wyglądała na kogoś, kto zaliczył wczoraj udany seks w koszulce lub bez. Dziewczyna miała wyjątkowo ponury wyraz twarzy, wzrok odpychający, a na mój widok o mało nie zaszczełała.

– Pani jest pacjentką? – spytała złośliwie, ale Tytus ją zignorował. Pokręcił tylko głową i zaprosił mnie do gabinetu. Odwróciłam się jednak na moment i wyszeptalam:

– Tak, jestem pacjentką. Proszę założyć mi kartę. Mam myksomatozę. To bardzo zaraźliwa choroba wirusowa u króliczków. Poraża układ nerwowy, a czasem też zwoje mózgowe.

I zniknęłam za drzwiami z poczuciem maleńkiego zwycięstwa. My, kobiety,

jesteśmy bowiem czasem odrobinę mściwe, ale tylko w starciu z głupotą i podłością innych kobiet. Poza tym nie jestem starą babą, która kręci się wokół Tytusa. Jestem jego dziewczyną.

Grudzień, wtorek

Aurelia zaprosiła mnie na Wigilię.

Nie ma w tym nic dziwnego, od jakiegoś czasu znowu spędzamy je razem. I zawsze je lubiłam, bo ciągnęły się w nieskończoność, były senne i leniwe, smaczne i z dużą ilością wina. Czasem grałyśmy w scrabble, czasem oglądałyśmy stare filmy, a kiedyś Aurelia wyciągnęła z piwnicy walizkę ze starymi zabawkami. I tam były jej pierwsze klocki Lego. Indiańska rodzina, pamiętacie? Po tylu latach mogłam się wreszcie nią pobawić.

– Zignorowałaś mnie wtedy, wiesz? – spytałam ją, rozkładając na stole kwadraciki i budując indiańską mamę z indiańskim synkiem na plecach.

Zaśmiała się.

– Byłaś wtedy strasznym gówniarzem, nie mogłam się z tobą bawić.

– Ale ja cię uwielbiałam. Byłaś taka dorosła, miałaś czerwoną sukienkę...

– Ohyda. Wiązana z tyłu na kokardę. Mama tak mocno ścisnęła mnie nią w pasie, że nie mogłam oddychać. Ale za to miałam piękną talię.

Indiańska rodzina stanęła pośrodku stołu. Ile to już lat minęło?

A dzisiaj?

A dzisiaj nie mogę tam pójść, nie mogę tam nie pójść. Klasyczny impas. Klincz, dołek, sytuacja bez wyjścia. Nie jestem w stanie usiąść z nią przy jednym stole z wymalowanym oszustwem na twarzy. Po pierwsze, Aurelia od razu zorientuje się, że coś jest nie tak. Po drugie, nawet jeśli jakimś cudem się nie zorientuje, to ja się niechcący wygadam. Oczywiście Tytus nie widzi w tym żadnego problemu.

– Najwyżej jej powiemy. – Wzruszył ramionami.

– Nie! – krzyknęłam od razu. – Nie w Wigilię.

– Aha – powiedział bez przekonania. – Myślisz, że w Nowy Rok wypada bardziej? A może w Trzech Króli? Koralia, to nie ma sensu. Jesteśmy razem i mama to zaakceptuje.

On chyba nie zna własnej matki.

– Tytus, nie możemy. To moja przyjaciółka, a ty jesteś jej synem – wytłumaczyłam mu po raz dwusetny coś, o czym sam doskonale wiedział. Najwyraźniej jednak nie rozumiał powagi sytuacji. Dla niego wszystko było dość proste. On, ja, fakt, że jesteśmy parą. Chciałabym przejąć jego bez troskę, niestety nie potrafiłam.

To się nie uda.

– Koralia, nie jestem niepełnoletni, a ty mnie nie uwiodłaś i nie wsypałaś mi narkotyku do drinka. To była nasza wspólna decyzja, jesteśmy razem, zakładam, że będziemy, więc przemykanie w cieniu prędzej czy później się wyda. A wtedy mama będzie naprawdę wściekła.

Pokręciłam głową.

To wszystko było o wiele bardziej skomplikowane, niż mu się wydawało. Aurelia była kimś więcej niż tylko jego matką i moją przyjaciółką. Była częścią naszego życia, elementem najważniejszym, bo spinającym całą naszą trójkę. Była jak koło zamachowe, gromadzące energię i rozdzielające ją między nas. Wpuściła mnie do swojego świata, a ja ukradłam jej jego część, i to tę najważniejszą. Dla Tytusa nasz układ był prosty – kochaliśmy się, więc mieliśmy prawo do szczęścia i do obwieszczenia tej radości całemu światu. Nawet Aurelii. Dla mnie to szczęście było policzkiem wymierzonym naszej przyjaźni.

– Nie mogę. – Spuściłam głowę.

Tytus podszedł do mnie i objął mnie bardzo stanowczo.

– Nie będę cię zmuszał, ale prędzej czy później będziemy musieli jej o nas powiedzieć. A ucieczka ze wspólnej Wigilii raczej nie przejdzie. Mama od razu się zorientuje, że coś jest nie tak, i zacznie drażnić. A ty wiesz, że wtedy nie mamy żadnych szans.

– Mogę przecież wyjechać.

– Jasne. Na wyspę Honsiu na przykład. Koralia, to absurd.

No wiem.

Ale nie umiem inaczej.

I wtedy z pomocą przyszli mi moi rodzice, którym prawie udało się zostać doskonałym alibi dla mojej wigilijnej rejterady. Oczywiście zrobili to nieświadomie i koniec końców nic z tego nie wyszło, ale pojawiła się duża szansa. I nawet Aurelia zrozumiała, że jestem im teraz bardzo potrzebna. A zwłaszcza tacie.

Najpierw zadzwoniła mama i oznajmiła, że jestem zaproszona na Wigilię do nich. A potem zadzwonił tata i powiedział, że będzie w te święta całkiem sam i zupełnie nie wie, jak sobie poradzi.

To sprzeczność, wiem, dlatego muszę znowu odrobinę cofnąć się w czasie i wyjaśnić wam te wszystkie nieścisłości.

Zaczął się latem, ale do mnie dotarło znacznie później. Chyba w październiku

Od jakiegoś czasu za każdym razem, kiedy dzwoniłam do rodziców, odbierała tylko mama. I za każdym razem mówiła mi, że ojciec znowu tam pojechał i że ona ma tego serdecznie dość.

Nie wiem, o czym wtedy myślałam. O rybach? O golfie? Nie, tata nie grał w golfa, ale może jakiś kolega go namówił? Niestety, w głowie siedział mi tylko Tytus i moja coraz większa fascynacja nim jako mężczyzną i kompletnie nie zwracałam uwagi na marudzenie mamy oraz na jej podenerwowany ton. Kiedy zatem zadzwonił do mnie tata, właśnie jakoś tak w okolicach października, a tłem naszej rozmowy były łyse konary drzew za oknem, poczułam dziwny niepokój.



– Poczekaj – przerwałam mu na chwilę. – Jak to mama się wyprowadziła?  
Bo właśnie to powiedział mój ojciec.

Mama się wyprowadziła.

Życiowe rewolucje, podobnie jak życiowe nieszczęścia, najwyraźniej lubią chodzić parami. Mój świat wirował, świat moich rodziców, bez dwóch zdań, również.

Tym razem nie pozwoliłam tej informacji nie dotrzeć do mnie i ulecieć przez okno, tylko natychmiast wsiadłam w samochód i pojechałam do rodziców. Czy raczej do taty.

– Co się stało? – spytałam jeszcze, zanim zdążył otworzyć drzwi i wpuścić mnie do środka.

Wyglądał jak niedokończone ciasto. Jakby ktoś za wcześnie wyjął go z pieca i nie pozwolił się przyrumienić. Był blady, lejący i wychodził z własnych konturów. Jeszcze go takim nie widziałam. Zaprowadziłam go więc do pokoju, posadziłam w fotelu i zaparzyłam herbatę. Ogarnęłam też szybkim wzrokiem kuchnię i od razu zrozumiałam, że mamy tu chyba rzeczywiście dawno nie było. Chleb leżał nieschowany do pojemnika, suchy i pokruszony, brudne kubki wygrywały pojedynek z czystymi, szmatki do naczyń nie znalazłam żadnej, a pomidor wchodził w trzecie życie. Brakowało tylko robactwa, bo dwóch niemrawych much nie liczę.

Mamo!

Okazało się, że sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli już latem tego roku. Wróc. Latem ubiegłego roku, kiedy tata postanowił samodzielnie zbudować łódkę, a następnie popłynąć z nią mamą przez mazurskie jeziora. Nie łódkę. Jacht żaglowy. Mama od samego początku była temu przeciwna, głównie ze względu na swoją chorobę morską, niechęć do wody oraz brak umiejętności pływania. Tata uznał jednak, że to wszystko można pokonać, a rejs łódką zbudowaną własnymi rękoma to będzie najpiękniejszy moment w jej życiu. Zapomniał najwyraźniej, że oboje mają już ponad osiemdziesiąt lat, a w takim wieku wszelkie zmiany są zdecydowanie trudniejsze. I jeśli mama dotąd nie nauczyła się pływać, to szanse, że zrobi to w najbliższym czasie, rzeczywiście były niewielkie.

Pamiętam budowę tego jachtu.

W wynajętym garażu, niedaleko Jeziora Kierskiego. Tata oczywiście posiadał wiedzę skutniczą, bo od najmłodszych lat fascynowały go łodzie, ich budowa, ich funkcjonowanie, jednym słowem: wszystko. Ale to była bardziej wiedza teoretyczna, zresztą nigdy nie pływaliśmy, a na wakacje częściej wyjeżdżaliśmy nad morze niż nad jeziora. W wieku ponad osiemdziesięciu lat mój ojciec postanowił przekuć teorię w praktykę. Oczywiście, że nie robił wszystkiego sam.

– Gotowy kadłub już mam. Można dzisiaj kupić wycinane komputerowo ze

sklejki elementy łódek o długości od trzech do nawet dziewięciu metrów! – ekscytował się, nie znajdując jednak zrozumienia w naszych oczach. – Do zestawów dołączone są plany konstrukcyjne, wręgi, grodzie, poszycie. Zostaje tylko połączyć wszystko drutem i skleić całość. A potem zacznę sobie dłubać!

No i dłubał niemal codziennie, zostawiając mamę samą w domu. Początkowo jej to nie przeszkadzało, z czasem tak, ale na krótko, a potem postanowiła poszukać sobie innych zajęć dodatkowych, skoro odpadało jej wspólne życie z mężem. Tata zniknął w świecie loczków, szekli, kabestanów, lin i kotwic, mama zaś zaczęła urządzać ogród sąsiadowi.

Tonacja żółta.

Latem zaczęła od aksamitek i nagietków. Spośród liściastych drzew i krzewów wybrała kwitnący na żółto pięciornik, złotlin, złotokap i żarnowiec. Z iglaków zaś – cis pospolity, odmiany Summergold oraz Fastigiata Aurea. Pamiętam to, bo opowiadała mi o tych roślinach tyle, że myślałam, iż projektuje własny ogród. Podobnie, zdaje się, myślał tata. Największym prztyczkiem w nos była jednak informacja, iż mama wyprowadziła się do domu graniczącego z jej własnym żywopłotem z iglaków. Tata więc ją widywał, jednak kilka metrów dalej i zdecydowanie nie w swojej kuchni.

Naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć. Własny życiorys, własne zawirowania i wreszcie romans z synem przyjaciółki tak bardzo wypełniły mi dni i noce, że kompletnie zapomniałam o jachcie ojca i rozgoryczonej tą decyzją mamie.

– Kupiłem ostatnio okazji maszt z nierdzewnymi okuciami i aluminiową likszparą, ale jakoś mnie to nie cieszy. Bo z kim ja popłynę w ten rejs? – Tata pociągnął nosem, a ja postanowiłam przespacerować się do sąsiedniego domu.

Ktoś musi przemówić mamie do rozsądku!

Zaczęła tradycyjnie. Klasyczna ucieczka od tematu, skierowana na ogród, choć naprawdę nie interesowało mnie, co ma do powiedzenia na temat bluszczu. Ale mama musiała dokończyć.

– Wśród pnączy ciekawe są zielone bluszcze, a także chmiel japoński, który cieszy nie tylko swoimi liśćmi, lecz również szyszkami. Do oryginalnych pnączy należy kardiospermum, które daje owoce w kształcie pustych w środku, zielonych kul.

– Mamo! Co ty tu robisz? Pomyliłaś drzwi?

Wzruszyła ramionami.

– Pomyliłam życie. Ale już znalazłam na powrót właściwą ścieżkę.

– Mogę wejść? Jesteś sama?

Znowu wzruszyła ramionami, zupełnie jakby jej było wszystko jedno.

– Chwilowo. Karol pojechał po awokado.

Wzdrygnęłam się. Jaki Karol, u diabła? To znaczy domyślam się jaki, ale w ustach mamy zabrzmiało to jakoś lubieżnie. Nie przekreśla się tylu lat wspólnego życia tylko dlatego, że ojciec buduje jacht! Nie rzuca się domu i męża dla jakiegoś Karola, nawet jeśli pojechał on specjalnie po awokado dla matki.

– Mamo, co ty robisz? – spytałam, wchodząc ostrożnie do obcej kuchni i siadając na obcym krześle.

Kuchnia była niebieska i bardzo mi się nie podobała. Niebieskie szafki i niebieski stół, zupełnie jakby jej właściciel uparł się na jeden kolor. Nawet kubki do kawy były niebieskie, na szczęście sama kawa – czarna. Upiłam duży łyk, sparzyłam język, co mnie rozzłościło, podobnie jak obojętna mina mamy.

– Kim jest Karol?

– Do niedawna jeszcze był naszym sąsiadem, teraz mieszkamy razem. Karol jest emerytowanym nauczycielem fizyki, a obecnie moim partnerem. Jest jedenaście lat młodszy, jeśli cię to interesuje, i choć ja nie odczuwam żadnej różnicy wieku, twój ojciec twierdzi, że to gorszące.

Zamilkłam na moment.

Młodszy?

Jedenaście lat...

– Co znaczy, że nie zauważasz żadnej różnicy? – spytałam po chwili, bo w zasadzie to w tej chwili zainteresowało mnie najbardziej.

Mama spojrzała na mnie zaskoczona. Pewnie spodziewała się oburzenia, ataku histerycznego śmiechu lub choćby pogardliwego wzruszenia ramionami, ja tymczasem zadałam jej bardzo konkretne pytanie.

Ponieważ bardzo mnie ono dotyczyło.

– No, po prostu ta różnica nie ma żadnego znaczenia. Po jakimś czasie liczy się głównie to, czy potrafimy patrzeć w jedną stronę. Twój ojciec jest prawie w moim wieku, ale spogląda zupełnie gdzie indziej. A ja zrozumiałam, że ciągle jeszcze mam prawo być szczęśliwa. Nie lubię być sama i nie lubię rozmawiać z garnkami. Wolę żywego człowieka. Karol jest żywy i przebywa w domu.

– No, chyba że wyskakuje po awokado – zauważyłam, odrobinę tylko zgryźliwie.

Machnęła ręką.

– Wskoczył dla mnie. To też jest nie bez znaczenia.

– Ale tata jest nieszczęśliwy...

Wzięła głęboki oddech.

– W pewnym wieku musimy wybrać, czyje nieszczęście obchodzi nas bardziej: własne czy drugiej osoby. Lub inaczej: czyje szczęście jest dla nas ważniejsze. Myślę, że mam prawo do odrobiny egoizmu. Oczywiście, że mogłam wybrać ojca i dalej udawać, że wszystko jest w porządku. Mogłam zrezygnować z siebie po to, by on czuł się dobrze. I teraz mi odpowiedz: dlaczego? Dlaczego to

on miałby czuć się dobrze, a ja siedzieć ze ściśniętym sercem w domu? Dlaczego nie wolno mi pomyśleć tylko o sobie? Mam osiemdziesiąt cztery lata. Pozwól mi żyć na własnych warunkach.

Aurelia.

A jak to jest z nami? Czy mam prawo ją zignorować, bo przecież liczy się głównie moje szczęście, czy jednak powinnam wziąć ją pod uwagę? Jest moją przyjaciółką, kimś, kogo znam od lat, kto zna mnie, kto nieraz mi pomagał, nieraz wyciągał z dołka lub szturchał znacząco, żebym się wreszcie otrząsnęła. Czy mam prawo to zlekceważyć tylko dlatego, że moje „ja” jest ważniejsze?

– I powiem ci coś jeszcze – ciągnęła mama. – Tu nie ma żadnych idealnych rozwiązań. Obojętnie, co postanowię, ktoś dostanie po dupie. Nie wiem, ile zostało mi lat, może rok, może dziesięć. Poświęcić je? Czy zjeść ze smakiem być może ostatnią w moim życiu porcję truskawek?

Dopiłam kawę i nalałam sobie jeszcze jeden kubek. Powiedzieć jej o Tytusie?

Nie! Przecież go zna, sama czasem pomagała mi w opiece nad nim. Mógłby być jej wnukiem! To jednak zdecydowanie inna sytuacja, bardziej skomplikowana i bardziej krępująca, również dla niej. Co prawda nigdy nie uważała się za prawdziwą babcię Tytusa, ale nieraz pomagała mi go kąpać i przewijać. Chyba nie będzie chciała wiedzieć, że ten mały szkrab, obecnie nieco już wyrosnięty, uprawia ze mną seks.

– A ta różnica wieku... – zaczęłam znowu, ale mama natychmiast mi przerwała.

– Daj spokój, jej nie ma. Jest tylko zapisana gdzieś w dokumentach. I mam nadzieję, że chociaż ciebie nie oburza. Facet z młodszą kobietą u boku jest zjawiskiem normalnym, odwrotność tej sytuacji wszystkich zniesmacza. Trzeba wtedy takiej parze koniecznie dokuczyć, ośmieszyć ją, uszczypnąć boleśnie. A przynajmniej kobietę. Popatrz na prezydenta Francji. O jego żonie mówi się, że jest mumią. Co za skandaliczny nietakt – uniosła się mama i nawet uderzyła lekko dłonią w stół.

– Wiesz, bo ja też spotykam się z kimś młodszym – zaczęłam ostrożnie. Nie powiem jej, że to Tytus, przynajmniej nie od razu. Na początek wybadam grunt.

Mama uniosła brwi i odkaszlnęła.

– Młodszym? Jak bardzo?

– Podobnie jak u was, no może trochę więcej. Piętnaście – skłamałam.

– To sporo.

– Mamo, sama przed chwilą mówiłaś, że te różnice w pewnym wieku nie mają żadnego znaczenia. – Spojrzałam na nią oburzona.

– Miałam jednak na myśli mój wiek. W twoim przypadku nie jestem tak do końca pewna. – Mama zmarszczyła nos. – Czym zajmuje się twój partner?

Uwaga, przesłuchanie.

– Jest lekarzem.

– Nie za młody?

Odjęłam szybko w głowie piętnaście od czterdziestu dwóch. Dwadzieścia siedem. Sześć lat studiów... To chyba powinien teraz robić specjalizację.

– Robi specjalizację z chirurgii klatki piersiowej – wymyśliłam na poczekaniu. W końcu serce tam właśnie się znajduje.

– Jak ma na imię?

– Marek.

Nie wiem, dlaczego to właśnie imię przyszło mi do głowy.

– A jak się poznaliście?

Chyba niepotrzebnie jej o tym powiedziałam. Połowę zapomnę i prędzej czy później wszystko się wyda.

– Na urodzinach koleżanki.

Mama popatrzyła na mnie przeciągle.

– Ale naprawdę, aż piętnaście lat? I jak się z tym czujesz?

Problem polega na tym, że doskonale. Że wyjątkowo. Lubię jego młodość zamkniętą w dwudziestoczteroletnim ciele, lubię jego spontaniczny śmiech, to, jak tańczy, jak masuje psy i koty, jak fascynuje go świat, w który tak naprawdę dopiero wchodzi. I lubię, kiedy się mną zachwyca.

– Jest w tobie taki spokój. I niezależność – mówi do mnie, a ja chyba wiem, co ma na myśli. Nie potrzebuję już partnera, żeby się na nim uwiesić. Tak było z Janem i nie skończyło się zbyt dobrze. Nie szukam kogoś tylko po to, by dopaść swój profil na Facebooku i pochwalić się nowym statusem „w związku”. Nie udaję kurczątką, które zwichnęło sobie skrzydełko, bo sama umiem je nastawić. Wbrew pozorom jestem bardziej samodzielna niż jeszcze parę miesięcy temu. Tytus nauczył mnie partnerstwa, choć jest o piętnaście lat młodszy.

Wróc. O osiemnaście, to piętnaście to wersja dla mojej matki. A właśnie, ona o coś zdaje się pytała.

– Doskonale się czuję. – Uśmiechnęłam się w końcu. – Doskonale mam.

A potem wrócił Karol, odrobinę zdębiał na mój widok i chyba nawet się speszył, ale i tak zaproponował guacamole domowej roboty. Miał dość sympatyczną twarz, siwe włosy zaczesane do tyłu i agrestowe oczy. Ciągle jednak trzymałam stronę taty, więc mój uśmiech był dość powściągliwy, z drugiej jednak strony nie mogłam mamie nie przyznać chociaż częściowo racji.

Kabestan kontra guacamole.

No i jednak jest młodszy.

Miała prawo wybrać to drugie.

## Znowu grudzień

Zadzwoiłam do Aurelii i wyjaśniłam jej, że w tym roku wspólna Wigilia może nam się nie udać. Opowiedziałam jej o mamie, tacie, o tym, że w wieku osiemdziesięciu kilku lat zaczęli przemeblowywać swoje życie, przy czym mamie się to jakoś udaje, z kolei tata całkowicie się pogubił. I że bardzo ją przepraszam, ale absolutnie nie mogę zostawić taty samego. Jestem podła, bo tak naprawdę cieszyłam się, że mam niepodważalne alibi.

– Wiem – przerwała mi.

Niby skąd?

– Twój tata do mnie zadzwonił dokładnie w tej samej sprawie. Powiedział, że nie chce być sam i czy mogłabyś zostać u niego na całą Wigilię.

Uff, co za ulga.

– Więc oczywiście się nie zgodziłam, bo co to za pomysł wy tam, ja z Tytusem tutaj. Zaprosiłam zatem twojego tatę.

Nie!

– Zgodził się? – spytałam z resztkami nadziei, że grzecznie odmówił.

– No jasne! Wydaje mi się, że nawet się ucieszył.

Tato! Jak mogłeś?

– Swoją drogą nie spodziewałam się takiej akcji po twojej mamie – zaśmiała się. – Ale podziwiam. W tym wieku większość ludzi nie nadaje się do żadnych zmian w życiu, co dopiero tak radykalnych. A ona jednak zawalczyła o siebie.

Nie jestem pewna, czy o mnie też by tak powiedziała.

– To fakt, ale jednak szkoda mi taty – bąknęłam do słuchawki.

– Oj tam, da radę. W najgorszym razie to my z nim popłyniemy tym jachtem po mazurskich jeziorach.

Nie, Aurelio. Bo kiedy dowiesz się, co wyprawiam za twoimi plecami, już nigdy nie będziesz chciała ze mną robić czegokolwiek razem. Ewentualnie utopisz mnie w mazurskim jeziorze, a każdy sędzia, zwłaszcza sędzia kobieta, na dodatek matka posiadająca syna, uniewinni cię już na pierwszej rozprawie.

– Ach – westchnęłam tylko, bo zabrakło mi kolejnych argumentów.

– Co ach? – zdziwiła się moja przyjaciółka. – Ostatnio jakoś ciężko się z tobą rozmawia. Nie wzdychaj, tylko ciesz się na wspólne święta. A swoją drogą poznałaś już tego nowego faceta twojej mamy? Podobno jest młodszy?

Wymamrotałam coś pod nosem, że owszem, ale to przecież żadna zbrodnia.

– No pewnie, że nie. Wcale tak nie uważam – zdziwiła się moja przyjaciółka. – Sama się zastanawiam, jak by to było z młodszym – roześmiała się nagle, a ja poczułam, jak oblewam się potem, dosłownie i w przenośni.

Kiedy się rozłączyła, moja wewnętrzna dusza, lub cokolwiek innego, co we mnie siedzi, zawyla potępieńczo. Nie jestem w stanie dłużej tego ciągnąć. Prędzej

czy później bańka pęknie, a my z Tytusem pospadamy z dużej wysokości i o ile on może to jakoś przeżyć, ja prawdopodobnie roztrzaskam się na kawałki.

Uciekłam do zatłoczonego miasta, żeby nie musieć słyszeć własnych myśli. Skupię się na prezentach, skupię się na świątecznej atmosferze, plim plam, jestem wesołym szczygiełkiem, napiję się grzańca, pójdę do księgarni. Wybiorę jakiś prezent dla Aurelii.

Stoję właśnie przed półkami z literaturą kobiecą i jako osoba zakochana chyba automatycznie skupiam się głównie na różowych okładkach. Po kilku minutach czuję mdłości. Swoją drogą w dziwną stronę poszliśmy. Kiedyś kupowanie harlequinów było czymś wstydlwym i każdy udawał, że zupełnie nie wie, skąd „to” się u niego wzięło. Dzisiaj z harlequinów robi się bestsellery, a z ich autorki mentorki i przewodniczki po kobiecej duszy. Niestety, jakość tych dzieł nie uległa żadnej zmianie. Z przerażeniem przeglądam polecane powieści i zastanawiam się, co było pierwsze? Głupi czytelnik czy głupia książka? A może to ja jestem głupia?

„Ich połączone dłonie stopiły lód”, „Spojrzała na niego z rozbłyskiem w oku”. Z rozbłyskiem? „Mamunia kochała cały świat, a cały świat kochał ją”. Powtórzenia, równoważniki zdań, grafomania, błędy stylistyczne, język niedouczonej pensjonarek. Streszczenie jest najlepszą częścią książki, bo przynajmniej zawiera jakieś mięso. A może nie jestem wystarczająco zakochana?

To się musi sprzedać, bo ludzie kochają proste ścieżki i nieskomplikowany język. Nie chcą zawirowań, trudnych wyborów, nie mają ochoty pomagać bohaterowi, niech wszystko zakończy czuły pocałunek w różowe usta. I po co ja studiowałam filozofię? A może po prostu mam znowu gorszy dzień i czepiam się wszystkiego? Bo podskórnie czuję, że mój różowy romans za chwilę przemieni się w krwawy kryminał, ja będę trupem, a zabójcę każdy zrozumie i uniewinni. Przeglądam dalej i odkładam książki na miejsce.

Nie mam nic przeciwko romansom, pod warunkiem że są o czymś, że są napisane poprawnym językiem, że mają w sobie coś więcej niż tylko sugestię otulania niczym ciepły koc. Owszem, każdy lubi koc. Im cieplejszy i miększy, tym lepiej. Ale nie trzeba nim sobie otulać mózgow, wystarczy nogi. Ciekawe, czy ktoś opisał jakiś nietypowy romans? Jakąś miłość zakazaną? Ale interesowałaby mnie raczej literatura faktu niż różowa grafomania z happy endem.

Ostatecznie kupuję biografię Hitlera. Aurelia woli cięższy kaliber, więc Hitler z pewnością przypadnie jej do gustu.

Z opasłym tomiskiem pod pachą idę w stronę Starego Rynku, żeby rozgrzać się gorącym winem z dodatkiem plasterka pomarańczy i goździków. Zanurzam usta w kubku i czuję, jak przyjemne ciepło rozlewa się po moim ciele. A gdyby pójść teraz do Aurelii? Rzucić się na kolana, przeprosić za wszystko, zagrozić samobójstwem? Może to by ją zmiękczyło, może wybaczyłaby głupotę swojej

przyjaciółce i razem zastanowiłybyśmy się, co dalej.

Pamiętam, jak na studiach, na zajęciach z psychologii, porównywaliśmy ludzi do kwiatów. Aurelia z pewnością nie była ani lawendą, ani margerytką, ani piwonią nawet. Raczej mieszanką róży, storczyka i kamelii. Jak to było? Jeśli kiedykolwiek zdradzisz kamelię, nigdy już nie odbudujesz jej zaufania. A róża? Typ władczej, zmysłowej i pobudliwej osobowości. Trzeba wiedzieć, jak się z nią obchodzić. Dumna i pewna siebie, ale przyjmuje też krytykę, pod warunkiem jednak, że jest ona słuszna i sprawiedliwa. Nie lubi oszukiwania, zdrad, nielojalności. Potrafi boleśnie zranić, zwłaszcza kiedy sama poczuje się oszukana.

No właśnie. Nie mam żadnych szans.

Zresztą nie muszę grzebać w jakichś psychologicznych opisach kwiatów, roślin czy typów osobowości. Ja doskonale wiem, jaka jest moja przyjaciółka. Kiedy ojciec Tytusa rozmyślił się co do dalszej wspólnej przyszłości, Aurelia nawet przez ułamek sekundy nie próbowała namówić go do zmiany zdania. Zaproponowała za to z miłym uśmiechem, żeby się rozstali, a on zrzekł się praw rodzicielskich, przyznając do swojej nieodpowiedzialności, jeszcze zanim dziecko przyszło na świat.

– A co mam niby powiedzieć?

– Możesz pominąć oświadczenie, że jesteś skurwysynem, wystarczy przyznanie się do rażącego zaniechania swoich obowiązków względem własnego potomka, który co prawda jeszcze się nie narodził, ale to w niczym nie przeszkadza. Nie będziesz go wychowywał, nie będziesz się nim interesował i nie będziesz płacił. Poza tym i tak podobno wybierasz się za granicę?

Miłosz vel Janusz przytaknął i bardzo chętnie na wszystko przystał. Tyle że Aurelii nie spodobała się pewna informacja, którą przekazał jej adwokat.

– Jeśli ustaną przyczyny pozbawienia władzy rodzicielskiej, sąd ma prawo przywrócić tę władzę rodzicowi. Przy rozpatrywaniu tej kwestii sąd będzie miał jednak zawsze na uwadze przede wszystkim dobro dziecka.

Aurelia doskonale wiedziała, co to oznacza. Że nigdy nie będzie miała stuprocentowej pewności, iż jej partner nagle nie zatęskni za Tytusem i nie zacznie się domagać przywrócenia statusu ojca. Zmieniła zatem taktykę i „przypomniała” sobie, że to nie Miłosz vel Janusz jest ojcem jej dziecka, tylko pewien przypadkowy uczestnik warsztatów tanecznych, w których brała udział.

– Naprawdę to nie mój syn? – zdumiał się wielce, choć nie wyglądał na zmartwionego.

– Spierdalaj – pożegnała go Aurelia, a kiedy zadzwonił dziesięć lat później z pytaniem, co u nich słychać, poinformowała go, że wszyscy zmarli na czarną ospę. I odłożyła słuchawkę.

Z Aurelią nie było pertraktacji. Nie było też drugiej szansy i przebaczenia.



## Poniedziałek, Wigilia

Wspominałam wam już, że niemal od zawsze wigilie spędzaliśmy razem. To znaczy najpierw jechałam do swoich rodziców, którzy woleli zjeść kolację przed osiemną, bo tak jest bardziej zdrowo, zwłaszcza w ich wieku, a potem przenosiłam się do Aurelii i Tytusa. Podwójne święta, podwójne prezenty, podwójny barszcz i pierogi. Uwielbiałam do nich przychodzić, bo bardziej czułam się tutaj jak w domu niż z rodzicami, w tym ich modelowym bliźniaku, w którym wszystko lśniło. Nawet karp na półmisku leżał idealnie i zawsze się wzdrygałam, kiedy mama zaczynała go kroić. Zupełnie jakby psuła jakąś kompozycję. Tym razem jednak mama będzie kroić karpia zupełnie gdzie indziej i szczerze mówiąc, w dalszym ciągu nie mogłam się z tym oswoić. Karol wyglądał sympatycznie, fakt, że był młodszy, też mi jakoś pasował, ale mimo wszystko nie umiałam pogodzić się z myślą, że rodzice się rozstali.

Kiedy wyszłam za męża, te wigilie trochę się pozmieniały. Rodzice przyjeżdżali do nas albo my jechaliśmy do rodziców mojego męża.

Ale jego już nie ma.

On też ma swoją zupełnie nową wigilię, z nową rodziną i dzieckiem.

Czasem zdarzało się, że Aurelia przychodziła do nas (kiedy jeszcze byliśmy z Janem małżeństwem), ale wtedy było jakoś dziwnie. Zupełnie jakby coś nas usztywniało, a w zasadzie ktoś. Nie wiem dlaczego, ale mój mąż nie potrafił się zaprzyjaźnić z Aurelią, a na Tytusa patrzył jakoś tak obojętnie.

– Chcesz pierogów, chłopczyku?

Naprawdę mówił do niego „chłopczyku”.

Jedynym plusem mojego rozwodu był fakt, że znowu wróciliśmy do dawnego układu. Najpierw kolacja u moich rodziców, a potem jechałam szczęśliwa do Aurelii.

I po raz pierwszy od bardzo dawna właśnie w tym roku nie miałam na to najmniejszej ochoty.

– Ona coś wyczuje, to twoja mama – powiedziała Tytusowi, który tylko pokręcił głową.

– Powiedzmy jej w końcu.

Nie. Bo nie wiem jak. Bo mnie zje żywcem.

– Koralia, nie możemy się w nieskończoność ukrywać. To, że zachowaliśmy nasz związek w tajemnicy tak długo, już graniczy z jakimś cudem, ale prędzej czy później mama się dowie. I jestem przekonany, że im później, tym gorzej.

Dla mnie ma to jednak znaczenie, bo Aurelia mnie zabije. Więc im później, tym lepiej. Ten romans przekreśli naszą przyjaźń na zawsze. Zakopie w ziemi dwadzieścia lat i wyśmieje każdą próbę ratowania naszych relacji. Nic już nie będzie jak dawniej, a Aurelia nigdy mi nie wybaczy. I chyba nawet ją rozumiem,

bo przecież sama postąpiłabym prawdopodobnie tak samo. Pełna niespokojnych, poszarpanych myśli, pojechałam najpierw po ojca, ale wcześniej zajrzałam jeszcze do mamy.

Ładnie przystroiła dom, w każdym razie Karol wyglądał na zachwyconego. Wszędzie mieniły się błękitno-białe światełka, idealnie dobrane pod kolor niebieskiej kuchni. Pachniało makowcem, pachniało piernikiem, karpem nie pachniało. Mama dostała w prezencie naszyjnik z prawdziwych pereł, a ja od nich nową pościel (pojedynczą), kubeczek z obrazem Moneta (jeden) oraz bilet do teatru (jeden). Chciałam jej przypomnieć, że nie jestem już singielką, że mam kogoś, że hura, nie jestem sama, ale powiedziałam tylko „ach, dziękuję” i chyba nawet pocałowałam Karola. Niedobrze. Poczułam się, jakbym zdradziła tatę. A potem pojechałam z nim do Aurelii i naprawdę chciałam, żeby po drodze zesłała lawina i odcięła nas od świata. Nawet jeśli w dużych miastach lawiny nie schodzą. Próbowałam go nawet przekonać, żeby zmienił zdanie, żebyśmy tę wigilię spędzili tylko we dwójkę, śpiewając wspólnie kolędy, ale tata przypomni mi, że śpiewać nie umiem, on również, a poza tym lubi Aurelię. I przynajmniej nie będzie mu smutno, że mama dzieli się opłatkiem z kimś innym.

To powiedziawszy, pociągnął żałośnie nosem, ale kiedy podałam mu chusteczkę, tylko wzruszył ramionami.

Ta wigilia była inna niż wszystkie do tej pory. Była pełna napięcia, była niespokojna i uważająca na każdy ruch. Kiedy składałam życzenia Tytusowi, nie pocałowałam go nawet w policzek, co było dziwniejsze, niż gdybym go szczerze przytuliła. Tata cały czas kiwał się na krześle i wzdychał przejmująco. Nie zjadł zbyt dużo, skubnął dwa pierogi, wylał na stół trochę barszczu, a w rybce cały czas grzebał widelcem, zupełnie jakby szukał w niej ukrytego skarbu. Na koniec nałożył sobie kawałek makowca na talerz, ale nawet go nie spróbował, tylko znowu zaczął wzdychać. Aurelia początkowo próbowała go zabawić, ale w końcu machnęła ręką.

– Niech wzdycha. Musi wywzdychać swoje, pojęcie i pocierpieć. Za rok będzie zupełnie innym facetem.

Jeśli dożyje.

Siedziałam przy stole, wbijając wzrok w kremowy talerz ze wzorkiem ze złotych liści i w srebrne sztuce. Tykanie zegara zdawało się rozsadzać moją głowę, więc zerwałam się nagle i włączyłam radio. Żeby zagłuszyć milczenie, żeby Aurelia nie prześwietliła moich myśli, żeby nie zobaczyła w nich mnie i Tytusa. Nie chciałam nic jeść, nawet sernika, który uwielbiam, wypłam tylko trzy kieliszki wina i szarpałam za sznurek od prezentu, nie mogąc go rozwiązać.

– Co jest? – spytała w końcu Aurelia, a ja chciałam się rozpłakać i chciałam też, żeby mnie przytuliła i powiedziała, że już dobrze, że wszystko jakoś się ułoży.

Tyle że ona wbiłaby mi widelec w oko.

– Nie wiem, nie czuję się dobrze, pójdę już – wystękałam w końcu i bardzo

szucznie ucieszyłam się na widok bordowej torebki, o której marzyłam i którą właśnie dostałam od swojej najlepszej przyjaciółki. I na widok rękawiczek pod kolor. Czułam, że jeszcze chwila, a wybuchnę niekontrolowanym płaczem, a przecież Tytus zawsze powtarzał, że najbardziej lubi we mnie spokój. Przełykałam ślinę i mrugałam powiekami, żeby się nie rozplakać i nie sprowokować Aurelii do żadnych pytań.

– Naprawdę muszę już iść – wyszeptałam jeszcze.

– Może Tytus was odprowadzi?

– Nie! – wrzasnęłam dla odmiany przeraźliwie, a potem zaczęłam się owijać szalikiem i przez pomyłkę założyłam jego kurtkę.

– To chyba nie jest twój płaszcz – słusznie zauważyła Aurelia.

– O Jezu, przepraszam. Przepraszam, naprawdę tego nie chciałam, nie chciałam nosić jego kurtki, zabrać jej i żebyś sobie coś pomyślała.

Zdębiała na moment, a ja czułam, że czerwienię się pod kolor torebki, którą od niej dostałam. Wygadałam się?

– Ale co pomyślała? – spytała zdumiona Aurelia.

Uff, chyba jednak nie. Ale powiem jej. Teraz.

Tytus mnie na szczęście uratował, w przeciwnym razie poszłabym do kuchni po nóż i poprosiła Aurelię, żeby mnie nim pchnęła w sam środek zdradliwego serca lub głupiego mózgu.

– Koralia, trzy kieliszki wina chyba ci zaszkodziły. Chodź, wsadzę ciebie i tatę do taksówki, bo jeszcze przez pomyłkę pójdziesz na pociąg – próbował obrócić wszystko w żart i na moment udało mu się oszukać własną matkę.

Aurelia roześmiała się nawet i poklepała mnie po ramieniu.

– Upiłeś się, złotko, i wszystko ci się miesza. Ale wiesz co, tatę zostaw u nas. Obejrzymy sobie razem jakiś mroczny thriller, żeby zaprzątnął sobie czymś innym głowę, a potem zawiozę go do domu. No, chyba że będzie wolał się tutaj przespać. Miejsce jest. A ty jedź, widzimy się pojutrze, wpadnę do ciebie na śniadanie. Albo wpadniemy, mam nadzieję, że nie masz żadnego dyżuru? – Popatrzyła pytająco na Tytusa.

Oby miał. Oby miał.

– Nie. Pewnie, że przyjdę na śniadanie.

O Jezu. Muszę usunąć jego zapach z mieszkania. A z mojej głowy – jego dotyk, jego śmiech, widok nagiego ciała. Muszę zrobić całkowity reset ostatnich miesięcy lub po prostu gdzieś wyjechać i udąć, że zapomniałam o śniadaniu.

W taksówce chciałam się zwierzyć ze wszystkiego kierowcy, ale kiedy oznajmił na wstępie: „kurwa, ale się dziś obzarłem”, zrozumiałam, że nie znajdziemy wspólnego języka.

Zostałam sama ze swoimi szaroburymi myślami i uspokoiliłam się dopiero dwie godziny później, kiedy przyjechał Tytus i bez słowa pogłaskał mnie po

głowie.

Zabije mnie.

Nie Tytus. Aurelia. I zabroni przyjść synowi na mój pogrzeb.

Końcówka roku. Z jednej strony to był dobry rok, a z drugiej...

Zakochanie jest stanem męczącym na dłuższą metę, bowiem sprzyja niestabilności emocjonalnej. Bywają dni, kiedy wszystko wydaje ci się ptasim mleczkiem, a ewentualne przeciwności losu są dla ciebie nic nieznaczącymi drobiazgami, z którymi łatwo dajesz sobie radę. Bywają jednak dni ciemniejsze, bardziej realne, które obnażają całe to uczucie i pokazują, że oprócz idealnych chwil zdarzają się też te bardziej przyziemne. Ja wpadałam raz w jeden, raz w drugi stan, raz unosiłam się nad ziemią po to tylko, by następnego dnia szlochać nad swoim nędznym losem kobiety przeklętej.

Moje jogowe towarzyszki próbowały trzymać moją stronę i za każdym razem, kiedy zwijałyśmy się w dziwnych pozycjach na matach, postękiwały przyjacielsko, że wszystko się jakoś ułoży. Wykonywałam właśnie pozycję dziecka z torsem ułożonym na udach i czołem opartym o matę, kiedy podszedł do mnie mój trener i poklepał mnie po plecach.

– Joga jest nie tylko dobra dla twojego ciała, ale również dla mózgu. Redukuje lęki i stres.

Chyba jemu. Bo moje lęki i mój stres rosną z każdym dniem.

– Słuchaj, ja uważam, że nie powinnaś czuć się winna. W końcu miłość jest czasem taka ślepawa trochę – szepnęła z prawej Helena.

Mistrz jogi spojrział na nią zdumiony.

– Miłość, drogie panie, nie jest ślepawa, ona po prostu czasem wymyka się spod kontroli. Dotyka ran z przeszłości i konfrontuje nas z naszym wewnętrznym dzieckiem. Jeśli czujemy, że z czymś jest nam niewygodnie, przymykamy oko, żeby nie rozprawiać się z demonami. Ale joga pomoże wam się z nimi uporać. Proszę też pamiętać, że miłość zawsze jest dobra.

– O, widzisz – stęknęła z lewej Maria. – Twoja zatem też jest w porządku, nawet jeśli śpisz z synem przyjaciółki.

Trener zamarł na moment, a potem wstał i odszedł w drugi kąt sali. Po jego minie widziałam jednak, że ten rodzaj miłości zdecydowanie go przerósł. Kiedy wychodziłam z zajęć, podszedł do mnie i szepnął:

– Nie jestem w temacie, ale chciałbym coś powiedzieć. Czasami miłość sprowadzamy do ogólnie przyjętych wyobrażeń i norm. Ona, on, on zazwyczaj trochę starszy, ona drobniejsza i delikatniejsza. To wszystko są jednak stereotypy, które powodują, że nasza wizja uczucia nie do końca jest nasza. Proszę sobie wyobrazić swoją miłość i swoje o niej zdanie. Pani praca będzie polegała na urzeczywistnieniu tej wizji, dopiero wtedy obraz stanie się bardziej przejrzysty, spójny z pani wewnętrznym ja. I nie wolno go będzie nikomu oceniać.

– Spotykam się z synem mojej przyjaciółki, ale ona nic o tym nie wie – powiedziałam bez zastanowienia.

Jogin pokiwał głową.

– Jej obraz tej miłości nie będzie spójny z pani obrazem – oznajmił po chwili.

– No właśnie.

– Może się nawet okazać, że całkowicie się panie rozminiecie.

Uśmiechnęłam się zrezygnowana.

– Musi sobie pani zatem odpowiedzieć na pytanie, co jest ważniejsze? Pani wizja miłości czy perspektywa dalszej przyjaźni?

– Tego się nie da rozdzielić.

– W końcu będzie trzeba – powiedział jeszcze i życzył mi powodzenia.

To „w końcu” wydarzyło się bardzo szybko po naszej rozmowie, a w zasadzie trzy dni po tym, jak spotkałam mamę z Karolem. Byłam wtedy w stanie „ptasiego mleczka”, miała wizję szczęśliwego zakończenia i zrobiłam coś, czego nigdy nie lubiłam – pocałowałam swojego faceta w miejscu publicznym. I tak staliśmy razem wpici we własne usta, przyssani nawet, aż do momentu, w którym ktoś chwycił mnie za łokieć.

– Koralia? – Mama raczej wiedziała, że to ja, ale mimo wszystko wolą się upewnić. Tak jakby gdzieś w tyle jej głowy tlił się cień nadziei, że jestem tylko łudząco podobna do jej córki.

– O, mama – powiedziałam jednak, rozwiewając wszelkie złudzenia.

– I Tytus – dodała ona, a potem wsparła się na ramieniu Karola, który nie widział w naszym pocałunku niczego zdrożnego. Ale on nie znał Tytusa i nie miał pojęcia, że kiedyś zmieniałam mu pieluchy.

– Zakochani, co? – Puścił do nas oko i zupełnie nie rozumiał, dlaczego mama uderzyła go w ramię torebką, a potem zaczęła otwierać i zamykać usta, zupełnie jakby była karpim.

– To jest patologia. A on nie ma na imię Marek – oznajmiła w końcu, wskazując na Tytusa palcem, a potem wyjęła z rąk Karola kubek z grzańcem i wypila go duszkiem.

Zrozumiałam, że właśnie rozpoczęło się końcowe odliczanie.

Styczeń. Nawet nie wiem, kiedy się zaczął

Nie będę wam opisywać mojego sylwestra ani Nowego Roku. Powinna wam wystarczyć informacja, że Aurelia do mnie nie zadzwoniła. A właściwie tak, ale dopiero drugiego stycznia. I wypowiedziała jedno zdanie, a właściwie wycedziła je przez zaciśnięte zęby:

– Za chwilę jestem u ciebie.

## Nowy Rok

A jednak wam opowiem. Bo chociaż cały czas się trzęsłam, bo chociaż zdawałam sobie sprawę z tego, że moja mama musiała zadzwonić do Aurelii i wszystko jej opowiedzieć, to jednak w Nowy Rok wydarzyło się coś, co miało ogromny wpływ na moje dalsze decyzje. Dodam jeszcze, że miałam do mamy duży żal. Mimo wszystko powinna najpierw przyjść z tym do mnie, nawrzeszczyć na mnie albo próbować wybić mi ten romans z głowy. Ale ona uznała, że ta sprawa nie może dłużej czekać. Być może nie wiedziała, że Aurelia nie ma o niczym pojęcia, i postanowiła najpierw wszystko wyjaśnić z nią. Być może chciała, by jako matka zabroniła synowi spotykania się ze swoją dawną opiekunką, starszą nie o piętnaście, ale osiemnaście lat z kawałkiem. Być może wreszcie miała nadzieję, że to wszystko da się jakoś inaczej wytłumaczyć, nieważne jak, byle inaczej.

Sylwestra spędziłam z Tytusem w domu i byłam mu wdzięczna, że nie próbował mnie nigdzie wyciągnąć. Podejrzewam, że on też bał się reakcji swojej matki, choć zapewniał mnie, że „to i tak niczego nie zmieni”. Być może. Ale strach już się do nas zakradł i odebrał chęć do zabawy. Odruchowo i jednomyślnie postanowiliśmy ubrać się w piżamy, a raczej z nich rozebrać i urządzić sobie dwuosobowy bal w sypialni.

Zanim nas powieszają.

– Muszę jechać do przychodni – powiedział w poniedziałek, poniedziałek noworoczny zaznaczam, więc teoretycznie nie powinien nigdzie się ruszać, bo nie miał dyżuru. – Pan Antoni na mnie czeka i podobno nie chce rozmawiać z nikim innym.

– Jadę z tobą. – Wyskoczyłam z łóżka.

Po pierwsze, lubię pana Antoniego, po drugie, nie zostanę sama w domu, a po trzecie i tak będę się bała otworzyć drzwi. Bo mogłaby stać za nimi moja przyjaciółka.

Pan Antoni wyglądał gorzej niż zazwyczaj. Miał zachmurzoną twarz i równie zachmurzone oczy. Starał się nie płakać, ale widać było, że z trudem powstrzymuje łzy. Kot leżał na jego kolanach, zupełnie obojętny.

– Coś się stało? – spytał Tytus, ostrożnie podniósł zwierzę i pogłaskał je po czarnej główce.

– Jeśli on umrze, ona też – powiedział pan Antoni i pociągnął nosem.

Poszliśmy wszyscy do gabinetu, a Tytus położył kota na stole. Cekinek ciężko oddychał i prawie w ogóle się nie ruszał.

– Umiera? – spytał pan Antoni.

Tytus pokręcił głową i osłuchiwał zwierzę. Zajrzał mu do uszu, oczu, zmierzył temperaturę, poruszał kończynami.

– Od rana wymiotuje, i to czymś dziwnym – dodał starszy pan i wyciągnął



chusteczkę do nosa.

Pomyślałam, że to nie byłoby zbyt przyjemne rozpoczęcie Nowego Roku i że Tytus musi go uratować. A potem nas. Przed Aurelią.

Cekinek w tym czasie nagle się podniósł, zaczął się dziwnie wyginać, a następnie rzygnął czymś podejrzanym. Pan Antoni zasłonił sobie oczy ręką, ja zerknęłam z zaciekawieniem zmieszonym z obrzydzeniem, a Tytus po prostu wziął to do ręki.

– Uff – powiedział po chwili. – To pilobezoar.

– Aha – oznajmił nam wspólnie z panem Antonim, patrząc równie tępo i równie głąbowato.

– Pilobezoar – powtórzył Tytus. – Kula włosowa połykana czasem przez koty przy codziennej toalecie. To nie jest nic groźnego i Cekinek z pewnością od tego nie umrze. Po prostu obecność takich konglomeratów włosowych, jak to się ładnie i fachowo nazywa, drażni błonę śluzową żołądka i wywołuje jej lekki stan zapalny, a to skutkuje z kolei odruchem wymiotnym umożliwiającym pozbycie się pilobezoara z żołądka. I tyle.

Pan Antoni odetchnął z wyraźną ulgą.

– Nie umrą.

– Oni? – spytałam.

Wzruszył ramionami.

– Jak macie czas, to wam kogoś przedstawię – powiedział po chwili.

Czas to było akurat coś, co musieliśmy bardzo szczelnie sobie wypełnić, żeby nie dopadły nas lęki i głupie myśli. Żeby nie zastanawiać się, co teraz robi Aurelia, jak bardzo nas nienawidzi, jak bardzo czuje się zraniona i oszukana. Fakt, że nie zadzwoniła ani do mnie, ani do Tytusa, był dość łatwy do zinterpretowania.

Musiała się dowiedzieć.

Musiała rozmawiać z moją mamą, dla której nasz pocałunek był czymś absolutnie nieodpowiednim, złym i – jak sama powiedziała – patologicznym. Więc żeby już o tym nie myśleć, żeby nie układać w głowie własnych scenariuszy, nie budować wizji i nie zacząć jeść własnych włosów jak Cekinek, pojechaliśmy z panem Antonim do tej willi, do której już wcześniej go odwoziłam.

Otworzyła nam uśmiechnięta kobieta, ubrana w prostą czarną sukienkę. Widok pana Antoniego był dla niej czymś zupełnie zrozumiałym, ale nasze twarze całkowicie ją zaskoczyły, co wywołało dziwny grymas będący połączeniem grzecznościowego uśmiechu i niedowierzającego spojrzenia oraz znaku zapytania, czy „aby na pewno”?

– Tak. – Pan Antoni skinął głową. – Chcę ich przedstawić Joannie.

I w ten właśnie sposób dowiedzieliśmy się, kim jest Joanna, co ją łączy z panem Antonim i dlaczego przebywa w prywatnym domu opieki. Joanna była żoną pana Antoniego, od ponad sześciu lat chorą na alzheimera. Nie rozpoznawała

go, choć czasem pan Antoni miał wrażenie, że rozpoznaje właśnie ukochanego kota. I wmówił sobie, że tak długo, jak długo będzie żyć Cekinek, pani Joannie również nic się nie stanie.

Joanna była drobna, miała długi siwy warkocz i błękitne oczy. Ubrana w granatowy sweter i plisowaną spódnicę. W uszach miała kolczyki w kształcie jarzębiny i podobny naszyjnik na szyi. Była stara, była ładna, była spokojna.

– Naprawdę nic nie pamięta? – spytałam szeptem kobietę w czarnej sukience. Natalię.

– Nic a nic – potwierdziła. – Pan Antoni przychodzi tu niemal codziennie, zawsze o tej samej godzinie i za żadne skarby nie chce się spóźnić.

To wiem. Pamiętam, jak w gabinecie Tytusa przestępował z nogi na nogę, byleby tylko zdążyć na czas. Jak ciągle zerkał na zegarek i kazał mi szybciej jechać samochodem.

– Mają swoje codzienne rytuały. On jej czyta książki, opowiada różne historie, czasem chesze. Wyciąga z szafy sukienki i pyta, którą chciałaby założyć. I jaką dobrać biżuterię.

– Ale ona niczego nie pamięta – powiedziałam półszeptem.

– Ale ja pamiętam – odezwał się nagle pan Antoni. – Ja pamiętam, jak się w niej zakochałem, jaka była śliczna, mądra i jak bardzo nie lubiła kotów. Do czasu aż pojawił się Cekinek, który przekonał ją, że nie wszystkie koty są beznadziejne, czego on jest najlepszym dowodem. I Joanna mu uwierzyła. I będę ją tu odwiedzał do końca, właśnie dlatego, że wszystko pamiętam. Miłość można skatalogować na różne sposoby, można ją też podzielić na gorsze i lepsze okresy. Ale jeśli jest to miłość naszego życia, to nie można jej przekreślić tylko dlatego, że jednemu z nas wyczerpują się baterie. Albo że komuś to przeszkadza.

I właśnie te słowa przekonały mnie ostatecznie. Przyznam się do wszystkiego Aurelii (będzie mi o tyle łatwiej, że i tak już wie), spróbuję jej wyjaśnić, jak to się stało, właśnie dlatego, że być może Tytus jest miłością mojego życia. Nawet jeśli innym to przeszkadza.

Styczeń, początek. Zimno, mokro, jestem przerażona

Przyszła do mnie dokładnie o dziewiętnastej dwadzieścia trzy. Byłam na to przygotowana, a jednak trzęsłam się jak podczas egzaminu magisterskiego. Bez sensu. To moja przyjaciółka. Przecież nie mogę bać się kogoś, kogo znam od lat, z kim przepłakałam tuziny nocy i naprzemiennie produkowałam endorfiny śmiechu. Kto zna mnie lepiej niż moi rodzice. Niż były mąż. Kto raz uratował mi życie, choć pewnie teraz tego żałuje.

Moje mieszkanie milczało, słychać tylko było przejeżdżające za oknem samochody, pokrzykiwania na psa, który najwyraźniej nie chciał iść tam, gdzie jego pan, karetkę pogotowia albo może to była straż pożarna. Nigdy nie umiałam rozróżnić tych syren. I chyba właśnie zaczęło padać, żeby już zupełnie świat dopasował się do tego, co za chwilę miało się wydarzyć.

Egzekucja.

Tytus był w pracy, a ja dokładnie usunęłam ślady jego obecności. I tylko zapach pozostał, a przynajmniej ja go czułam.

Aurelia rozpoczęła w charakterystycznym dla siebie stylu.

– Opowiem ci o słynnym dylemacie więźnia. Omawialiśmy go na studiach, jako problem taktyki gier. Myślę, że idealnie pasuje, zwłaszcza że tu też chodzi przecież o optymalne zachowanie w przypadku konfliktu interesów.

Czy ja jeszcze oddycham?

– Otóż dwóch mężczyzn popełniło przestępstwo, niestety nie było żadnych dowodów, więc policja tylko ich złapała i umieściła w areszcie, w dwóch osobnych celach. Ponieważ nie było dowodów popełnienia ich zbrodni, nie można też było udowodnić winy. Każdemu z więźniów dano dwie możliwości: przyznać się albo zaprzeczyć. Jeśli więzień pierwszy się przyzna, ale więzień drugi zaprzeczy, to wówczas więzień pierwszy będzie występował w roli świadka przeciwko drugiemu i nie zostanie ukarany, natomiast drugi więzień dostanie pełny wyrok. I odwrotnie. Jeśli obaj się przyznają, to obydwaj dostaną po parę lat odsiadki, bowiem policja będzie miała dowody przeciwko jednemu i drugiemu. Jeśli zaś obydwaj zaprzeczą oskarżeniu, że popełnili przestępstwo, to nie będzie na to żadnych dowodów, więc dostaną tylko po roku więzienia, na przykład za brawurową ucieczkę samochodem przed policją. Co wybierasz?

Pogubiłam się. Naprawdę. Poza tym nie wiem, czy o dylemacie więźnia słyszał już Tytus, i nie wiem, co wybrał.

Aurelia wbiła we mnie świdrujące spojrzenie i mówiła dalej. Czułam, że się pocę, że pot spływa mi wzdłuż kręgosłupa i wsiąka w majtki.

– Pamiętaj, że jestem analitykiem, więc tłumaczę ci to według mojej koncepcji świata. A ty się gubisz. Wiesz czemu? Bo paradoks tej całej sytuacji polega na tym, że jeśli oboje postąpicie zgodnie ze swoją racjonalnością, to koniec

końców na tym stracie. Tyle że żadne z was nie wie, jak postąpi to drugie. Nie ma Tytusa, jesteś ty. Klasyczny przykład gry bez współpracy, nie możecie omówić wspólnej strategii, jedynie indywidualną, w ramach której wybieriecie najlepszą dla was opcję. Pytanie, czy wiesz, co chcesz mi odpowiedzieć.

– Aurelia... – szepnęłam do niej, ale ona natychmiast mi przerwała.

– Przestań. Nie chcę teraz słuchać żadnych tekstów o naszej przyjaźni, w ogóle nie chcę niczego słuchać. Chcę wiedzieć, czy to, co usłyszałam od twojej mamy, to było przekłamanie, dowcip, zbieg okoliczności, coś, co można jeszcze jakoś inaczej wytłumaczyć? Powiedz mi prawdę. Nie wiesz, co mi powiedział Tytus, więc jesteś w gorszej sytuacji. Nie wiesz, czy lepiej jest skłamać, czy się przyznać. No, chyba że rzeczywiście istnieje jakieś inne wytłumaczenie tego, że mój syn cię całował albo może ty jego. – Ona też szukała koła ratunkowego. Nie chciała, żeby to była prawda, z drugiej strony, nie chciała, żebym skłamała.

Spuściłam głowę.

Muszę jej powiedzieć. Pogubiłam się w taktyce gry o więźniach, nie wiem, czy ją w ogóle zrozumiałam. Nie interesowała mnie strategia, nie wiem, co jej powiedział Tytus, ale moim zadaniem jest wreszcie przyznać się do tego, co męczy mnie od kilku miesięcy.

Styczeń, Trzech Króli już było? Nie, przecież jest drugiego. Trzeciego? Daty zlały się w jedno

Na czubku języka zwisały słowa. Teraz wszystko zależy od tego, czy otworzę usta i je wypowiem, czy raczej zachowam dla siebie. Połknę. Tak, żeby nikt nie usłyszał. Jest jeszcze inna możliwość – zamienię słowa na inne. Poprzestawiam litery, część wyrzucę, dodam nowe i dzięki temu z języka skapnie mi zupełnie coś innego, niż chciałabym powiedzieć.

Tak, kocham Tytusa.

A jednak to powiedziałam. Patrząc Aurelii prosto w oczy i obserwując, jak narasta w niej wściekłość. Jak rozsadza ją od środka, jak wypełnia jej ciało, jak zaczyna wydostawać się na zewnątrz, by dopaść mnie i potrząsnąć moim zidioceniem. Moją nielojalnością. Moim brakiem odwagi, żeby przyznać się wcześniej i w porę zareagować. Nie dałam jej szansy. Postawiłam przed faktem dokonanym, pokazałam skończoną grę w szachy, nie zostawiając żadnej możliwości ruchu.

– Kurwa...

Jej twarz przemieniła się w białą kulę z czarnymi oczodołami i ustami, które przygryzała tak mocno, aż w końcu dostrzegłam drobne rozcięcie. Zwykle zaróżowione policzki zastygły, żyła biegnąca przez czoło pulsowała teraz dwa razy szybciej niż zwykle.

– Przewijałaś go, uczyłaś chodzić, uczyłaś mówić, czytałaś książeczki na dobranoc, opatrywałaś skaleczenia, bawiłaś się z nim w piaskownicy. Naprawdę kolejnym krokiem było zaciągnięcie go do łóżka? – wysyczała zimno.

I co ja mam jej powiedzieć?

Że to nie tak?

Spojrzałam przez okno na niebo. Przestało padać, a niebo było idealnie czyste.

Było też pełne gwiazd, aż się rzygać chce od takiej poezji. Tyle że ja stoję na ziemi i na ten moment jest tu bardzo prozaicznie. Jest niemiło, pachnie nienawiścią. Aurelia mnie nienawidzi i może mieć do tego prawo. Przyjaźń czasem wymaga poświęceń i czasem trzeba poświęcić własny egoizm. Czy ja naprawdę musiałam zakochać się w Tytusie? Czy jako kobieta dojrzała nie mogłam odepchnąć tego uczucia, wypchnąć go za drzwi i kazać czekać na wycieraczkę? A potem nie wpuścić, aż w końcu odeszłoby obrażone, bo młodość łatwo jest urazić odrzuceniem.

– Aurelia...

– Nie. Nie chcę słyszeć żadnych tłumaczeń. Nie chcę zostać obrzucona banałami, od których porobią mi się siniaki. Że miłość nie wybiera. Miłość nie, ale ty mogłaś. Odwrócić się na pięcie i pobiec przed siebie tak daleko, aż by ci

w końcu minęło. Nie masz osiemnastu lat. Nie targają tobą hormony, ślepe zauroczenie, trywializm pierwszej miłości. Nie jesteś pozbawiona racjonalnego myślenia. A jednak wzięłaś sobie moje dziecko.

Tytus ma dwadzieścia cztery lata. Czy Tytus naprawdę jest jeszcze dzieckiem?

– Jest. – Aurelia najwyraźniej czytała mi w myślach. – Jest moim dzieckiem, które wspólnie ze mną wychowywałaś. Nie masz prawa uprawiać z nim seksu.

Naprawdę tylko o to chodzi? O seks? O to, że go dotykam? Że leżymy w jednym łóżku, że jest nam ze sobą dobrze?

– Wynoś się. Nie chcę, żebyś się z nim więcej spotykała, nie chcę was widzieć razem ani wiedzieć, że pijecie na śniadanie kawę z tego samego ekspresu. I jeszcze jedno. Spierdalaj, Koralia, z mojego życia.

Słowo „spierdalaj” w ustach Aurelii zawsze miało zdecydowanie cięższy kaliber, niż gdyby wypowiedział je ktokolwiek inny.

Styczeń, poniedziałek

Teraz jestem już w czasie terażniejszym. Nie opisuję żadnych wspomnień, nie skaczę po kartach ze swojego życia i nie cofam się w czasie. Chaos został uporządkowany, a ja zostałam autorką pamiętnika. Zapisków. Notatek o sobie, swoim życiu, przyjaźni i miłości do syna mojej najlepszej przyjaciółki.

To nie jest tak, że odpuszczam. Że nie będę o nią walczyć, że wypnę się na Aurelię, bo w końcu jakim prawem ingeruje w moje życie. Jesteśmy ze sobą związane, nie tylko szeptami do ucha, nie tylko siedzeniem pod kocem i tajemnicami, które znamy tylko my dwie. Ja jestem częścią niej, a ona mnie. Jesteśmy przyjaźnią. Empatyczną, rozbawioną, tolerancyjną, aktywną. Tego nie wolno mi zepsuć.

Idę spać. Zatopić się w senne zjawy, które nie będą o nic pytały. I wrócę jutro, może trochę mądrzejsza i może z jakimś gotowym rozwiązaniem co dalej.

Wtorek, styczeń, pada śnieg

Poprosiłam Tytusa, żeby przez jakiś czas do mnie nie przychodził. Że muszę wszystko dokładnie przemyśleć, uporządkować bałagan w swojej głowie i zastanowić się co dalej. Nie byłam jednak w tych postanowieniach zbyt konsekwentna, bo co najmniej trzy razy to ja go odwiedziłam i wychodziłam dopiero nad ranem. I wcale nie rozmawialiśmy ani nie graliśmy w scrabble. Aurelia postanowiła nas ignorować, choć wiem, że też była u Tytusa. Ale nie chciał mi powiedzieć, o czym rozmawiali.

– Koralia, ja jestem dorosły. Mama może mi kupić pod choinkę niebieski sweter, bo uważa, że ten kolor najlepiej do mnie pasuje, ale nie może mi przyprowadzić kobiety z niebieskimi oczami.

– Ona mnie nienawidzi – powtarzałam to jak mantrę, ale on tylko kiwał głową.

– Daj jej czas.

Wieczorem znowu zapukałam do jego zielonych drzwi, których kolor ciągle jeszcze podobał się właścicielce, chociaż wysokość czynszu znowu podniosła o siedem procent. Ale obiecała, że w lutym będą jakieś ulgi.

Takie same zielone drzwi ma Aurelia, ale do niej jakoś nie mam odwagi zapukać. Jeszcze nie. Poza tym naprawdę nie wiem, co zrobić i co mam jej powiedzieć. Ona nie chce tłumaczeń, nie chce żadnych historii o miłości, która się rozlała i na którą żadne z nas nie ma wpływu. Ona chce cofnąć czas, a przynajmniej wymazać to, co już się wydarzyło.

– Wchodzisz? – spytał Tytus i uśmiechnął się do mnie tak, że od razu zmiękły mi kolana.

– Wiesz co? Chyba nie – powiedziałam nagle, wbrew sobie i wbrew swoim kolanom. Ale chyba naprawdę musiałam się w końcu odciąć i od Tytusa, i od Aurelii, i zresetować umysł. Czasem taki detoks oczyszcza spojrzenie i pozwala lepiej ocenić sytuację. Tak, tego właśnie potrzebuję. Detoksu.

– Koralia. To twoje życie, ale ja siebie w nim widzę – powiedział jeszcze Tytus, chociaż ja zbiegałam już po schodach. – Nie wydarzyłaś mi się przypadkiem!

A potem pobiegłam prosto do domu, łykając po drodze padający śnieg, łykając wiatr, który wpadał mi do płuc, i łykając łzy, które pojawiły się zupełnie nie wiadomo po co.



Środa, 14 lutego, walentynki

I znowu moje ulubione święto, którego nie obchodzę, którym się nie cieszę i nawet różowe piwonie tego nie zmieniły. Trzy tygodnie chodziłam po świecie sama, nie reagując ani na zaczepki mamy, ani na telefony od Tytusa. Aurelia do mnie nie dzwoniła, zresztą nie podejrzewałam, że robi to pierwsza.

Więc w końcu to ja wybrałam numer i byłam nawet spokojna, kiedy odebrała.

– Aurelia, chciałabym się z tobą spotkać. Porozmawiać wreszcie i wszystko wyjaśnić.

Nie rozłączyła się, więc odetchnęłam z ulgą.

– Przyjdź do mnie dzisiaj o dwudziestej – powiedziała tylko. – Ale punktualnie. Jeśli się zjawisz, to znaczy, że wybrałaś – dodała, ale ja od razu wiedziałam, co miała na myśli.

Punktualnie o dwudziestej miałam bowiem zjawić się u Tytusa. Musiała to wiedzieć, stąd ten pomysł, żebym przyszła do niej dokładnie w tym samym czasie. Plusem było to, że przynajmniej z nim już rozmawiała, może udało mu się ją przekonać, że powinna dać nam szansę?

Sama w to nie wierzyłam.

Tytus przysłał mi dzisiaj rano bukiet różowych piwonii, które nie wiem jakim cudem zdobył w lutym. Moje pierwsze kwiaty, które dostałam na walentynki. Oczywiście nadal nie lubię tego święta, nie muszę wam chyba przypominać. I jeszcze dołączył karteczkę: „Dzisiaj o dwudziestej”. I że najwyższy czas być już po prostu razem, bez żadnych przerw na przemyślenia. W zasadzie się z nim zgadzam, człowiek ma zbyt mało czasu w życiu, żeby odkładać wszystko na kolejne dni. Odłożyć można sprzątanie, ale chyba nie miłość. I nie przyjaźń.

W pracy patrzyłam tępo w ekran komputera i równie tępo uśmiechałam się na widok Igi w czerwonej sukience, która biegła po firmie z wielką bombonierką w kształcie serca i rozdawała czekoladki.

– Byłaś u mnie już sześć razy – poinformowałam ją z uśmiechem rekina.

– No wiem, mamy w firmie tylko czterech pracowników, więc to chyba normalne.

No tak.

Bardzo nawet.

Nie pamiętam, co dzisiaj dokładnie zrobiłam, z kim rozmawiałam przez telefon, ile czekoladek z sześciu zjadłam i czy pożegnałam się, wychodząc z pracy.

Kolejna kawa mi wystygła, ale chyba jest mi to obojętne.

Telefon zawibrował na stole.

Tytus.

„Przyjdiesz”?

Aurelia zawibrowała dwie minuty później.

„Czekam na ciebie”.

O wpół do ósmej wyszłam z domu. Stałam pośrodku ulicy, spojrzałam w prawo, w stronę, gdzie mieszkała Aurelia w swoim przytulnym gniazdku na Woźnej, z zielonymi drzwiami i korytarzem w kolorze fuksji. A potem spojrzałam w lewo, w stronę, gdzie Tytus wynajmował niewielkie mieszkanie z zielonymi drzwiami, które tak bardzo spodobały się jego właścicielce. Luty pachniał czekoladowo, pachniał kwiatowo i nawet drobne płatki śniegu idealnie wpasowały się w ten poetycko-ckliwy klimat.

Cóż było robić?

Punktualnie o godzinie dwudziestej zapukałam do zielonych drzwi.

## *Od Autorki*

Jak zwykle w tym miejscu chciałabym podziękować wszystkim, którzy towarzyszyli mi podczas pisania tej książki.

Marysi Paszyńskiej – za cudowne imię Koralia oraz parę innych imion, które na pewno wykorzystam.

Lilce Fabisińskiej – za to, że prawie jesteśmy na Malediwach. Brakuje nam bardzo niewiele – biletu, wolnego i hotelu.

Czytelniczkom i blogerkom, które chętnie sięgają po moje książki i jeszcze chętniej polecają je innym.

Adze Filas – za wszystko, co było i co jeszcze przed nami.

I wszystkim, którzy piszą do mnie listy motywacyjno-zachęcająco-optimistyczne!

**[natasza@yahoo.com](mailto:natasza@yahoo.com)**

**[www.facebook.com/nataszasocha73/](http://www.facebook.com/nataszasocha73/)**

**[nataszasocha.pl](http://nataszasocha.pl)**

Copyright for the Polish Edition © 2018 Edipresse Polska SA

Copyright © 2018 by Natasza Socha

Edipresse Polska SA

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska

Redaktor kreatywna projektu: Magda Mazur

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51);

Barbara Tekiel (tel. 22 584 25 73);

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Biuro Obsługi Klienta

[www.hitsalonik.pl](http://www.hitsalonik.pl)

mail: [bok@edipresse.pl](mailto:bok@edipresse.pl)

tel.: 22 584 22 22

(pon.–pt. w godz. 8–17)

Redakcja: Joanna Machajska

Korekta: Katarzyna Szajowska

Projekt okładki, skład i łamanie: Monika Zając

Zdjęcia na okładce: Shutterstock

Zdjęcie Autorki na II skrzydełku: Najka Photography/archiwum Autorki

ISBN: 978-83-8117-399-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

## Spis treści

Strona tytułowa  
Maj, może wtorek, może nie  
Jednak najpierw marzec, środa. Przeniesiemy się jakiś czas wstecz  
Kwiecień, jeszcze bardziej cofamy się w czasie. Jestem nastolatką  
Marzec zimny, chociaż widziałam już dużo krokusów. Jestem pełnoletnia i  
studiuję  
Przeskakujemy teraz o dobrych parę lat do przodu. Muszę wyjaśnić, jak to  
było z moim rozwodem  
Maj, wtorek i bardzo ciepło  
Luty, walentynki, ale rok wcześniej  
Marzec, możliwe, że to był piątek. Oczywiście znowu cofamy się w czasie, a  
ja mam dwadzieścia lat  
Tu i teraz  
Mam teraz lat piętnaście, Aurelia dwadzieścia jeden  
Kwiecień, sobota wieczorna. Jestem już po rozwodzie. Sama, samotna, ale  
nie mam depresji. O Tytusie jeszcze nie myślę  
Czerwiec nadal, nie pamiętam, jaki to był dzień tygodnia. Nie, pamiętam  
bardzo dobrze – niedziela  
Mam pięć lat. Aurelia ma klocki Lego  
Środa, czerwiec, ślimaki  
Czerwiec, czwartek. Żebyście zrozumieli, jak to się wszystko zaczęło. I  
żebym ja to zrozumiała  
Czerwiec, sobota i potem następna sobota  
Początek lat 90. Aurelia jest w ciąży  
Piątek, niech będzie, że lipcowy  
Ostatni dzień lipca, zapachniało kuminem  
Dawno temu, ale wszystko pamiętam. Zwłaszcza to o kanarku  
Marzec, poniedziałek. Niecałe dwa lata temu  
Znowu tu i teraz  
Lipiec, poniedziałek  
Lipiec, jest pochmurno i ciemno. Ale ta ciemność jest piękna  
Mam osiemnaście lat. Aurelia ma dwadzieścia cztery. I ratuje mi życie  
Piątek, końcówka sierpnia  
Wrzesień, trzy dni przed wylotem na wakacje  
Wrzesień, ten marokański. Niedziela  
Wrzesień marokański, wtorek. Dzień, w którym poczułam, że chyba jednak  
jestem niereformowalna  
Wrzesień marokański, środa, jestem dziwnie szczęśliwa

Wrzesień, nie wiem, jaki dzień tygodnia, są wakacje od wszystkiego  
Wiosna tego roku, chyba to był piątek, nie wiem, ale jakoś mi tu pasuje  
I znowu wrzesień, i znowu Maroko  
Sobota wrześniowa, koniec relaksu, koniec wyjazdu, rzeczywistość znowu  
jest szarobeżowa  
Marzec, ten po moim rozwodzie. Cofamy się trochę w czasie  
Poniedziałek wrześniowy. Ja już jestem zakochana. On – nie wiem. Ale  
pamiętacie, że wtedy w Maroku odrobinę się zawahał?  
Wrześniowa środa, dużo słońca, dużo liści, są też kasztany. Pachnie powoli  
październikiem  
Piątki i soboty, i wtorki wrześniowe. Końcówka miesiąca. Chociaż to akurat  
była środa  
Październik, a może już listopad? Może wtorek, a może środa  
Nie pamiętam, jaki mamy dzień tygodnia, dni zaczynają zlewać się w jedno  
Czwartek jogowy, robię coś dla siebie. I dla ciała, żeby się tak szybko nie  
starzało. A potem jeszcze powspominam przeszłość  
Chyba poniedziałek. Jest dość ponuro na dworze, ale mnie to w ogóle nie  
przeszkadza  
Środa i na pewno był wtedy Halloween  
Sobota jakaś całkiem przyjemna. Wydaje mi się, że w radiu usłyszałam Last  
Christmas i odrobinę mną wstrząsnęło. To już?  
Czwartek jakiś współczesny  
Mam dwadzieścia osiem lat, Tytus ma dziesięć. Świetnie się rozumiemy  
Sobota, trochę wstyd, że tam poszłam, ale potem spojrzałam na to zupełnie  
inaczej  
Dwadzieścia lat temu. Tytus ma cztery latka  
Sobota, to wiem na pewno, bo takie spotkania zawsze organizuje się w  
soboty. Listopad  
Ciągle ta sama sobota z przełamaniem w niedzielę. Noc głęboka  
Piątek. Jeden z tych dni, kiedy wydawało mi się, że mogę przenosić góry  
Początek grudnia, nie ma żadnego śniegu, choć wszyscy obiecywali, że  
będzie. Czwartek. Jeden z tych dni, kiedy filozofuję, żeby wytłumaczyć samą  
siebie  
Czwartek, ciągle ten sam. Jest późno  
Ciągle ten sam czwartek  
Jest już piątek, a ja przypominam zombie  
Grudzień, wtorek  
Znowu grudzień  
Poniedziałek, Wigilia  
Końcówka roku. Z jednej strony to był dobry rok, a z drugiej...

Styczeń. Nawet nie wiem, kiedy się zaczął

Nowy Rok

Styczeń, początek. Zimno, mokro, jestem przerażona

Styczeń, Trzech Króli już było? Nie, przecież jest drugiego. Trzeciego? Daty  
złwały się w jedno

Styczeń, poniedziałek

Wtorek, styczeń, pada śnieg

Środa, 14 lutego, walentynki

Od Autorki

Strona redakcyjna



